



Joanna Lustyk
Ścieżka przez ocean



Sabina suszyła włosy w łazience i zastanawiała się nad zmianą mieszkania. Trzeba podjąć jakąś decyzję. Dzieci rosą i nie mogą dalej mieszkać w jednym pokoju. Fuksja ma dwanaście lat i to już właściwie panna, a z Robertem nigdy nie potrafiła się dogadać. Może sprawiała to różnica wieku, a może zazdrość o uczucia Sabiny, dość że konflikty nigdy nie wygasły. Ciągłe przybiegało to jedno, to drugie ze skargami i Sabina musiała łagodzić napięcia, zresztą bezskutecznie.

Odkąd wrócili z Ameryki do Polski, sytuacja stała się nie do zniesienia.

A gdyby tak jeszcze wrócił z Ameryki jej starszy syn, Marcin? Co wtedy? Ale chyba tak się nie stanie, bo zaczął studia i przynajmniej do ich skończenia zostanie za oceanem. No, ale ta dwójka wystarczająco potrafiła zależeć za skórę. Sabina od dawna już nie próbowała dochodzić, które z nich ma rację. Jedno warcie drugiego.

Fuksja jak zwykle zachowywała się tak, jakby to cały świat, a nie ona, był wszystkim winien, a na wszelkie zarzuty miała gotowe dwie odpowiedzi. Na pytanie, dlaczego zrobiła to czy tamto odpowiadała: „Bo musiałam”, nie wyjaśniając przy tym, na czym ten mus miał polegać. Z tą odpowiedzią można było jeszcze polemizować. Druga odpowiedź brzmiała: „Bo WTEDY to był dobry pomysł”. Na to już nie było argumentów. Rzeczywiście, coś mogło być dobre WTEDY, a TERAZ okazywało się niespodziewanie fatalne w skutkach, no, ale któż to mógł przewidzieć.

Sabina wyłączyła suszarkę. Kiedy szum ustał, usłyszała, że z pokoju dzieci znowu dobiegają odgłosy kłótni. Stanowczo trzeba podjąć jakąś decyzję.

A przecież można było zostać w Stanach i mieć święty spokój. Można było. Gdyby nie Fuksja.

Boże drogi, jaka Fuksja? Ktoś kiedyś ją tak nazwał, Flora bodajże, która kiedyś chciała ją adoptować. Flora była botaniczką i wszystko jej się kojarzyło z roślinami, stąd ta Fuksja.

Przecież to dziecko naprawdę ma na imię Ada i trzeba ją do tego imienia w końcu przyzwycząić. Nie może być pośmiewiskiem w polskiej szkole, gdzie są same Marysie, Agnieszki, Zosie, Agatki i Kasie.

Fuksji jednak to imię się podoba, a jak jej coś się podoba, to nie ma siły, żeby to zmienić.

Poza tym trzeba będzie przyspieszyć sprawy związane z jej adopcją, co wcale nie jest takie proste. Wywiezienie Fuksji za granicę na parę lat też trzeba będzie jakoś wytłumaczyć. Czy jest gdzieś na świecie drugie dziecko, które przysparzałoby tylu kłopotów? Nie ma. Jasne, że nie ma.

Ale czy jest gdzieś na świecie drugie dziecko, które byłoby tak inteligentne, pełne pomysłów i fantazji i potrafiłoby tak zdobywać serca?

Maks zawsze staje po jej stronie.

I ona to, oczywiście, wykorzystuje. Robi niewinną minę i patrzy na Maksa wyczekująco, a on natychmiast przyznaje jej rację, cokolwiek by zrobiła. Jak w takich warunkach można oddziaływać wychowawczo? Sabina zapełniła już całą półkę książkami na temat wychowania dzieci, ale o ile zawarte w nich dobre rady mogły się dać zastosować - przynajmniej w części - do Roberta, o tyle do Fuksji nijak nie pasowały.

Rudy, kosmaty kot zajrzał do łazienki i kichnął z obrzydzeniem, wdychając zapachy perfum i lakieru do włosów.

Odwrócił się zde gustowany i odszedł. Sabina westchnęła. Jeszcze i ten kot. Kto to widział, żeby wozić się z kotem wte i wewte przez ocean? Jakby to był jakiś ósmy cud świata. Poza tym czy on nigdy nie przestanie linieć? Przecież normalnie zwierzęta linieją tylko na wiosnę i na jesieni. A ten obłazi z futra przez cały rok.

Wyszła z łazienki i zajrzała do pokoju, który był jednocześnie salonem, gabinetem, jadalnią i pokojem gościnnym. Maks siedział na kanapie przy niskim stoliku i coś szkicował. Nie miał tu, biedak, żadnych warunków do pracy. A

przecież był malarzem i powinien mieć jakąś pracownię. Piwnica, w której urządził sobie prowizoryczne miejsce do malowania obrazów, była tymczasowym i nieco kompromitującym rozwiązaniem. To był drugi powód do zmiany mieszkania.

Na podłodze, obok stolika leżało kilka gazet. Od jakiegoś czasu to był stały rytuał - codzienne przeglądanie ogłoszeń o wynajmie mieszkań.

Niestety, żadna z ofert nie spełniała dotąd warunków, które były potrzebne do w miarę wygodnego ułożenia sobie życia.

- No i co? - zapytała Sabina. - Nic nie znalazłeś?

- Nic.

Pytanie było retoryczne.

- Może sprzedamy to mieszkanie i kupimy większe, zamiast wynajmować.

- Może - posępnie zgodził się Maks.

- Najgorsze, że nie masz gdzie pracować - powiedziała współczująco Sabina.

Maks westchnął.

- Wiesz, co? - powiedział. - Powinniśmy odnowić nasze znajomości. Nie mamy żadnych przyjaciół, nie ma się nawet do kogo odezwać, ani poradzić.

- Masz racie.

- Zadzwoń do Flory. Ciekawe, co u niej słychać.

- Zadzwoń. W końcu byliście kiedyś zaprzyjaźnieni. Mieszkaliście w jednym domu, jak rodzina. Może ją odwiedzimy? Fuksja też się pewnie ucieszy. Przecież to był jej pierwszy normalny dom po domu dziecka.

- No, tak... Miło byłoby się z Florą spotkać, gdyby nie ten jej kochaś, Mietek.

- Może to już mąż, nie kochaś? W końcu minęło parę lat.

- Może. W każdym razie facet wyjątkowo wredny.

- Przesadzasz.

- Nie przesadzam.

- No, dobrze. Wredny. Ale zadzwoń. Nie musimy przecież odwiedzać pana Mietka. Może ona do nas wpadnie, a może spotkamy się gdzieś na mieście?

Maks wziął do ręki słuchawkę i wykręcił numer.

- Halo - odezwała się Flora.

- Zgadnij, kto mówi - powiedział Maks.

- Jak to kto? Maks! Od razu cię poznałam. Gdzie jesteś?

- W Warszawie.

- To świetnie. Może byś do mnie wpadł?

- Chętnie. A nie chciałabyś zobaczyć Fuksji?

- To ona jest w Polsce?

- Wszyscy jesteśmy. Wróciliśmy.

- Na stałe?

- Tak.

- To świetnie. To wpadnijcie wszyscy.

- A... a pan Mietek?

- Ach! Nie mieszka już tutaj.

- To wspaniale! - zagalopował się Maks, ale natychmiast się poprawił: - To wspaniale, że możemy cię odwiedzić! Bardzo się cieszę.

- Ja też. Wszystko ci opowiem.

- Możemy przyjść jutro?

- Jasne. A Sabina też przyjdzie?

- Jeśli chcesz...

- Może przyjść.

- Ale ona ma syna. I nie może go zostawić samego.
- Wiem przecież. Niech przyjdzie z synem. Zapraszam was wszystkich.
- Jesteś cudowna. Jak zwykle.

Maks odłożył słuchawkę.

- A co ty taki słodki dla niej jesteś?
- Bo się cieszę. Wiesz, w końcu kawałek życia spędziłem w jej domu. Fuksja! - zawołał - Chodź tutaj! Jutro idziemy do Flory.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Nie cieszysz się?

- Cieszę.

- To dobrze. Masz być jutro grzeczna.

- Do jutra to jest jeszcze bardzo daleko.

- Dobrze, dobrze. Już nie kombinuj - powiedziała Sabina.

- Idziemy w odwiedziny i chciałabym, żebyś nam nie przyniosła wstydu.

Fuksja powtórnie wzruszyła ramionami.

- Ja nie mogę niczego obiecać, bo nie wiem, co zrobi Robert.

- A co on ma do tego?

- Dużo. Bo działa mi na nerwy.

- Wiesz, co? Oboje mi działacie na nerwy i muszę z tym żyć, więc i ty się jakoś opanuj. Opanujesz się?

- Opanuję - mruknęła niechętnie Fuksja.

- To dobrze. Trzeba będzie kupić jakieś kwiatki i ciastka

- mówiła podekscytowana Sabina. - Rzeczywiście, odkąd przyjechaliśmy, nie chodzimy do nikogo ani nikt nas nie odwiedza. Poza sąsiadami.

- Pani Renia bardzo się postarzała.

- Ale ciągle dobrze się trzyma.
- Jak na swój wiek to rewelacyjnie.
- A najważniejsze, że pogodziła się z panem Koseckim. Bardzo jej pomaga. Robi zakupy, a w niedzielę wychodzą razem na spacer. Bardzo się z tego cieszę.

Dom Flory wyglądał tak samo jak kilka lat temu, choć wydawał się bardziej zaniedbany. Niestrzyżona trawa wyschła gdzieniegdzie do samych korzeni, ukazując łysiny w trawniku, a tam gdzie jeszcze jakoś rosła, wybujała w górę i kłosiła się siejąc nasionami. Płytki basenik, w którym kiedyś stała woda i pływała plastikowa kaczka, stał teraz pusty i straszyl czarną folią, podartą i okurzoną. Z elewacji odpadał tynk, a niemalowane od dawna kolumny wyglądały jak pnie platanu - łaciate i szare. Na ganku pojawiła się Flora.

- Wejdźcie, wejdźcie! - zawołała. - Zaraz zrobię herbaty i pogadamy. Fuksja! Jak ty wyrosłaś! Nie poznałabym cię chyba. No, chodź. Przywitaj się! A to jest Robert? No proszę, jaki kawaler.

Salon sprawiał wrażenie, jakby od dawna nikt go nie sprzątał. Kurze były wprawdzie starte, ale wszędzie leżały jakieś stare szpargały, tworzące bałagan. Meble i dywan prosiły się o wymianę albo przynajmniej o odnowienie.

Flora wniosła tacę z filiżankami, Sabina rozpakowała ciasteczka. Wszyscy usiedli przy stole. Dzieci łypały na siebie spod oka, ale żadne nie odezwało się ani słowem. Na wszelki wypadek Sabina posadziła je po przeciwległych stronach stołu. Część oficjalna polegająca na picciu herbaty i chrupaniu ciasteczek minęła więc bezkonfliktowo. Ale herbata została wypita i dalej już nie było czym dzieci zająć.

- Idźcie może na taras - zaproponowała niepewnie Sabina, bojąc się, że lada chwila może wybuchnąć awantura z byle powodu i wszyscy, zamiast rozmową, zajmą się uspokajaniem dzieci.

- Idźcie, idźcie - zgodziła się Flora.

- Może ja z nimi na chwilę wyjdę - podniosła się Sabina.

Kiedy wyszli, Flora przysunęła krzesło do Maksa i powiedziała ściszym głosem:

- Wiesz, przeżyłam taki zawód, że sobie nie wyobrażasz.

- Przez pana Mietka?

- Zobacz, jakie ja mam szczęście. Najpierw Tomek mnie zostawił, a potem ten drań. Taki chuderlak, takie nic, taki niby schorowany. Pamiętasz, jak się nad nim użalałam, że taki słaby, że go biedaka kręgosłup boli. I wszystko za niego robiłam. Wierzyłam mu. A on któregoś dnia sprowadził tu swoją asystentkę. Tutaj, do mojego domu, rozumiesz? Niby do pomocy w pracach naukowych. Z początku nic nie podejrzewałam. No i kiedyś, wyobraź sobie, wracam do domu trochę wcześniej, otwieram drzwi do jego gabinetu, a on ją magluje na stole laboratoryjnym, wśród tych jego odczynników i bakterii chorobotwórczych. Nawet się nie tłumaczył, bo co mógłby powiedzieć? Miałam tylko nadzieję, że złapią jakąś bakterię i zachorują. Jeśli nie oboje, to chociaż on. Ale gdzie tam. Nic im nie zaszkodziło. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Powiedziałam: „Zegnam pana i proszę się wyprowadzić”. No i się wyprowadził. I teraz mieszka z tą asystentką. Co ona w nim widzi?

A co ty w nim widziałaś? - pomyślał Maks, ale z uprzejmości nie powiedział tego głośno.

- To przykre - posumował.

- Przykre? Myślę, że dobrze się stało. Zniszczyłby mi życie. Bo to był kawał drania, jak się okazuje. A ja myślałam, że trafiłam wreszcie na bratnią duszę - zadumała się Flora. - A tobie jak się wiedzie?

- Nieźle. Tyle że mamy kiepskie warunki mieszkaniowe. Wiesz, dwójka dzieci, ja nie mam gdzie pracować. No i jeszcze kot. Ciasno.

- Jest z wami mój kot? - ucieszyła się Flora. - To znaczy... już nie mój. Ale był kiedyś mój. Strasznie go lubiłam. Mogę was odwiedzić? Chyba się postarzał?

- Trochę zmarszczek mu przybyło.

- Żartujesz. Ale może posiwał? Zwierzęta podobno siwieją.

- Nie zauważyłem. Taki sam rudy, jak był.

- I co zrobicie?

- Z czym?

- No, z tym mieszkaniem.

- Nie wiem. Może wynajmiemy większe, a może sprzedamy i kupimy inne.

- Mogę wam sprzedać ten dom. Na co mi on. Za wielki dla mnie. Aż się czasem boję w nim nocować.

- Chyba nas na to nie stać.

- Ale ja nie chcę od was od razu pieniędzy.

W tym momencie weszła do pokoju Sabina i zapytała;

- A o co chodzi?

- Flora chce nam sprzedać dom.

- To wspaniale!

- Masz tyle pieniędzy?

- A ile?

- Nie wiem.

- Przecież możemy się zamienić. W ramach rozliczeń. Flora może zamieszkać u nas, a my tutaj.

- A czy musimy się zamieniać? - powiedziała Flora. - Możemy przecież mieszkać razem. Czy ja bym wam bardzo przeszkadzała? Taniej wam policzę. Co wy na to? Naprawdę mam już dosyć tej samotności. A wy jesteście prawie jak rodzina.

- Jasne! - wykrzyknął Maks z entuzjazmem. - Fantastyczny pomysł!

- Musimy się zastanowić - zmitygowała go Sabina.

W drodze powrotnej wszyscy milczeli. Nawet dzieci. Sprawa była niespodziewana i poważna, trzeba było ją przemyśleć. Dopiero w domu rozwiązały się języki. Fuksja chwyciła kota i powiedziała:

- Wracamy do naszego domu, wiesz? Będziesz miał ogród i będziesz miał gdzie biegać. I ja też.

Robert, widząc radość Fuksji, natychmiast oprotestował pomysłem.

- A ja nie chcę tam mieszkać.

- Ty akurat nie masz nic do gadania - burknęła Sabina.

- A ona ma?

- Też nie ma.

- Ale robicie to, co ona mówi.

- To nie jest decyzja ani twoja, ani jej, tylko nasza. Dzieci i ryby głosu nie mają. Będziecie mieli swoje pokoje i przestaniecie się wreszcie kłócić.

- I tak będziemy się kłócić - powiedziała Fuksja z przekonaniem.

Sabina pominęła to milczeniem.

Długo w nocy omawiała sprawę z Maksymem, rozważając wszystkie za i przeciw. Koniec końców oboje uznali, że propozycja spadła im jak z nieba i że trzeba ją przyjąć.

Na drugi dzień pojechali do Flory jeszcze raz.

Obejrzelik dom, zajrzeli we wszystkie zakamarki, przedyskutowali, co i gdzie trzeba będzie przerobić, które pokoje pozostaną bez zmian, a które trzeba teraz lub w przyszłości przebudować.

Nie obyło się bez przeszkód.

Dzieci uznały, że skoro to ma być teraz ich dom, to nie ma powodów, żeby zachowywać się jak u obcych i dały Florze pokaz swoich możliwości.

Fuksja walnęła Roberta w głowę znaną w kącie packą na muchy, a Robert pobiegł natychmiast ze skargą do Sabiny.

- Wcale nie chciałam go uderzyć - tłumaczyła się Fuksja. - Tak się tylko zamachnęłam, a on podszedł i niechcący dostał w głowę.

- Rozcięła mi łuk brwiowy

- Nic ci nie rozciąłam. To jest packa na muchy i można nią zabić muchę, ale nie człowieka.

- Przecież nie mówię, że mnie zabiłaś, tylko że mi rozciąłaś łuk!

- A wiesz chociaż, gdzie jest łuk brwiowy?! - zapytała i Fuksja, patrząc z wyższością na Roberta.

- No, przecież na brwi!

- A wiesz, gdzie są brwi?

- Mamo, mamó, ona robi ze mnie głupka!

- Nic nie muszę robie. Sam pokazujesz, jaki jesteś głupi! - syknęła Fuksja.

- Dzieci, spokój! - krzyknęła Sabina. - Musimy porozma- ' wiać o ważnych sprawach, a wy ciągle przeszkadzacie!

Na moment zapanowała cisza. Ale po chwili przybiegła Fuksja ze skargą, że Robert ją szczypie.

- Flora, ty się zastanów. Ty się naprawdę zastanów, czy chcesz z nami mieszkać - skomentowała zachowanie dzieci Sabina. - Sama widzisz, co to są za potwory. Ani przez chwilę nie można ich spuścić z oka, bo zaraz jest awantura. Idźcie na taras albo na dwór i tam róbcie, co chcecie, tylko nam nie przeszkadzajcie. Możecie się nawet pozabijać, jak macie i ochotę, ale nie zwracajcie mi głowy.

Okazało się jednak, że nie był to dobry pomysł. Na dworze nie było wprawdzie packi na muchy ani innych niebezpiecznych narzędzi, ale była piaskownica.

- Wyłaź stamtąd! - krzyczała Fuksja. - To moja piaskownica!

- Jesteś już za stara, żeby się bawić w piaskownicy.

- To co z tego? Ty też jesteś za stary. Wyłaź stamtąd.

- Zjem ci ten piach?

Fuksja chwyciła Roberta za rękę, chcąc go odciągnąć, a on sypnął na nią piaskiem.

- Sabina, Robert sypie się piaskiem!

- Dajcie mi święty spokój! Coś ci się stało? Nasypał ci w oczy?

-Nie.

- To nie histeryzuj.

- Zawsze trzymacie jego stronę.

- A on mówi, że twoją. Jesteś starsza, to powinnaś mieć trochę więcej rozumu niż on. Idź na drugą stronę domu albo gdziekolwiek z daleka od Roberta i przestańcie się wreszcie awanturować!

- Dobrze - powiedziała nadąsana Fuksja i niechętnie wyszła na ganek.

- No, może teraz będzie spokój.

- Wiesz, rzeczywiście, oni są nie do opanowania. Ale może to się zmieni. Oboje rosną i zaczną mieć inne zainteresowania. Przestaną patrzeć tylko na siebie.

- Żyję taką nadzieją już parę lat. I nic.

- Na pewno kiedyś to się zmieni. -Tylko kiedy?

- Może jak się przeprowadzicie?

- No, więc powiedz, ile byś chciała za ten dom. Bo trzeba go będzie wyremontować. Musimy to jakoś rozliczyć.

- I jeszcze będą koszty notarialne. I podatek - powiedział Maks. - To też trzeba będzie jakoś policzyć.

-No, tak.

- Jutro pójde do notariusza i wszystkiego się dowiem. I potem skalkulujemy koszty. - Maks podszedł do sprawy konkretnie. - Wycenimy nasze mieszkanie i albo się je sprzeda, albo przepisemy na Florę, a Flora zrobi z nim co zechce. Sprzeda albo wynajmie. A teraz się zbieramy. Dzieci, idziemy! Cześć Floro, do jutra.

- Do jutra.

Następnego dnia wszystko się zmieniło.

Maks znalazł w skrzynce wezwanie z sądu rodzinnego i zamiast myśleć o przeprowadzce, trzeba było zająć się sprawą adopcji Fuksji.

Czytając wezwanie, Sabina zaczęła analizować całą sytuację, bo przecież trzeba przedstawić w sądzie jakiś przekonujący przebieg zdarzeń. Po pierwsze, trzeba będzie powiedzieć, jak doszło do tego, że dziewczynka znalazła się u Sabiny i Maksa, dlaczego została wywieziona do Ameryki i dlaczego wróciła. Trzeba to dokładnie przemyśleć i zastanowić się, co można w sądzie powiedzieć, a czego nie. Bo jak wytłumaczyć wszystkie zawiłości tej sytuacji? Wprawdzie Fuksja została wywieziona legalnie, za zgodą rodziców zastępczych i sądu, ale jak wytłumaczyć, że została tam przez kilka lat? Jak wytłumaczyć, że początkowo Sabina chciała ją adoptować ze swoim mężem - Amerykaninem, potem się z nim rozwiodła i przestała się starać o adopcję, a potem wyszła ponownie za mąż i teraz chce stworzyć dziewczynce dom razem ze swoim drugim mężem, Maksem.

Na korzyść Sabiny i Maksa przemawiało to, że wrócili do Polski i chcieli legalnie opiekować się dziewczynką. Bo mogli nie wrócić. Sabina miała nadzieję, że sąd weźmie to pod uwagę. Sąd nie musi przecież wiedzieć, że ich powrót, wcale nie był spowodowany potrzebą legalizacji sytuacji rodzinnej i miłością do ojczyzny, tylko został wymuszony przez skandaliczne zachowanie Fuksji w kolejnych szkołach. Tak, jakby robiła to celowo, żeby ich zmusić do wyjazdu z Ameryki. Gdyby nie wyjechali, amerykańskie władze mogłyby się nimi zainteresować i wtedy mogłoby być całkiem źle, zważywszy, że Maks nie miał zielonej karty, a Fuksja miała fałszywą metrykę. Sabina próbowała znaleźć jakąś sensowną linię postępowania przed sądem, na tyle wiarygodną, żeby szybko i bez dodatkowych komplikacji przeprowadzić adopcję i mieć wreszcie spokojne sumienie.

Wszystko zaczęło się kilka lat temu.

Flora i Tomek - który był wtedy jej mężem - zdecydowali się zostać rodzicami zastępczymi, chociaż wiedzieli, że dziewczynka, którą mają się opiekować, nie jest spokojnym, posłusznym dzieckiem. Że będą musieli włożyć sporo wysiłku w jej wychowanie i pomóc jej przystosować się do nowego życia. Ale nie przerażało ich to. Naczytali się rozmaitych pedagogicznych książek i wydawało im się, że na każdy problem jest sposób i na każde pytanie odpowiedź.

Pełni optymizmu pojechali z pierwszą wizytą.

Dom dziecka mieścił się w starym, zaniedbanym budynku, który kiedyś był pałacykiem, ale po wielu przeróbkach i remontach, stanowił bezkształtną bryłę, szarą i pozbawioną jakiegokolwiek charakteru. W pobliżu znajdowały się pomieszczenia gospodarcze, szopy i magazyny. Wszystko to było ogrodzone siatkowym płotem na podmurówce, która miejscami zaczynała się rozpadać, ukazując spod warstwy tynku kruszące się cegły. Brama, zaopatrzona w elektryczny dzwonek, była zamknięta na stałe i otwierała się tylko wtedy, kiedy trzeba było wpuścić lub wypuścić miejscowy samochód.

Prowizoryczny parking dla ewentualnych gości znajdował się przed bramą.

Wszystko to nie sprawiało dobrego wrażenia.

- Te dzieci są tu trzymane jak w twierdzy albo w więzieniu - powiedziała szeptem Flora. - Czy one w ogóle stąd wychodzą?

- No pewnie że wychodzą. Chociażby do szkoły - odrzekł Tomek.

Ale okazało się, że szkoła jest dość daleko, i dzieci muszą być do niej dowożone i przywożone z powrotem, więc o samodzielnym wychodzeniu nie ma mowy. Poinformował ich o tym mężczyzna, który otwierał bramę.

- Getto - westchnęła z przygnębieniem Flora. - Nie dziwię się, że dzieci dostają tutaj zaburzeń rozwojowych. Nawet dorosły by w takich warunkach zwałował.

- Może nie jest tak źle. Może to tylko pierwsze wrażenie - próbował pocieszyć ją Tomek, ale bez przekonania.

Telefoniczna rozmowa z kierowniczką domu nie była zbyt optymistyczna.

-Muszę państwa uprzedzić, że dziecko jest nadpobudliwe. Ale bardzo inteligentne. Wymaga indywidualnego podejścia i stałego kontaktu z opiekunami. My jej tego nie możemy zapewnić. Robimy, co możemy, ale... Mamy za mało wychowawców, a za dużo podopiecznych. Nikt nie ma czasu, żeby zajmować się każdym dzieckiem z osobna. Ja wiem, że dzieje się to z krzywdą dzieci, ale co ja mogę zrobić? Mam nadzieję, że państwo to rozumieją. Poza tym ona ma trudności z przystosowaniem się do życia w grupie. Bije się z dziećmi, pluje, kopie, gryzie. To trochę dziwne, bo przecież od urodzenia żyje w domach dziecka i powinna się nauczyć pewnych reguł. Ale tak czasem bywa. Jest bardzo trudnym dzieckiem. W tym sensie, że nie można na niej nic wymusić. Uparta i krnąbrna. Prędzej można coś osiągnąć perswazją niż rygorem, ale - jak już mówiłam - w takiej placówce jak nasza nie da się poświęcić każdemu dziecku tyle czasu, ile trzeba. Aha, jeszcze jedno. Ona już potrafi czytać i prawie umie pisać. Nie wiem, kiedy się tego nauczyła. Wyprzedza swoich rówieśników w rozwoju i może stąd jej trudności z integracją. Muszą państwo być przygotowani na to, że jest bardzo samowolna, robi, co chce, i kary nie pomagają. To chyba wszystko. Jeśli państwo nie boją się wziąć na siebie takiego ciężkiego obowiązku, to zapraszam.

Flora i Tomek zostawili samochód na placyku przed bramą i weszli do budynku.

Od razu otoczyła ich gromadka dzieci, wznosząc gwar jak stado wróbli. „Ciociu, ciociu, wujku, wujku”, rozlegało się naokoło. Dzieci czepiały się ich rąk i ubrań, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Któreż to może być to okropne dziecko?

-zastanawiała się Flora. Rozejrzała się uważnie, ale żadne z dzieci nie odpowiadało wyobrażeniu, jakie sobie wyrobiła po rozmowie z panią kierowniczką. Po chwili dostrzegła stojącą na uboczu trójkę dzieci. Dwoje z nich wyglądało na rodzeństwo. Byli bardzo do siebie podobni. Ciemne, sztywne włosy przypominały z daleka ptasie gniazda. Chłopiec stał blisko okna sięgającego prawie podłogi. W pewnej chwili wyciągnął język i przylepił go do szyby. Siostra, wyższa od niego i widocznie starsza, szturchnęła go w ramię. Chłopiec oblizwał się nerwowo i odsunął od okna. Tym dwojgu przyglądała się bez zainteresowania ładna blondyneczka w wiśniowej, roz-kloszowanej sukience. Nie zwracała uwagi ani na przyjezdnych, ani na dzieci kłębiące się w holu wokół nich. Od czasu do czasu spoglądała w okno z obojętną miną. Żadne z nich nie wyglądało na nadpobudliwe dziecko.

Wychowawczyni podeszła do gości, przywitała się i po krótkiej rozmowie wskazała Florze wzrokiem dziewczynkę w wiśniowej sukience.

- To ona? - zapytała Flora. - Jest bardzo spokojna.

- Pozory mylą - powiedziała wychowawczyni.

- W tej sukieneczce wygląda jak kwiatek fuksji. Prawda, Tomek?

- Mhm.

Flora zbliżyła się do małej i kucnęła. Na wszelki wypadek w pewnej odległości. Nie wiedziała, czego się spodziewać

- agresji, złości, ataku furii, czy jakiegoś innego niekontrolowanego zachowania.

- Jak masz na imię? - zapytała.

Tymczasem dziewczynka wyglądała raczej na zdziwioną i onieśmiałą nie spodziewanym pytaniem niż rozzłoszczoną. Spojrzała na Florę okrągłymi, ciemnymi oczami i odpowiedziała spokojnie:

- Ada.

- Ada? - zdziwiła się Flora. - To takie dorosłe i poważna imię. Zupełnie do ciebie nie pasuje.

Dziewczynka wzruszyła ramionami. Ten gest miał się później powtarzać w różnych sytuacjach, kiedy nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Tomek schylił się i wyciągnął do niej rękę.

- Ja jestem Tomek - powiedział. - A to jest moja żona Flora.

Ujął dłoń dziewczynki i lekko potrząsnął.

- No, to się poznaliśmy - powiedział.

- Chcesz pojechać do tego wujka i cioci w odwiedziny? -zapytała wychowawczyni. - Jutro wrócisz.

Dziewczynka zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie chce jechać - powiedziała wychowawczynie do Tomka, tak jakby sam nie był w stanie tego zauważyć.

- Nie chcesz? - zapytała Flora. - Dlaczego?

- Ona jest trochę przekorna - pospieszyła z wyjaśnieniami wychowawczynie.

- U nas jest kot - powiedziała Flora. - Na pewno jeszcze nie widziałaś takiego kota. Jest fantastyczny. Chcesz go zobaczyć?

Dziewczynka nie odpowiedziała.

- To co? Pojedziesz?

- Kota zobaczyć mogę.

- To świetnie.

Perspektywa zobaczenia kota z bliska widocznie przeważała. W domu dziecka też były koty, lecz nie miały prawa wstępu do części mieszkalnej. Kucharki je dokarmiały, ale miski z jedzeniem wносиły za szepę, tak że nigdy nie można było się tym kotom przyjrzeć. Z daleka nie wyglądały interesująco. Chude i szybkie przebiegały między budynkami, a na widok dzieci uciekały gdzie pieprz rośnie.

- A będę mogła... go dotknąć? - zapytała niepewnie.

- Oczywiście. Będiesz go mogła nawet pogłaskać. Dalsza rozmowa została przerwana, bowiem dzieci znowu otoczyły Florę i Tomka, czepiając się ich rąk, ciągnąc za ubrania i przekrzykując się wzajemnie, aż wychowawczynie musiały je uciszać.

- Dlaczego one stoją w tym holu? - zapytała Flora.

- Jest sobota. Czekają - odpowiedziała wychowawczynie.

- Na co?

- Na rodziców. Albo na kogokolwiek, kto je stąd zabierze. Florze łzy stanęły w oczach.

- Boże - szepnęła i zamilkła.

Tomek poszedł z wychowawczynią załatwić formalności, a kiedy wrócił, trzymając małą za rękę, powiedział tylko dwa słowa:

- Chodźmy stąd.

Dom Flory i Tomka był wielki, pełen zakamarków, schodów i drzwi. Dziewczynka siedziała na kanapie w salonie skulona i strasznie się bała. Flora przyniosła jej ciastko i sok.

- Jedz - powiedziała. - To jest naprawdę bardzo dobre ciastko.

Włożyła jej do ręki widelczyk, talerzyk z ciastkiem postawiła obok i poszła. Mała sięgnęła widelczykiem do ciastka. Chciała trochę nabrać, ale talerzyk się przechylił i ciastko wylądowało na kanapie. Zaczęła je z powrotem zbierać, co pogorszyło tylko sprawę, więc się rozplakała. Do salonu zajrzał Tomek. Zobaczył, co się stało, i bez słowa zaczął sprzątać. Zgarnął ciastko na talerzyk, a potem przyniósł mokrą ścierkę i wytarł kanapę.

- No, nie płacz - powiedział. - Nic się nie stało.

- A kara?

- Jaka kara?

- Za ciastko.

- Jak to za ciastko? Że nie zjadłaś?

- Że wywaliłam.

- Zdarza się.

- Nie będzie kary?

- Powiedziałem przecież. Każdemu może się zdarzyć.

- A jak będzie plama?

- To będzie. Nie przejmuj się. Kanapa nie jest najważniejsza. Chodź, pokażę ci dom. W tym pokoju będziesz spać. Tutaj jest nasza sypialnia. Gdybyś się bała

w nocy, to możesz do nas przyjść. Tu jest mój gabinet, a w tym pokoju śpi Pola, mama Flory, ale jej dzisiaj nie ma. I co? Jak ci się podoba? Może być?

- Może. A gdzie kot?

- Przyjdzie. Z kotami nigdy nic nie wiadomo. Wychodzą i przychodzą, kiedy chcą.

- Ale on jest?

- Jak to?

- On jest naprawdę?

- Oczywiście, że jest. Sama zobaczysz.

Kiedy Flora przyszła obudzić małą na śniadanie, stanęła w progu jak wryta.

Na łóżku obok śpiącej dziewczynki leżał, zajmując pół poduszki, wielki, rudy kot.

- Tomek! Tomek! Chodź, coś zobaczysz! - zawołała ściszym głosem Flora.

Tomek zajrzał przez uchylone drzwi i powiedział:

- No, popatrz! Kto by pomyślał, że się tak od razu zaprzyjaźnią. A kto go tu wpuścił?

- Sam wszedł. Przecież umie skakać na klamkę i otwierać sobie drzwi. Co to dla niego za problem?

Dziewczynka otworzyła oczy. Chwilę patrzyła z lękiem na śpiącego kota, a potem spytała:

- Nie ugryzie mnie?

- Nie. Nie bój się. Pogłaskaj go.

Dziewczynka wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła kociego futra. Kot się przeciągnął, wyprostował łapy, a potem wstał, wygiął grzbiet i zeskoczył z łóżka.

- No i jak ci się u nas podoba?

Nie odpowiedziała. Oczy miała cały czas wlepione w kota.

- A kot? Podoba ci się?

- Kot mi się podoba.

- Ty też mu się chyba podobasz - uśmiechnął się Tomek.

- No, to co? Przyjedziesz jeszcze do nas?

Mała kiwnęła głową.

- A chciałabyś u nas zostać?

- Nie wiem. Nie wiem, czy mogę.

-Zobaczymy

- U nas będziesz się nazywać Fuksja - powiedziała Flora. - Chcesz się tak nazywać?

-Może być.

- To świetnie.

Flora i Tomek, mając w pamięci opinię, jaką wystawiono Fuksji w domu dziecka, ciągle oczekiwali jakiegoś kataklizmu i byli bardzo zdziwieni, że dziecko, które wzięli na wychowanie, nie demoluje im mieszkania, nie bije ich, nie miewa ataków wściekłości, nie kopie, nie pluje i nie gryzie. Inność Fuksji przejawiała się jedynie w ogromnej ciekawości i dociekliwości. Była nad wiek rozwinięta i inteligentna, miała niezwykłą wyobraźnię i świetną pamięć. A przy tym rzeczywiście była samowolna i uparta. I jedynie to zgadzało się z opinią pań wychowawczyń.

Tomek poświęcał jej bardzo dużo czasu. Coraz częściej mówiło się o adopcji.

Niestety, sytuacja materialna obojga nie była najlepsza. Trzeba było jakoś temu zaradzić.

- Może wynajmiemy jeden pokój? - zaproponowała Flora.

- A możesz mi powiedzieć który? Przecież żaden nie jest wolny.

- No, nie wiem. A może poddasze? Nie jest nam potrzebne. To tylko graciarnia. Może ktoś by to od nas wynajął?

- Jeśli chodzi o poddasze, to nie mam nic przeciwko temu. Ale bardzo wątpię, że znalazłby się chętny.

- Dam ogłoszenie.

- Jak uważasz. Ja osobiście w cuda nie wierzę.

A jednak cud się zdarzył. I wprowadził się Maks.

Był niekłopotliwym lokatorem i nie miał wielkich wymagań. Strych był mu potrzebny do urządzenia pracowni, ponieważ był malarzem. Siedział więc sobie całymi dniami na swoim poddaszu i malował, nie absorbując nikogo swoją osobą. Problem był tylko z tym, że Fuksja go nie lubiła. Ale co to w końcu za problem. Flora nie przejmowała się fanaberiami Fuksji. Gdyby tylko takie zmartwienia były na świecie.

Prawdziwy problem miał się dopiero pojawić.

Tomek coraz mniej czasu spędzał w domu.

Z początku Flora nic nie podejrzewała. Ale kiedy praktycznie wyprowadził się z małżeńskiej sypialni, sprawa zaczęła być poważna.

Przez jakiś czas konsekwentnie wypierał się, że ma romans, ale w końcu nie było już czemu zaprzeczać. Flora przyłapała go na randce z dużo od niej młodszą i co najbardziej bolesne - ładniejszą dziewczyną. Czy bolałoby ją mniej, gdyby dziewczyna była brzydsza? Pewnie nie, ale mogłaby przynajmniej mówić: „Co ty w niej widzisz, ma strasznie krzywe nogi i garbaty nos”. Albo: „Jak ty się nie wstydzisz pokazywać z takim tłumokiem na mieście - przecież po twarzy widać, że nie ma w sobie za grosz inteligencji”. Albo jeszcze coś innego w zależności od sytuacji. A tak mogła tylko płakać i uzalać się nad sobą. Dziewczyna Tomka miała dwie urocze córki - bliźniaczki, więc nawet jego potrzeba ojcostwa zo-

stała zaspokojona. Flora nie mogła się z tym pogodzić. Jak mógł zostawić Fuksję na łasce losu i to teraz, kiedy już się do niego przywiązała, co za drań, myślała. Dobrze przynajmniej, że jest ten Maks. Fuksja go wprawdzie nie lubi, ale ma się kto nią zająć w razie konieczności. I zdarzało się to coraz częściej.

Pola, która do tej pory zajmowała się domem, też zaczęła gdzieś znikać. „Idę do teatru” - mówiła. I wracała po północy. Jej miłość do teatru była usprawiedliwiona, bo Pola w czasach młodości była aktorką. Ale które przedstawienie kończy się po północy? Flora nie bardzo ją lubiła. Pola była drugą żoną jej nieżyjącego już ojca i musiały mieszkać razem, ale Flora chętnie by ją wyeksmitowała. Teraz nadzieja na opuszczenie przez Połę domu zaczynała być realna, bo wszystko wskazywało na to, że Pola też ma romans.

Któregoś dnia oznajmiła, że wkrótce wychodzi za mąż.

Po jakimś czasie Florę również dosięgło przeznaczenie.

Przeznaczenie miało na imię Mietek i było mikrobiologiem. Mietek może nie był najprzystojniejszy, ale Flora też przecież piękną nie była. Po odejściu Tomka Mietek wydał jej się jedyną i niepowtarzalną szansą na ułożenie sobie życia od nowa. Niech sobie Tomek nie myśli, że jej już nikt nie chce. Że jak odszedł od niej, to wszystko się dla niej skończyło. Otóż nie, dopiero teraz się zaczyna. Nie protestowała więc, kiedy Mietek zaczął się powoli do niej wprowadzać.

Kłopot był tylko z Fuksją.

Kiedy napomknęła Mietkowi o adopcji, absolutnie i zdecydowanie zaprotestował. Powiedział, że w jego wieku nie podejmuje się już takich decyzji, a poza tym on nigdy nie przepadał za dziećmi. To jedno.

A jest jeszcze druga strona medalu. On jest naukowcem i musi mieć spokój do prowadzenia badań. A jak można skupić się na badaniach, kiedy po domu cały czas kręci się i hałasuje jakieś dziecko? O adopcji nie ma mowy. Albo on, albo Fuksja.

Flora bardzo się zmartwiła.

Żal jej było dziewczynki, ale trzeba było znaleźć inne wyjście. Tym innym wyjściem mógł być tylko Maks. Chętnie zajmował się Fuksją, choć ona nadal nie

darzyła go sympatią. Flora miała jednak nadzieję, że to w końcu minie i Fuksja przyzwyczai się do niego.

Za wszelką cenę chciała zapewnić dziewczynce opiekę i oszczędzić jej powrotu do domu dziecka.

Ale przeciwności losu sypały się jak z rękawa.

Najpierw Maks został aresztowany pod nieprawdziwym zarzutem i Flora musiała go wyciągać z więzienia.

Potem wpadł pod samochód i znów Flora była jedyną osobą, która go reanimowała i uratowała od niechybnej śmierci.

Wszystkie te jej starania, choć bardzo chwalebne, nie przyniosły jednak oczekiwanego rezultatu.

Po wyjściu ze szpitala Maks, zagipsowany i unieruchomiony, był tylko zawalidrogą i nie wiadomo było, czy w pełni wróci do sprawności fizycznej. Poza tym był samotny, a samotnym osobom sądy z reguły nie przyznają opieki nad dziećmi.

Plan Flory nie miał szans powodzenia.

Zaczęła więc szukać innego wyjścia. Przypomniała sobie bezdzietnych znajomych Tomka, którzy kiedyś, zachęceni jego przykładem, postanowili też zostać rodzicami zastępczymi. Niestety, okazało się, że nie przeszli wstępnych testów i na rodziców zastępczych się nie nadają.

Flora była załamana. Wyglądało na to, że Fuksja będzie musiała wrócić do domu dziecka.

I wtedy pojawiła się Sabina, była narzeczona Maksa. Miała co prawda męża w Ameryce, który był ojcem jej młodszego syna, ale ciągle jakieś sprawy łączyły ją z Maksem. Flora wołała nie dociekać jakie.

To było zadziwiające, jak szybko dziewczynka ją zaakceptowała. Sabina zabierała Fuksję na jakieś tajemnicze wyprawy do miasta, kupowała jej różne drobiazgi, przebierała, pozwalała przymierzać swoje korale, szale, pantofle i bransoletki, i obie się przy tym świetnie bawiły. Flora była trochę zazdrosna. Maks najwyraźniej też. Ale dziewczynka przyłgnęła do Sabiny, a Sabina zaczynała coś

przebąkiwać o adopcji. W końcu powiedziała, że chce ją zabrać do Ameryki, do swojego amerykańskiego męża i tam adoptować. Flora uznała, że to dobre wyjście i po naradzie oboje z Tomkiem wyrazili na to zgodę.

Nikt wtedy nie przewidywał, że pobyt Fuksji w Ameryce przeciągnie się na kilka lat i że Sabina, po rozwodzie i wielu zawirowaniach życiowych, wróci do Maksa i do Polski.

W sądzie rodzinnym sprawa potoczyła się bardzo szybko. Pani sędzina poprawiła łańcuch na szyi i odczytała orzeczenie:

„Do czasu rozstrzygnięcia postępowania karnego przeciwko Sabinie M. o zatrzymanie małoletniej Adrianny K. w Stanach Zjednoczonych, ma ona zostać umieszczona w placówce opiekuńczo-wychowawczej ”.

Sabina nie wierzyła własnym uszom.

Sprawa karna o zatrzymanie?! Jaka sprawa karna? Jakie zatrzymanie? To jakiś absurd.

Trzeba to jak najszybciej wyjaśnić. Ale przecież zanim się wszystko wyjaśni, może minąć rok, albo i parę lat!

A do tego czasu Fuksja ma zostać odesłana do jakiejś placówki! Do jakiej znowu placówki? Pewnie do domu dziecka!

To niemożliwe. Chyba coś się sądowi pomyliło!

Przecież to nie przedmiot. Zabierać dziecko z domu, w którym ma rodzinę i wysłać gdzieś na poniewierkę wśród obcych? Jak można być tak okrutnym? Dobrze, w porządku, niech mnie ukarzą, myślała Sabina, niech mnie nawet wsadzą do więzienia, ale za co karać to biedne dziecko? Natychmiast trzeba się od tego odwołać. Nie ma co myśleć o zamianie mieszkania i poprawie warunków, kiedy zagrożona jest rodzina. Być może trzeba będzie wyjąć wszystkie oszczędności z banku, sprzedać biżuterię i co tylko się da, zapożyczyć się i wynająć najlepszego adwokata, żeby ratować Fuksję?

Sabina i Maks wyszli z sali rozpraw na korytarz, gdzie czekała na nich niezdecydowana Fuksja. Sabina przytuliła ją i pocałowała w policzek. Maks milczał.

- Coś się stało? - spytała dziewczynka.

- Nic. Jeszcze nic - powiedziała Sabina zduszonym głosem. Dławiły ją łzy.

- Widzę, że coś się stało.

- Jeszcze na razie nic nie jest przesądzone. To pierwszy wyrok. Będziemy walczyć. Będziemy się odwoływać. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Ale co się stało? Coś mi chcę zrobić? Maks przełknął ślinę.

- Posłuchaj - powiedział. - Nie możemy cię okłamywać. Sąd chce, żebyś wróciła do domu dziecka. Ale na razie nie mamy się czym przejmować. Nie martw się. Na pewno cię nie oddamy.

Fuksja westchnęła. Na policzki wystąpiły jej rumieńce, zagryzła wargi.

- Chodźmy do domu - powiedziała.

Następnego dnia Sabina weszła do pokoju dzieci, żeby je obudzić do szkoły, i zastała łóżko Fuksji zaścielone, a na łóżku kartkę:

„Do domu dziecka nie pójde. Powiedzcie to sądowi. Prędeż się zabiję. Wyjeżdżam. Może jeszcze wróce, a może nie. Nie róbcie krzywdy mojemu kotu”.

Boże! Co to dziecko najlepszego zrobiło? Gdzie jest?

Sabina wybiegła z pokoju i obudziła Maksa.

- Maks, Maks! Wstawaj! Fuksja uciekła z domu!

- Niemożliwe!

- Zobacz. Zostawiła kartkę.

- Chryste Panie! Trzeba ją ratować! Gdzie ona może być? Gdzie pojechała?

- Może pojechała szukać rodziców?

- Przecież nic o nich nie wie.
- A skąd my możemy wiedzieć, co ona wie?
- Pisze, żeby nie robić krzywdy jej kotu. Tak jakbyśmy kiedykolwiek go krzywdzili. Ja go nie krzywdziłem.
- A ja? Co ja mu takiego zrobiłam?
- No, nieraz od ciebie oberwał.
- Wiesz co? Przynajmniej nie mów głupstw!
- Nie kłóćmy się. Zastanówmy się lepiej, co robić. Chyba trzeba zawiadomić policję.
- Jeszcze czego! Żeby ją zakuli w kajdanki i odwieźli do izby zatrzymań? Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?
- Przecież dzieci nie zakuwają w kajdanki! I mają jakieś policyjne izby dziecka, czy coś takiego, specjalnie dla dzieci.
- Nie wierzę policji za grosz! Sami będziemy jej szukać. Do pokoju zajrzał Robert.
- Co się stało?
- Nic. Ubieraj się do szkoły.
- Gdzie Fuksja?
- Wyprowadziła się.
- Bo ją denerwowałem?
- Bo ją denerwowałeś. Idź się myć i szybko się ubieraj, bo nie zdążysz na lekcje.
- Ale wróci?
- Wróci. Pospiesz się.

Robert zniknął w łazience.

- Gdzie są te wszystkie papiery z sądu? - zapytał Maks.

- Jak to gdzie? W kasetce.

- Czy Fuksja do nich zaglądała?

- A skąd ja mogę wiedzieć?

- Bo tam był adres jej matki.

- Może do niej pojechała?

- Może.

Trzęsącymi się rękami Sabina zrobiła śniadanie Robertowi, a Maks odprowadził go do szkoły. Kiedy wrócił, Sabina nerwowo chodziła po pokoju.

- Musimy przeszukać jej biurko. Może znajdziemy coś, co nas naprowadzi na jej ślad.

Zaczęli systematycznie przeglądać szuflady, ale oprócz dziewczęcych drobiazgów nie było w nich nic ciekawego. Jakieś spinki, wstążeczki, lusterko, kamiki i muszelki, wycinki z gazet, płyty i wydruki z komputera.

- Tu nic nie znajdziemy.

- Może pod łóżkiem. Albo pod materacem. Rzeczywiście. Pod materacem leżał zeszyt. Pamiętnik Fuksji.

- Nie możemy tego czytać. To nieetyczne! - zaprotestował Maks.

- Wiesz co? Nie zawracaj mi głowy. Żeby ją ratować, jestem gotowa zabić, a ty mi mówisz, że nie mogę przeczytać pamiętnika? Mogę i przeczytam! Bo tu chodzi o jej bezpieczeństwo, a może i życie! I naprawdę nie obchodzi mnie, czy to, co robię, jest etyczne czy nieetyczne. Jak masz takie wrażliwe sumienie, to wyjdź stąd i zapomnij, że znaleźliśmy ten pamiętnik. A ja go przeczytam. I wtedy zdecyduję, co dalej robić.

Maks zamilkł.

- Pójdę przejrzeć papiery w kasetce - powiedział po chwili i wyszedł.

Sabina usiadła na łóżku Fuksji i zaczęła czytać.

To NIE JEST pamiętnik.

Tylko głupie, nastolatki piszą pamiętniki.

To jut ZAPIS WYDARZEŃ, jakie mnie w życiu spotkały, i REFLEKSJE ŻYCIOWE. Dlatego nie będę pisała, co jadłam w sobotę, i jakie, majtki założyłam w środę.. I nie będę pisać, że się zakochałam, czy coś takiego. Ponieważ to są wszystko głupstwa, a ja mam naprawdę poważne. problemy.

Przede wszystkim nie wiem, kim są moi rodzice. I dlaczego znalazłam się w domu dziecka.

Dawniej się nad tym nie zastanawiałam. Myślałam nawet, że w ogóle, nie mam rodziców, że wylęgłam się z jajka czy z czegoś takiego, do czego nie są potrzebni żadni rodzice. Ale potem dowiedziałam się, że ludzie, muszą mieć ojca i matkę. Że inaczej się nie da.

A ja przecież jestem człowiekiem. No więc gdzie ci moi rodzice muszą być.

I ciekawe, kim są. I czy w ogóle, żyją. Bo może już nie. żyją?

Gdyby na przykład byli cyrkowcami i spadli z wysokości na arenę, to by nie żyli, a ja zostałabym odesłana do domu dziecka.

Albo gdyby Cyganie, ukradli mnie. moim prawdziwym rodzicom, a potem już nie. pamiętali, skąd mnie wzięli, to jakby ich policja wytropiła, to też zostałabym zabrana do domu dziecka.

Albo gdybym została zamieniona w szpitalu i ci nieprawdziwi rodzice nie chcieliby mieć zamienionego dziecka, to też odesłaliby mnie do domu dziecka. Jakby nie myśleć, to tak czy inaczej musiałabym trafić do domu dziecka.

I trafiłam.

Początków nie pamiętam, bo byłam za mała. Ale. kiedy skończyłam trzy lata, zostałam przeniesiona do domu dla starszych dzieci i miałam tam mieszkać aż do dorosłości, chyba że przedtem ktoś by mnie. stamtąd zabrał, do jakiejś rodziny, która zechciałaby mnie do siebie, przyjąć.

Ale. jakoś nikt mnie nie chciał.

Nie byłam grzecznym dzieckiem i nie umiałam się bawić z innymi dziećmi. Wychowawczynie mówiły, że jestem nadpobudliwa. Wyzywałam swoje koleżanki i kolegów od debili i przygłupów i plułam im do zupy.

Jednemu, który mnie szczególnie zdenerwował, oplułam nawet kotlet. Wdawałam się w bójkę, z chłopakami też. I przeważnie zwyciężałam. Walłam gdzie popadnie i kiedy wpadałam w złość, to nawet wychowawczynie omijały mnie z daleka.

Jednym z najgorszych moich postępów było wklejeniu gumy do żucia we włosy pupilki wychowawczyń, bardzo grzecznej Julci.

To nie była moja guma, tylko Julci, a Julcia dostała ją od jakiejś cioci w prezencie. Żuła ją z dumną miną, pokazując wszystkim, że jest od nas lepsza, bo ma gumę balonową, a my nic. Spytałam, czy da mi trochę pożuć, jak się już zmęczy żuciem. Julcia zapytała, co jej za to dam. Powiedziałam, że nic. Na co ona powiedziała, że da mi gumę, jeśli do niedzieli będę robić wszystko, co mi każe. Powiedziałam, że dobrze. Julcia wyjęła gumę z ust i podała mi na wyciągniętej ręce. I wtedy wkleiłam ją jej we włosy. Guma nie dało się wydlubać i trzeba było wyciąć ją razem z włosami. Piękna Julcia chodziła teraz z łysinką i nienawidziła mnie jeszcze bardziej.

W ogóle to chyba nikt mnie nie lubił. Bo czy można sobie wyobrazić gorsze dziecko?

Kiedy przyjeżdżali różni wujkowie i ciocie, wychowawczynie nie chciały robić im kłopotu i nigdy nie zabielały mnie do pokoju, gdzie zapraszane były grzeczne dzieci, wybrane do adopcji.

Co sobota wystawaliśmy w holu, patrząc na drogę dojazdową i rozplaszczając nosy o szybę. Tą drogą przyjeżdżały czasem samochody z mamami, a nieraz nawet z tatami do niektórych dzieci. Oraz z ciociami i wujkami do tych, którzy nie mieli rodziców. Mam i tatów było mało i rzadko się pojawiali. Me ciocie i wujków też nie było za dużo.

Ja na nikogo nie czekałam, ponieważ nigdy nikt mnie nie odwiedzał.

W soboty wystawiałam w hola jak inne dzieci, odświętnie ubrana i z kokardą we włosach, patrząc na kolejnych wujków i ciocie. Jeżeli przyjeżdżali, bo czasem

to nikt nie przyjeżdżał. Stałam więc i patrzyłam na drogę. Tak dla rozrywki, bo i tak nie było co robić.

Pewnego dnia przyjechała jakaś dziwna para.

On był wysoki i bardzo poważny. A ona wyglądała trocką, tak, jakby sama nie. wiedziała, czego chce.. W każdym razie nie jak typowa ciocia szukająca dziecka do adopcji. Miała na sobie dzinsy i zadrukowaną, bawełnianą koszulkę. Była chuda jak chłopak i miała zaczerwieniony nos, jakby od kataru. Weszli i stanęli w holu, rozglądając się.

Pojawiła się dyżurna wychowawczyni, ciocia Jola, i zaprosiła ich do gabinetu. Ale oni stali i patrzyli. Zawsze tak było.

Wiedziałam, że będą się teraz przypatrywać dzieciom, zastanawiać się, wybierać.

Ta dziewczynka nie, bo chcielibyśmy blondynkę, a ona ma ciemne, włoski i pewnie będzie brunetką, a u nas w rodzinie nie ma brunetów, może tamten chłopczyk, ale on ma chyba wadę wzroku, to też raczej nie, bo my nie. mamy zbyt wiele pieniędzy, a być może potrzebne będzie kosztowne leczenie, może tamta dziewczynka, ale ona jest za duża, wolelibyśmy mniejsze dziecko, bo mniejsze łatwiej się przyzwyczajają, o, może tamto, ale dlaczego ono chodzi z pieluchą, przecież dzieci w tym wieku nie noszą pieluchy, aha, moczy się i w nocy też, no, to jednak nie., itd., itd... Setki warunków.

Słyszałam nieraz te rozmowy, odbywane w gabinecie.

Oczywiście, że podśluchiwałam.

Inaczej niczego bym się nie dowiedziała. Potem, jeśli mnie przyłapano, dostawałam karę, nie dawano mi kolacji albo miałam zakaz wychodzenia na podwórko, albo nie pozwalano mi oglądać bajek w telewizji. Nie robiło to na mnie wrażenia. Przywykłam do myśli, że jestem złym dzieckiem, odmieńcem, z którego nic dobrego nie wyrośnie. A skoro nie rokowałam żadnych nadziei na bycie porządnym człowiekiem, to było mi wszystko jedno.

Robiłam, co chciałam.

Niespodziewanie dziwna para podeszła do mnie. Kobieta zapytała, jak mam na imię, odpowiedziałam, że Ada. Wtedy oni się przedstawili.

Zdziwiło mnie, że mężczyzna powiedział o sobie Tomek, a nie wujek Tomek, a o swojej żonie Flora, a nie ciocia Flora.

Powiedzieli, że mają w domu fantastycznego kota i czy chcę go zobaczyć. Pewnie., że chciałam. Więc kiedy zapytali, czy do nich pojedę, to się zgodziłam.

Prawdę mówiąc, złościło mnie. to ciągle, ciociowanie i wujkowanie. Cały świat pełen wujków i cioć. Wiedziałam, że normalne, dzieci mają kilka cioć i kilku wujków. A my całe. stado. Każdy, kto się. pojawi, to od razu wujek. Nawet woźny, który ciągle Szturchał nas kijem od szczotki, jakby się nas brzydził, też był naszym wujkiem.

Ciocia Jola przyjrzała się mojej wiśniowej sukience, w którą byłam ubrana, ale widać uznała, że nie pobrudziłam jej jeszcze na tyle, żeby trzeba było mnie przebierać, choć zdarzało się, że już po godzinie noszenia moje ubrania były w oplakany stan. Tym razem jednak jakimś dziwnym trafem tak nie było. Przyniosła mi tylko na wszelki wypadek sweterek i coś tam na zmianę i poszliśmy do samochodu.

Tego dnia nie zobaczyłam kota. Bardzo byłam rozczarowana. Może on w ogóle nie istnieje? Może tak tylko powiedzieli?

Wieczorem dostałam książeczki z obrazkami i lalkę, która wcale, mi się nie spodobała, choć umiała mrugać oczami, płakać i mówić „mama”. Posadziłam ją na półce, tak jak robiło się z lalkami i misiami w domu dziecka i przestałam się nią interesować.

Kot przyszedł rano. Sam otworzył sobie drzwi i od razu wskoczył mi na łóżko. Strasznie się go na początku bałam. Ale zaczął mrużyć, a potem zasnął i ja też zasnęłam. Kiedy Flora przyszła mnie obudzić, kot się przeciągnął, wyprostował łapy, wstał, wygiął grzbiet i zeskoczył z łóżka. Był przepiękny. Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego. Żadna lalka, żadna zabawka, nie mogły się z nim równać.

Zeszłam na śniadanie, które Flora podała przy dużym stole w kuchni. Kot też się do nas przyłączył, wskoczył na krzesło i pomiaukiwał, a Tomek od czasu do

czasu dawał mu skrawki wędliny, choć Flora protestowała i mówiła, że jest przeciwna rozpuszczaniu tego bezczelnego zwierzęcia. Ale widać było, że nie mówi tego na poważnie.. Byłam zachwycona. Dom nie był już straszny i coraz lepiej się w nim orientowałam. Wiedziałam już, gdzie są łazienki, gdzie wyjście na werandę, a gdzie na ulicę.

Bardzo chciałam ta jeszcze przyjechać.

Ale na razie musiałam wrócić do domu. dziecka, którego nienawidziłam, Inów zaczęło się co sobotnie oczekiwanie w hola. Tylko że teraz miałam już na kogo czekać. Z niecierpliwością patrzyłam to na duży zegar wiszący na ścianie, którego wskazówka wyjątkowo powoli się przesuwiała, to na drogę. W końcu pojawiał się dość stary, czerwony samochód i przyjeżdżał Tomek z florą i jechaliśmy do domu, który był coraz bardziej moim domem i do kota, który był coraz bardziej moim kotem, aż w końcu pewnego dnia wyprowadziłam się z domu dziecka na dobre, flora powiedziała, że teraz będę się nazywać fuks ja.

Nie wiedziałam, dlaczego zmieniają mi imię, ale nie protestowałam. Pomyślałam, że widocznie są jakieś ważne powody, choć Flora twierdziła, że nie ma żadnych innych poza tym, że kiedy mnie zobaczyła po raz pierwszy w mojej aksamitnej, wiśniowo-różowej sukieneczce, to skojarzyła się jej z kwiatkiem Fuchsji. Trzeba przyznać, że było to głupie tłumaczenie. Gdyby tak każdemu zmieniać imię tylko dlatego, że ubrał się tak czy inaczej, to każdy by miał po sto imion, a jedno głupsze od drugiego. Wydało mi się. to dziwne, ale Flora w ogóle była dziwna.

Tomek uczył mnie różnych rzeczy. Zabierał do siebie, do gabinetu, i najwięcej ze wszystkich się mną zajmował. Czytać nauczyłam się jeszcze w domu dziecka, kiedy miałam niecałe pięć lat. A może nawet jeszcze wcześniej. Z pisaniem było trochę gorzej, ale jakoś sobie radziłam. Tomek uznał, że to o wiele za mało. Nauczył mnie porządnie pisać, posługiwać się komputerem, płynnie czytać, liczyć, opowiadał bardzo ciekawe historie o gwiazdach, starożytnych bogach, wulkanach, dinozaurach, bakteriach i zwierzętach, a także czytał mi wiersze, najczęściej o przyrodzie i mówił, co poeta miał na myśli.

W ogóle. kazał mi się dużo uczyć. Mówił, że będzie mi to w życiu bardzo potrzebne. Początkowo nie wiedziałam, dlaczego to takie ważne. Potem zrozumiałam.

Zaczęłam czytać u Tomka w gabinecie różne książki. Najczęściej nie wiele z nich rozumiałam, ale wtedy pytałam Tomka i on wszystko mi tłumaczył albo mówił, że to jeszcze nie dla mnie.

Aż kiedyś wpadła mi w ręce książka o szpiegach.

Były tam opisane różne rzeczy, ale było też o tym, że ci szpiegzy mieli dziecko i nie mogli się z nim widzieć, bo zostali wysłani gdzieś daleko, a dziecko musieli zostawić. I wtedy nagle wszystko zrozumiałam.

Nie było wątpliwości.

Moi rodzice byli szpiegami.

Nie mam na to dowodów, bo w tych sprawach nigdy nie ma dowodów, ale myślę, że jest to jedyne wytłumaczenie na te wszystkie, dziwne wydarzenia w moim życiu. Wszystko wskazuje na to, że byli agentami biorącymi udział w międzynarodowych spiskach i tajnych akcjach i z tego powodu nie mogli mnie mieć przy sobie.

Kiedy zapytałam Tomka, czy szpiegzy mogą mleć przy sobie dziuni podczas swoich szpiegowskich działań, odpowiedział, że nie.

Jak się prowadzi takie niebezpieczne życie, to dziecko trzeba chronić. I nie można go ze sobą wozić, to proste. W tej książce wszystko było dokładnie wyjaśnione. Dlatego moi rodzice musieli mnie oddać do domu dziecka.

A potem zostałam stamtąd zabrana.

Czy to był przypadek, że Flora i Tomek od razu podeszli do mnie, choć około było tyle innych dzieci, lepszych, ładniejszych, a już na pewno grzeczniejszych? Nie. Myślę, że wykonywali po prostu swoje zadanie.

Chodziło o to, żeby mnie stamtąd zabrać. Może groziło mi jakieś niebezpieczeństwo?

Zmiana imienia była pierwszym sygnałem, że nie jestem zwyczajnym dzieckiem. Pewnie trzeba było zmienić mi imię, żeby wrogie agentury nie wpadły na mój trop.

W domu dziecka wołano na mnie Ada. Kie wiem, czy było to moje prawdziwe imię. Ale było to imię zapisane w dokumentach.

Kiedy znalazłam się w rodzinie zastępczej u Tomka i Flory, zaczęto wołać na mnie Fuksja.

Potem Flora znowu próbowała zmienić mi imię. Ale pewnie zmiana nie okazała się konieczna, bo tylko na próbie, się skończyło.

A potem zostałam wywieziona do Ameryki, gdzie zostało mi zmienione nie tylko imię, ale i metryka. W Ameryce nazywałam się Dalia.

Myślę, że nic nie działo się przypadkiem i że maczało w tym palce Si Aj Ej.

To znaczy CIA. To jest taka wywiadowcza agencja amerykańska, która ma swoich ludzi na całym świecie. To znaczy swoich agentów.

Ludzie, którzy mnie otaczali, też byli agentami i mieli swoje zadania do spełnienia. A jeszcze musieli opiekować się mną, co też należało do ich zadań. I musieli mnie chronić przed niebezpieczeństwami, na jakie z pewnością narażone jest dziecko szpiegów. Może na przykład zostać porwane przez wrogi wywiad. Można wtedy szantażować rodziców albo próbować przeciągnąć ich na swoją stronę.

To wszystko było dokładnie opisane w książce. Może Tomek specjalnie zostawił ją na wierzchu, żebym mogła przeczytać i zorientować się, co mi grozi? Nie mógł przecież rozmawiać o tym ze mną wprost, bo to są wszystko tajemnice wywiadu.

Musiałam więc starać się pomagać swoim opiekunom i nie narażać ani ich, ani siebie na niepotrzebne ryzyko, gdyż to mogłoby zaszkodzić moim rodzicom. Musiałam też nauczyć się rozpoznawać wrogów.

Od tej pory bardzo się pilnowałam, żeby nikt obcy nie dowiedział się prawdy o mnie.

Staralam się sprostać oczekiwaniom Tomka, bo wyglądało na to, że on jest szefem całej siatki ulokowanej w tym domu. Oprócz Tomka i Flory mieszkała tam

jeszcze Pola, która podobno była matką Flory, ale jak się potem okazało, wcale nią nie była, a wkrótce miała się pojawić jeszcze bardziej zagadkowa postać - Pan Malarz, czyli Maks, który od początku mi się nie podobał i który wyglądał na podwójnego agenta, a już zwłaszcza na płatnego mordercę.

Mimo zdenerwowania Sabina parsknęła śmiechem. Maks i płatny morderca! Większego safandulę niż Maks trudno sobie wyobrazić. To dziecko ma naprawdę olbrzymią fantazję!

- Maks! - zawołała. - Chodź tu na chwilę!

- Coś znalazłaś?

- Nie, ale chcę ci coś przeczytać.

- Nie będę czytał jej pamiętnika!

- Dobrze. To tylko coś ci powiem. Fuksja uważała cię za płatnego mordercę. Wiesz?

- Wiem.

- Wiedziałeś o tym? Nie do wiary!

- Oczywiście. Na początku bardzo się nie lubiliśmy. To normalne.

Sabina pokręciła głową.

- Uważasz to za normalne? Maks wzruszył ramionami.

- A dlaczego nie?

- Znalazłeś coś w tych dokumentach?

- Jeszcze nie.

- Gdzieś przecież musi być jakiś ślad!

- Oczywiście, że jest. Pamiętam dobrze, że w tych sądowych aktach było nazwisko i adres jej matki. Trzeba to tylko znaleźć.

- Ona pewnie znalazła. Nie uciekałyby w ciemno.

- Też tak myślę.

- To szukajmy dalej.

- To było chyba inne nazwisko niż to, które ma w metryce.

- Bo ona nosi nazwisko swojego biologicznego ojca. Zdaje się, że uznał swoje ojcostwo, dał jej nazwisko i tyle go widzieli. Pewnie gdzieś wyjechał. Może za granicę. Jego adresu nie było w aktach.

- Ale matki był.

- To szukajmy dalej.

- Szukajmy.

Maks wrócił do szukania dokumentów, a Sabina do pamiętnika.

Nienawidziłam Makia. Nie tułem właściwie, dlaczego, bo nic mi złego nie zrobił, ale ciągle zdawało mi się, że coś knuje i że został skierowany do naszego domu, żeby nas wszystkich rozszyfrować i wydać. Nie wiedziałam tylko komu, ale na pewno komuś, kto był naszym wrogiem.

Me potem wszystko zaczęło się zmieniać.

*Niespodziewanie Tomek się wyprowadził. Mówiło się, że to dlatego, że roz-
wodzi się z Florą. Ale ja w to nie wierzyłam. Na pewno otrzymał jakieś inne za-
danie do wypełnienia. Po jego wyprowadzce wszyscy po kolei zaczęli się wypro-
wadzać. I w końcu został tylko Maks. Flora jeszcze czasem wpadała do domu, ale
rzadko. Wtedy zaczęłam się zastanawiać, czy nie mylę się co do niego. Opiekował
się mną i uczył mnie angielskiego. Tak nie mógł postępować wróg. A więc kim
był?*

*Może został przysłany specjalnie po to, żeby się mną zająć, ponieważ Tomek
miał być wkrótce odwołany?*

To wyglądało logicznie.

Ale zachowywał się tak, że nie sposób było mu zaufać.

Przez telefon rozmawiał o takich sprawach, że aż mnie przechodziły ciarki. Mówił o pistolecie i że w każdej chwili może kogoś zadźgać nożem, i zobowiązał się nawet do zadźgania kogoś, sama to słyszałam na własne uszy. I potem ten ktoś rzeczywiście został zadźgany i była u nas policja. A mnie zagroził, że jak piśnę komuś słówko, to wywiezie mnie do lasu i zostawi, a mojego kota udusi. Mnie może wynaleźć, płoszę bardzo, ale dlaczego ma dusić mojego kota??!

Bałam się go, ale przecież nie. mogłam się do tego przyznać. Nie byłam zwykłym dzieckiem zwyczajnych rodziców i musiałam być dzielna. Nie wolno mi było okazywać strachu. Więc nie okazywałam.

A potem zamknęli go do więzienia, za to morderstwo, o którym pisałam.

Ale zaraz niedługo go wypuścili, bo podobno to nie on zamordował tego faceta, tylko ktoś inny. Ale to wszystko było jakieś niejasne i tajemnicze, tak że nie bardzo wierzyłam, że to nie on. Chyba jego szefowie byli bardzo ważnymi osobami, albo mieli bardzo dużo pieniędzy i to na pewno oni wyciągnęli go z więzienia, ponieważ był im potrzebny.

A potem przejechał go samochód i był w szpitalu.

Flora powiedziała wtedy, że chyba będę musiała wrócić do domu dziecka. Nie rozumiałam, dlaczego tak ma być, ale bardzo się tego bałam. Z dwojga złego to już wolałam zostać z Maksem, choć był płatnym mordercą. No, cóż, skoro ma taki zawód, to trudno. Nic na to nie poradzę. Ale w sumie nie jest przecież taki do końca zły. Przynajmniej dla mnie. I może jeszcze kiedyś się zmieni i będzie żałował swoich uczynków? Tak sobie myślałam.

Po wyjściu ze szpitala chyba przestał być przydatny swoim szefom jako płatny morderca, bo po zdjęciu gipsu to już nigdzie prawie nie wychodził, tylko ćwiczył swoją rękę i nogę.

Jakby nie, ćwiczył, to by pewnie, został kaleką i jeździł na wózku inwalidzkim i musiałby pójść na rentę. A tak, to jeszcze mógł się im do czegoś przydać.

Do pokoju zajrzał Maks.

- Znalazłem ten adres. Jej matka nazywa się Zofia Sopiela i mieszka w takiej małej miejscowości niedaleko Gdańska. O ile jeszcze mieszka.

Sabina przerzuciła kartki pamiętnika i zajrzała na koniec zapisków.

- No tak - powiedziała. - Najprawdopodobniej Fuksja tam pojechała. Pojedziesz tam. Sprawdź, o której masz pociąg. O, rany! Roberta trzeba odebrać ze szkoły! Która godzina? Może on tam siedzi i płacze? - spanikowała nagle.

- Jest jeszcze pół godziny.

- To leć. A ja cię tymczasem spakuję.

Maks wyszedł, a Sabina wyciągnęła z pawlacza walizkę, torbę i plecak. Chwilę się zastanawiała, a potem walizkę i torbę wrzuciła z powrotem na górę. Plecak na taką wyprawę wydał jej się najbardziej odpowiedni. Przecież nie jedzie na miesiąc, tylko najwyżej na kilka dni. Wyjęła z szafy bieliznę na zmianę, skarpety, bawełniane koszulki i sweter, z łazienki wzięła przybory do golenia, przyniosła torbę foliową na brudy, żeby nie mieszał brudnych skarpetek z czystymi rzeczami, jak to facet, włożyła to wszystko do plecaka i wyszła do kuchni.

Wrócił Maks z Robertem, Sabina podała obiad.

- Gdzie Fuksja? - zapytał Robert.

- Mówiłam już. Wyjechała.

- A kiedy wróci?

- Niedługo. Jedz.

- Kiedy niedługo?

- Jak wróci, to będzie.

- Ale kiedy?

- Nie wiem. Jedz.

- Dlaczego jesteś zła?

- Bo jestem. Widocznie mam powody. I nie zwracaj mi głowy.

Maks siorbał zupę i nie odzywał się. Kiedy skończyli jeść, Sabina odesłała Roberta do pokoju i powiedziała do Maksa:

- Spakowałam cię na drogę. Masz tu wszystko, co ci będzie potrzebne. Nie daję ci torby, tylko plecak, żeby ci było wygodnie. Nie będziesz męczył sobie rąk. A tutaj masz suchy prowiant. Ugotowałam ci dziesięć jajek na twardo, myślę, że na parę dni wystarczy.

- Ale po co mi jajka?! Przecież wszędzie mogę sobie kupić hamburgera, czy hot doga.

- Nie będziesz jadł tego świństwa. Dostyc się tego najadłeś w Ameryce. To niezdrowe. A jajka się nie psują i na pewno ci nie zaszkodzą. Tutaj masz chleb, świeże ogórki, sól i pieprz. I nożyk. Obierzesz sobie ogórka i nawet jak nie będziesz mógł sobie kupić nic do picia, to ogórek ugasi ci pragnienie, bo składa się w dziewięćdziesięciu procentach z wody. Tylko za dużo nie sól. Wszyscy nasi przodkowie zabierali ze sobą w podróż chleb, jajka na twardo i ogórki. To sprawdzony sposób. A poza tym to bardzo wygodne. Nie musisz szukać sklepu, żeby sobie coś kupić, jak zgłodniejesz, i możesz zjeść w każdym miejscu, nawet w rowie. I ekologiczne. Papierków i torebek foliowych nie możesz wyrzucić do rowu, ale skorupki od jajek i obierki z ogórka jak najbardziej. Pożywi się nimi jakieś zwierzę, albo same się rozłożą i użyźnią ziemię. No, to chyba wszystko. Adres wzięłeś? A pieniądze?

- Wziąłem.

- No, to pa. Trzymaj się. I nie wracaj bez niej.

- Ale ja mam jeszcze ponad trzy godziny do odjazdu pociągu!

- To usiądź. Mam plan. Przemyślałam już wszystko. Będziemy działać dwutorowo. Ty jej będziesz szukać, a ja nagłośnię sprawę. Musimy wywrzeć presję na sąd, żeby nie odesłali Fuksji do domu dziecka.

- Najpierw musimy ją znaleźć.

- No, więc mówię. Ty ją znajdziesz, a ja zrobię szum medialny.

- Ale jak chcesz to zrobić?

- Zwyczajnie. Tak jak się to robi w Ameryce. Okleję całe miasto zdjęciami Fuksji i napiszę, dlaczego uciekła z domu. Że to przez sąd. Że chcieli ją nam zabrać i oddać do domu dziecka. Pójdę do telewizji, do radia, do gazet, zamieszczę apel w internecie i opublikuję list Fuksji. Ale bez ostatniego zdania. O tym kocie. Bo jeszcze pomyślą, że jesteśmy sadystami i wszystko obróci się przeciwko nam, nie daj Boże. Napiszę, jakie bezduszne są sądy w Polsce. Że doprowadzają dzieci do ucieczki z domu i prób samobójczych. Cała opinia publiczna będzie po naszej stronie. Żaden sąd tego nie wytrzyma. A ta sędzina to ze wstydu nie będzie się mogła pokazać na ulicy. Maks westchnął.

- No, nie wiem. A jak chcesz trafić do mediów? Znasz kogoś w telewizji?

- Jak nie znam, to poznam. A poza tym - są specjalne programy. Zrobię wszystko, co możliwe i niemożliwe. Nie pozwolę, żeby mi ktoś skrzywdził dziecko. Trafię do samego prezydenta, jeśli będzie trzeba.

- Myślę, że to nie najlepszy pomysł.

- Dlaczego?

- Bo jak zaczniesz walczyć z sądami, to przegrasz. Żadna władza nie lubi, jak się z nią walczy. Władza lubi, jak się ją prosi. I jak się ją szanuje. Jak zaczniesz walczyć, to bardzo szybko udowodnią ci, że nie masz racji.

Zapadło milczenie.

- To co ja mam zrobić? - spytała bezradnie Sabina.

- Trzeba to rozegrać inaczej. Musimy ich wzruszyć. Ty musisz ich wzruszyć.

- Ale jak?

- Nie wiem.

- Może zwałę wszystko na Kevina? Powiem, że chciałam adoptować Fuksję razem z moim amerykańskim mężem, ale on okazał się draniem, rzucił mnie i zostawił bez środków do życia. Chciałam wrócić do Polski, ale nie miałam nawet na bilet i musiałam ciężko pracować na siebie i na dzieci. No i tak zeszło. Bardzo żałuję, że złamałam prawo, ale naprawdę tego nie chciałam i gdybym mogła, to wróciłabym stamtąd nawet na piechotę, ale przecież nie ma ścieżki przez ocean i pozostaje tylko samolot, który drogo kosztuje. No i jak?

- Hmm. A jak sprawdzą, i dowiedzą się, że Kevin jest ojcem Roberta, że uczciwie płaci alimenty i nawet wypłacił ci odszkodowanie za rozwód, to co?

- A dlaczego mieliby to sprawdzać? Robert nosi moje nazwisko.

- Po prostu cię zapytają. I będziesz musiała odpowiedzieć, bo w sądzie będziesz zeznawać pod przysięgą. A za krzywoprzysięstwo grozi kara.

- Przecież na początku Kevin mógł być draniem, nie? A potem, jak polubił Roberta, to nas dofinansował. I wtedy przyjechaliśmy. Muszę to jeszcze dopracować w szczegółach. Żeby mnie na czymś nie przyłapali. I dobrze byłoby trafić w prokuraturze na faceta. Łatwiej by go było wzruszyć.

- Czyja wiem? Czasem kobiety są bardziej wrażliwe.

- Muszę się przygotować na obie możliwości.

- Zastanów się jeszcze. Może lepiej mówić prawdę i nie kręcić?

- Ale kto uwierzy w prawdę?

- To ja już pójdę...

- Dobrze, idź. A ja się zastanowię. Boże, gdzie ona jest? Żeby tylko jej się coś nie stało. To przecież dziewczynka. I taka ładna!

Sabina niespodziewanie się rozplakała. Maks ją objął.

- Nie martw się. Znajdę ją. Zobaczysz.

Tymczasem Fuksja jechała na gapę pociągiem relacji Warszawa - Gdańsk. W kieszeni miała karteczkę z nazwiskiem i adresem kobiety, która według dokumentów miała być jej matką.

Prawie całą noc spędziła na Dworcu Centralnym.

Kupiła sobie kanapkę i butelkę coli i usiadła na pustej ławce na peronie, żeby w spokoju zjeść kolację. Jednak kiedy tylko odwinęła bułkę z folii i zamierzała ją ugryźć, jakiś oberwany włóczęga przechodzący obok wyrwał ją jej z ręki, chwycił coca-colę i uciekł, zanim zdążyła się zorientować, co się stało.

Na peronie było zimno. Wiało ze wszystkich stron, bez względu na to, czy pociągi przejeżdżały, czy też nie. Przejeżdżały zresztą rzadko. W nocy ruch jest mniejszy. Peron opustoszał i Fuksja zaczęła się bać. Tory ginęły w czarnych czełściach i przypomniały jej się wszystkie najstraszniejsze horrory oglądane w telewizji.

Wjechała schodami ruchomymi na górę. W hali dworcowej było cieplej, ale nie miała gdzie usiąść. W odległych kątach kryły się dziwne postacie, opatulone w łachmany, układające się do snu, pewnie bezdomni. Przycupnęła pod ścianą. Nieliczni podróżni ze zmęczeniem snuli się po hali, oczekując na porę odjazdu swoich pociągów.

Wkrótce znalazł się przy niej jakiś podejrzany typ i uśmiechając się nie-szczerze, zapytał:

- Jesteś sama, dziewczynko? Nie masz gdzie spać? Nie odpowiedziała, ale typ nie odchodził.

- Uciekłaś z domu? Mogę ci pomóc.

- Odwal się - powiedziała spokojnie. Właściwie powinna powiedzieć „Proszę pana, bardzo pana uprzejmie proszę, żeby pan mnie nie zaczepiał”, gdyż Sabina uczyła ją, że w Polsce do każdego mówi się „pan”, „pani”. Ale czy rzeczywiście powinno się tak mówić do każdego bez wyjątku? A zresztą w Ameryce do wszystkich mówi się na „ty” i jakoś nic się z tego powodu nie dzieje. I nikt się nie obraża. Ale typ zareagował.

- Nieładnie tak mówić do starszych. Mogę zawołać policję, jak będziesz taka niegrzeczna.

- A chcesz, żebym ja zawołała policję?

Typ natychmiast zrobił się przyjacielski i ugodowy.

- Żartowałem z tą policją. Ty też żartowałaś, prawda? Widzę przecież, że nie masz gdzie spać. Mógłbym cię przenocować. Nie bój się. Jestem ze stowarzyszenia opieki nad bezdomnymi dziećmi. No, to co? Pójdziemy?

- Tylko spróbuj mnie stąd ruszyć, to narobię takiego wrzasku, że zleci się cała policja z Warszawy i okolic. Ja się policji nie boję. A ty?

Typ zamamrotał coś pod nosem i odszedł zniechęcony.

Ale wkrótce pojawił się kolejny zbawca bezdomnych dziewczynek. Ten z kolei był dość stary i wyglądał na miłego dziadka. Wyjął z kieszeni jakieś cukierki i poczęstował Fuksję. Grzecznie podziękowała.

- Nie lubisz cukierków? A może wolisz czekoladę? Jeśli chcesz, to ci kupię. Tylko że tutaj już wszystko zamknięte. Ale możemy pojechać do supermarketu. Tam jest otwarte całą dobę.

- Dziadku - powiedziała Fuksja, ziewając - nie wysilaj się. Nigdzie stąd nie pójde. Nie jestem głupia. A czekolady zjadłam w życiu więcej, niż ty widziałeś. Idź lepiej spać, bo cię policja przytknie, jak będziesz się tak szwendał i zaczepiał dzieci.

Na słowo „policja” dziadek się skulił i podreptał dalej, pewnie zaczepiać inne dzieci, które plątały się po dworcu. To zadziwiające jak skutecznie działało hasło „policja”.

A teraz siedziała w pustym przedziale i jechała do kobiety, która mogła być jej matką, choć może nie była, ale Fuksja musiała to sprawdzić, bo to była jedyna szansa, żeby nie pójść do domu dziecka. Jeśli znajdzie choć jednego z rodziców, to na pewno wszystko się zmieni. Żaden sąd nie będzie miał już do niej prawa.

W Ameryce było dziwnie.. Od razu po przyjeździe, zajął się nami dość tajemniczy Amerykanin, który nazywał się Kevin Murphy. Wcale nie wierzyłam, że on się tak naprawdę nazywa. Był na pewno jakimś bardzo ważnym agentem amerykańskim. Miał dużo pieniędzy i to on decydował, gdzie mamy mieszkać i kiedy mamy się przeprowadzić. Najpierw mieszkaliśmy w Nowym Jorku, w dużym domu z basenem, ale bardzo krótko. Potem przeprowadziliśmy się do zwykłego mieszkania, w bloku, też w Nowym Jorku, ale w jakimi nieciekawym miejscu i Sabina była bardzo niezadowolona. Ale nie miała wyboru. Na szczęście przyjechał Maks. Teraz już wierzyłam, że jest moim opiekunem. Co z tego, że był mordercą. Każdy powinien mieć szansę na poprawę. A on bardzo się stanął. Przywiózł mi nawet mojego kota. Sabina była coraz bardziej zła.

W tym mieszkaniu w bloku mieszkaliśmy jeszcze krócej i znowu musieliśmy się przeprowadzić. Nie wszystko rozumiałam, ale skoro byłam dzieckiem szpiegów, to było jasne, że otaczali mnie. szpiegami i nie. musiałam wszystkiego rozumieć. Więc. Kevin był chyba najważniejszym z nich. Przyjeżdżał i mówił Sabinie., co ma robie. Trochę się go bałam. Sabina mówiła, że to jest jej mąż. Ale. on miał jeszcze jedną żonę, z którą był podobno rozwiedziony, ale. z nią mieszkał, więc co to za rozwód, i nie wiadomo, ile jeszcze miał żon poza tym. Więc to wszystko było nieprawdziwe. Te jego żony i wszystko, co mówił, też było nieprawdziwe. Kiedyś usłyszałam przypadkiem (nie podsłuchiwałam), że ślub z Sabiną był w Las Vegas i że to nie jest ważny ślub, ale że chce mnie adoptować, a potem się z nią rozwiedzie.. Czy zwykły człowiek tak postępuje? Zwykli ludzie się żenią, mają dzieci, pracują i nie wdają się w jakieś podejrzanе śluby w Las Vegas i rozwody. No i dlaczego chciał mnie adoptować? To było najdziwniejsze w tym wszystkim. Może miał za zadanie zająć się mną? Ale po co, skoro przyjechał Maks ? A może, co byłoby najgorsze, był wrogiem? Może tylko udawał, że chce mi pomóc, a w rzeczywistości chciał mnie. porwać i szantażować moich rodziców? To wszystko było straszne i przerażające i wiedziałam, że sama nie potrafię sobie z tym poradzić.

Na szczęście była Sabina, która pilnowała, żeby nikt mi nie zrobił krzywdy. Sabinie wierzyłam. Od początku wiedziałam, że mogę jej wierzyć. Bo ona była normalna. Właściwie to chciałabym mieć taką mamę. Ale przecież nie mogłam mieć dwóch.

Kiedy przyjechał Maks, Kevin był bardzo zdenerwowany. Nie okazywał tego, ale myślę, że chyba bał się trochę Maksa. Może się domyślał, że gdyby Maks chciał, toby go zastrzelił i już. Więc żeby się go pozbyć powiedział, że znowu musimy się przeprowadzić. I to gdzieś daleko od Nowego Jorku.

Zapomniałam powiedzieć o bardzo ważnej rzeczy. Nagle okazało się, że młodszy syn Sabiny, Robert, z którym się ciągle biłam i kłóciłam, jest synem Kevina i ma do niego mówić „tato”. To już zupełnie nie miało sensu. Ale Sabina uważała, a może tylko udawała, że wszystko jest w porządku. Nie wiedziałam, co ten Kevin knuje i po co mu te wszystkie dzieci, włącznie ze mną. Bo jeszcze miał dwie dziewczynki z tą drugą niby-żoną.

I nagle obudziło się we mnie straszne podejrzenie. Może on wcale nie jest agentem ani szpiegiem, tylko przestępcą i handluje dziećmi, albo ich narządami? Aż mnie ciarki przeszły. Było o tym kiedyś w telewizji i w internecie też pisali o takich przestępcach. Zaczęłam go obserwować. Ale się go bałam. Sabina się go nie bała, bo była odważna i wychodziła z nim.

A z nami siedział wtedy Maks. Ze mną i z Robertem. Bo Marcin, starszy syn Sabiny, to się nami wcale nie zajmował.

Ani w ogóle niczym.

No, więc znowu się przeprowadziliśmy. Do takiego niedużego miasta, gdzie zaczęłam chodzić do szkoły. Ale zanim poszłam do szkoły, to Sabina wyjechała do Nowego Jorku z Kevinem, a kiedy wróciła, powiedziała, że mam nową metrykę, mam na imię Dalia i na nazwisko tak jak Maks, bo on będzie teraz moim tatą. No i teraz coraz bardziej się przekonywałam, że za tym wszystkim stoi Kevin, który ma jakieś plany wobec mnie, a może nawet wobec moich rodziców. I wobec Maksa też. Wszystko wyglądało bardzo niebezpiecznie, bo raz nawet usłyszałam, że jakby przyszła policja, to Maks ma połknąć moją metrykę. Musiałam coś zrobić, żeby wszystkich wyrwać z łap Kevina i uratować, bo on był jeszcze bardziej niebezpieczny niż Dżejms Bond, o którym widziałam film w telewizji. Strasznie długo go oglądałam, bo co parę minut puszczali reklamy i trudno było w końcu się połapać, o co chodzi, myliły mi się reklamy samochodów z ucieczką Dżejmsa Bonda przed wrogami, reklamy materaców z jego romansami w hotelach, też na materacach, i reklamy hamburgerów z przyjaciółmi, na które chodził. Nikogo nie było w domu, to znaczy był Maks, ale tak jakby go nie było, bo siedział w swojej pracowni i malował, a ja siedziałam przed telewizorem, trochę przysypiałam, trochę się bałam, ale jedno co zrozumiałam z tego filmu, to było to, że Dżejms Bond był niebezpieczny, ale działał w dobrym celu. A Kevin raczej w złym.

Jedynym wyjściem był powrót do Polski i odnalezienie moich rodziców. Oczywiście wiedziałam, że wcale nie muszą być w Polsce. Mogli wypełniać jakieś misje w Afryce albo w Azji, a może nawet w Ameryce. Ale tylko w Polsce mogłam się czegoś o nich dowiedzieć, bo tam się urodziłam i tam na pewno był jakiś Ślad.

Więc zaczęłam się w szkole okropnie zachowywać. Chciałam, żeby mnie wyrzucili i żeby policja i jakieś władze zaczęły się nami interesować, to wtedy Sabi-

na i Maks będą musieli wrócić ze mną do Polski, albo zostaniemy deportowani czy coś i Kevin nie będzie nam mógł już nic zrobić.

No i rzeczywiście tak się stało.

Ale to dopiero później.

W pierwszej szkole udawałam, że jestem opóźniona w rozwoju, że nic nie mogłam zrozumieć prostych rzeczy. Nauczyciele załamywali ręce i naradzali się ciągle na mój temat, tym bardziej że Sabina powiedziała im, że jestem zdolnym dzieckiem. No, jeśli tak wygląda zdolne dziecko z Polski, to jakie tumany tam muszą być, pewnie sobie myśleli. Trochę mi było głupio, że psuję opinię dzieciom z Polski, ale przecież miałam ważniejszy cel niż popisywanie się swoimi wiadomościami. Więc w szkole nie tylko, że nic nie rozumiałam, ale jeszcze byłam - jak to oni mówią - nadpobudliwa. Rzadki przypadek debilizmu w połączeniu z ATM).

Ale w Ameryce nie tak łatwo wylenieć, że szkoły. Staralam się i starałam, aż w końcu poradzono Sabinie, żeby zmieniła mi szkołę na inną, gdzie są trochę mniejsze wymagania. Jeszcze na razie nie było wiadomo, w jakim stopniu jestem upośledzona umysłowo, więc nie proponowano mi szkoły specjalnej, tylko zmianę otoczenia. Może ktoś znajdzie na mnie sposób, takie rzeczy się zdarzają, bo zauważyli u mnie przebłyski inteligencji, więc może to się da rozwinąć. Pani psycholog była bardzo zatroskana i powiedziała, że pierwszy raz spotyka się z takim przypadkiem, a poza tym ma trudności ze zdiagnozowaniem mnie, bo nie rozumiem po angielsku.

Sabina była wściekła.

Od razu zrobiła w domu aferę. Ale nie mnie. Najpierw wyladowała się na Maksie. Od początku, odkąd przyjechał, była na niego zła. Po raz setny oberwało mu się za to, że przywiózł do Ameryki mojego kota, który nie zachowywał się najlepiej w nowym miejscu. Ale nie będę o tym pisać, bo to jest inny temat. I że mnie rozpuszcza. I że jak ja się zachowuję w szkole. Maks ją uspokajał. Tłumaczył, że pewnie nie mogę się zaaklimatyzować, bo to dla mnie stres, obce otoczenie, obcy język, inne zwyczaje i że może jestem szykanowana przez dzieci. Ale Sabina chyba mnie lepiej знаła niż Maks, bo powiedziała, że ja to robię specjalnie.

Maks nic na to nie odpowiedział, a Sabina dobrała się do mnie. Zapytała, czy to prawda, że nie daję sobie rady w szkole.

Wzruszyłam ramionami. Spytała, czy mi w czymś pomóc i że jeśli czegoś nie rozumiem, to mam pytać. Nauczycieli, albo Maksa i Sabinę. I że oni zawsze mi pomogą. A jak nie, oni, to Kevin.

Kevin! Jeszcze by tego brakowało!

Nie odpowiedziałam. Wtedy Sabina się zezłościła i powiedziała, że nie wierzy, że nie potrafię czytać po angielsku i jak to jest możliwe, że nie rozumiem, co się do mnie w szkole mówi. Powiedziałam, że nie rozumiem. I wtedy to już wpadła we wściekłość. Krzyczała na mnie, żebym nie udawała, bo coś niecoś chyba rozumiem, bo niemożliwe, żebym nic nie rozumiała. I powiedziała jeszcze, że ma do mnie bardzo dużo cierpliwości, ale. ona się w końcu wyczerpie i zapytała, o co mi właściwie chodzi. Milczałam. Co miałam odpowiedzieć?

Sabina opanowała się w końcu i powiedziała, że ostatni raz rozmawia ze mną na ten temat. Pierwszy i ostatni. Kazała mi przemyśleć moje postępowanie i zapytała, czy chcę, żeby mnie wysiali do szkoły specjalnej, jako niedorozwinięta,.. Jeśli tak, to proszę bardzo. Ona nie ma nic przeciwko temu.

Nie chciałam. W ogóle nie o to mi przecież chodziło. Zaczęłam więc, ku zdumieniu nauczycieli, robić błyskawiczne postępy w nauce, ale zachowywałam się nadal źle. Byłam uparta i niegrzeczna. Dzieci mnie nie lubiły. Więc w końcu zostałam przeniesiona do innej szkoły.

Fuksja zmęczona nieprzespaną nocą na dworcu skuliła się na twardym siedzeniu w rogu przedziału drugiej klasy i zamknęła oczy. Nie mogła jednak zasnąć. Bała się, że konduktor, sprawdzając bilety, odkryje, że jedzie na gapę, i na najbliższej stacji wezwie policję, i cała eskapada skończy się w policyjnej izbie dziecka. Po krótkiej drzemce przeniosła się więc do następnego przedziału, a kiedy zobaczyła konduktora, poszła do ubikacji. Gdy niebezpieczeństwo minęło, wróciła do przedziału i usiadła przy oknie, opierając głowę o ścianę. Grubawa pani wyjęła z torby kłębek wełny i druty i zaczęła dziergać. Co jakiś czas zerkała jednak ciekawie na Fuksję. W końcu nie wytrzymała:

- Sama jedziesz, dziecko?

- Nie - pokręciła głową Fuksja. - Jadę z rodzicami. Ale pokłóciłam się z moim bratem.

- Och - uśmiechnęła się pani - to tak jak moje dzieci. Ciągłe się kłóca.

Fuksji zamykały się oczy. W końcu zmęczona osunęła się na siedzenie i zasnęła. Pani przykryła ją swoim swetrem i tak szczęśliwie dojechała do Gdańska. Jak przez mgłę słyszała, że konduktor jeszcze raz sprawdzał bilety, a kiedy zapytał o nią, pani powiedziała:

- Jedzie z rodzicami, ale pokłóciła się ze swoim bratem. Teraz śpi. Przykryłam ją, żeby nie zmarzła.

Konduktor coś powiedział i drzwi przedziału się zamknęły.

Obudziło ją delikatne potrząsanie za ramię.

- Dziewczynko, wstawaj. Dojeżdżamy. Rodzice pewnie już cię szukają.

Fuksja usiadła i przetarła oczy.

- Dziękuję pani - powiedziała - I do widzenia. Wybiegła z przedziału akurat w momencie, gdy pociąg dojeżdżał do stacji Gdańsk Główny. Wyskoczyła na peron i rozejrzała się.

Była prawie u celu.

To była moja druga szkoła w Ameryce. A właściwie trzecia,, bo do drugiej prawie wcale nie chodziłam, bo się wyprowadziłam do innego miasta.

Z pierwszej zostałam przeniesiona z bardzo złą. opinią, ale z nadzieją, że się poprawię. W drugiej, czy trzeciej wcale nie miałam zamiaru się poprawiać, więc kiedy zostałam wezwana do dyrektora na rozmowę, nie spodziewałam się niczego dobrego. Pomyślałam, że tym razem pewnie całkiem wyrzucą mnie ze szkoły.

Mo i dobrze. Wrócimy wtedy do Polski.

Ameryka wcale nie jest taka tolerancyjna. Tak się tylko chwala.

W rzeczywistości wszystko jest na pokaz. Jak przychodzi co do czego, to okazuje się, że w ogóle nie mają tolerancji, la grosz.

I tak ze wszystkim. Nie tylko z tolerancją.

Mówią co innego, a robią co innego.

Piszą wszędzie., że tłuszcz jest niezdrowy, a jedzą wszystko tłuste, a najchętniej to chipsy, frytki i jajecznicę z bekonem z dodatkiem odsmażanych ziemniaków. I jeszcze jedzą takie krążki cebuli smażone na tłuszczu. Onion rings. I smażone kawałki świńskiej skóry, które sprzedają w torebkach na stacjach benzynowych i w sklepach. Wyrzygać się można.

Tak samo jest z solą. Ostrzegają, żeby nie jeść dużo soli, bo niezdrowa, a solą wszystko - biały ser, margarynę, orzeszki i wszystko, co tylko da się posolić.

Mówią, że kłamię. A co ich to obchodzi, że kłamię? Widocznie mam powody. Tak jakby oni nigdy nie kłamali.

Dyrektor wezwał mnie do gabinetu i zaczął stukać długopisem w blat biurka. Nic nie mówił, tylko patrzył na mnie i stukał. Może myślał, że mnie tym stukaniem zdenerwuje. Nie takie rzeczy mi się zdarzały i się nie denerwowałam, więc dlaczego teraz miałby mnie zdenerwować jakiś głupi długopis? Pomyślałam tylko, że sobie go zaraz rozwali, jak będzie tak stukał bez opamiętania. I rzeczywiście. Po chwili coś strzeliło i długopis się rozpadł. Dyrektor popatrzył na długopis, odłożył go i zaczął stukać palcami. Chce stukać, niech stuka. Ja mam czas. Pewnie sobie wyobraża, że to wojna nerwów. Dla mnie to po prostu nudne i głupie. Oparłam się o ścianę i zaczęłam myśleć o swoim życiu. Strasznie było skomplikowane.

I zagmatwane. Dyrektor patrzył na mnie swoimi wylupiastymi oczami, które wyglądały jak piłeczki pingpongowe z wymalowanymi czarnymi plamkami, i milczał. Miałam ochotę położyć się na podłodze, bo mnie już nogi bolały od tego stania, ale pomyślałam, że nie wypada, więc tylko usiadłam. Oczy dyrektora zrobiły się jeszcze bardziej wylupiaste, aż się przestraszyłam, że wypadną mi całym z głowy na biurko. Zrobił jakąś straszną minę i zabulgotał: Wstań! Powiedziałam, że nie mogę wstać, bo nogi mnie bolą. Zapytał, czym się tak zmęczyłam. Odpowiedziałam, że staniem i że nie mogę długo stać, bo mam chore stawy. Zaniemówił.

Przez chwile nad czymś myślał, ale widocznie doszedł do wniosku, że jeśli naprawdę jestem chora, to może mieć kłopoty za znęcanie się nad ułomnym

dzieckiem, więc lepiej będzie nie reagować. Przestał się na mnie wygapiać i zapytał, czy wiem, dlaczego mnie do siebie wezwał. Powiedziałam, że nie wiem, bo co innego mogłabym odpowiedzieć? To zapytał, czy może wiem dlaczego Hamid ma podbite oko.

Wzruszyłam ramionami. Wzruszanie ramionami było bardzo dobrą odpowiedzią, kiedy nie wiedziało się, co odpowiedzieć. Też nie wiesz? - zdziwił się. - A co wiesz? Powiedziałam, że nic. Nie pobiłaś go? - dopytywał się. Powiedziałam, że ja się z chłopakami nie biję. Są silniejsi ode mnie i się nie biję. No, to on powiedział, że cała klasa widziała, że z Hamidem się biłam. Powtórzyłam, że ja się z chłopakami nie biję i z Hamidem też się nie biłam. To Hamid mnie zaczął szarpać i bić, i wyzywać, ja zaczęłam uciekać, a on się przewrócił i upadł na ławkę. Okiem upadł, powiedziałam. To nie moja wina, że się przewrócił. Pewnie Allah go skarał.

Wiedziałam, że dyrektor jest muzułmaninem, więc pomyślałam sobie, że argument o Allahu go przekona. Ale chyba nie przekonał, bo dalej mnie nagabywał. A nie podłożyłaś mu nogi? Nie przezywałaś go? Nie powiedziałaś, że jest głupim muzułmaninem i terrorystą? Nie - powiedziałam. To on mnie straszył, że jego ojciec jest terrorystą i że mnie zabije. I moją rodzinę też.

Dyrektor uznał widać, że dalsza dyskusja ze mną nie ma sensu, bo powiedział, żebym następnego dnia przyszła do szkoły z rodzicami. Powiedziałam, że nie mogę, bo moi rodzice wyjechali na pogrzeb. Do Północnej Dakoty. Babcia umarła. Zapytał, kiedy wrócą. Powiedziałam, że nie wiem. To kazał przyjść, jak wrócą. Spytałam, czy mogę już iść. Powiedział, że mogę

Podniosłam się z podłogi i wyszłam.

Wszystko było kłamstwem.

Rodzice nie byli moimi rodzicami, nie mogli jechać do Północnej Dakoty na pogrzeb babci, bo żadnej babci nie miałam, a skoro jej nie miałam, to tym bardziej nie mogła umrzeć. Poza tym nie wiedziałam nawet dokładnie, gdzie leży Północna Dakota. Skoro Północna, to pewnie na północy. Po prostu spodobała mi się nazwa i dlatego tak powiedziałam.

Mogłam równie dobrze powiedzieć, że rodzice nie żyją, bo wczoraj wpadli pod pociąg, albo że otruli się grzybami leśnymi i właśnie robią, im płukanie żo-

ładka w szpitalu. To nie miało znaczenia. Ważne było tylko to, żeby dyrektor do nich nie zadzwonił. Musiałam jakoś ich przygotować na kolejny kataklizm. Bałam się, że któreś z nich może dostać zawału, albo że mi wleją, na co zdecydowanie nie miałam ochoty.

Maks nigdy mnie nie uderzył, ale Sabina czasem potrafiła mi przylać w tyłek. A rękę miała ciętą. I wcale nie przejmowała się tym, że w Ameryce nie wolno bić dzieci.

Szłam do domu i rozmyślałam, jak wybrnąć z tej sytuacji. Znow musiałam wymyślić jakieś kłamstwo. Naprawdę tego nie chciałam. Nie chciałam kłamać i nie chciałam nikomu robić kłopotów, ale zawsze jakoś tak wychodziło, że musiałam. No, trudno - jak mus, to mus.

Usiadłam na ławce i przeliczyłam swoje kieszonkowe. Wystarczyło na lody. Pomyślałam, że jak będę je jeść, to może w międzyczasie przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł. Ale nie przyszedł.

Lody zjadłam, a pomysł nie przyszedł.

Maks wyszedł z domu. Było pogodnie, ale nie za gorąco. Przyznał rację Sabine, że plecak jest dobrym rozwiązaniem. W ogóle nie czuł bagażu. Wsiadł w tramwaj i pojechał na dworzec. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze półtorej godziny czasu. Po drugiej stronie ulicy zauważył szyld LOT-u. Pomyślał, że dobrze byłoby zorientować się w rozkładzie lotów, bo może wygodniej byłoby wrócić samolotem. Przejściem podziemnym przeszedł na drugą stronę i wszedł do hotelu, w którym mieściły się biura linii lotniczych. Podszedł do lady. Jedna z pań obsługiwała właśnie klienta, flirtując z nim bez żenady, druga drukowała coś na drukarce, a trzecia patrzyła w komputer. Długie blond włosy opadały jej na twarz, tak że widział tylko fragment profilu. Coś wydało mu się w tym widoku znajome, ale jeszcze nie wiedział co. Dziewczyna uniosła głowę i serce wskoczyło mu do gardła. To była Aneta, jego wielka miłość sprzed kilku lat. Poczł się głupio z tym plecaczkiem na plecach. Jak jakiś autostopowicz. Miał nadzieję, że może go nie zauważy. Już zamierzał zawrócić, ale Aneta uśmiechnęła się i zawołała:

- Boże! To ty? Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę! Gdzie się podziewałeś? Szukałam cię.

- Szukałaś mnie?

- Tak. Dzwoniłam do ciebie. Ale... Jakiś facet powiedział, że już tam nie mieszkasz.

- Rzeczywiście wyjechałem.

- Gdzie byłeś?

- W Ameryce.

- Musimy się koniecznie spotkać. Masz czas dziś wieczorem?

- Niestety, nie. Jadę do Gdańska. Za pół godziny mam pociąg.

- A co tutaj robisz?

- Chciałem się zorientować w rozkładzie lotów. Może wrócę samolotem.

- Zaczekaj. Zaraz ci dam informator. I masz tu moją wizytówkę. Odezwij się, jak przyjedziesz.

- Odezwę się.

- Na pewno?

- Na pewno.

Pomachał jej ręką i poszedł. Spotkanie zupełnie go rozstroiło. Zamiast myśleć o ratunku dla Fuksji, zaczął rozpamiętywać swój krótki, ale intensywny roman. Była wtedy modelką. Piękną, wiotką dziewczyną, w której zakochał się bez pamięci. Snuł plany wspólnego życia i miał nadzieje, że ona też go kocha. A przecież go rzuciła. Odeszła, gdy okazało się, że dom, w którym mieszkał, nie jest jego własnością, że nie ma samochodu ani pieniędzy, jednym słowem, że jest za biedny dla niej. A teraz nagle... Skąd to zainteresowanie? Nie zdążył jej o nic zapytać. Czy wyszła za męża? Czy ma dzieci? Może jest rozwódką? A może w ogóle nie znalazła dotąd męża? Jak ktoś za bardzo przebiera, to czasem tak jest, że zostaje na lodzie. Może jest starą panną? Niemożliwe. Taka piękna dziewczyna! A gdyby nawet była wolna, to co z tego? Nic. Tak czy inaczej, nie powinien

wracać do tej znajomości. On ma swoje życie, ona ma swoje. Miło było się spotkać, ale na tym trzeba zakończyć. Ma teraz inne zmartwienia. Usiadł na swoim miejscu w przedziale i wyjął gazetę, ale nie mógł się skupić na czytaniu. Ciągle wracało wspomnienie rozmowy z Anetą. Jej uśmiechu, spojrzenia, brzmienia głosu. Dlaczego spotkał ją właśnie teraz? Czy to był przypadek, czy zrządzenie losu? I co to może znaczyć?

Droga dłużyła się niemiłosiernie. Od sprzedawcy w pociągu kupił kawę, sok, herbatniki i kanapkę. Przecież nie będzie w wagonie obierać jajek na twardo.

I co w ogóle za pomysły ma ta Sabina? Jeszcze i ten plecak! Przypomniał sobie spojrzenie Anety. Obrzuciła go wzrokiem i na pewno sobie pomyślała, że przez te lata niczego się nie dorobił. W życiu nie czuł się tak głupio. Poważny facet nie jechałby w T-shircie i z plecakiem, tylko w garniturze i z laptopem na jakieś sympozjum, albo na coś równie mądrego. No tak, ale gdyby temu poważnemu facetowi córka uciekła z domu, to co by zrobił?

Nic. Ponieważ poważnym facetom córki nie uciekają z domu. A jeśli już coś takiego by się zdarzyło, to pewnie szukałby jej prywatnym helikopterem, a może nawet dwoma czy trzema. Zgnębiony zjadł wszystkie herbatniki, aż go zemdliło. Wyjął mapę i zaczął studiować trasę, jaką miał jeszcze do przebycia. Była skomplikowana. Najpierw trzeba było dojechać do Gdańska. Potem wsiąść w autobus i cofnąć się prawie osiemdziesiąt kilometrów na południe. Nie było innego wyjścia, bo pociąg nigdzie wcześniej się nie zatrzymywał. A więc pojedzie do tego miasteczka i co dalej? Musi odszukać matkę Fuksji i samą Fuksję. Jak to zrobić? Jeśli adres jest aktualny, to pół biedy. Ale jeśli się stamtąd wyprowadziła? Gdzie jej wtedy szukać? Wszystkie te myśli tak go zmęczyły, że zasnął.

I przyśniło mu się, że jedzie pociągiem do Gdańska szukać matki Fuksji.

A kiedy się obudził, pomyślał, że chyba z jego psychiką coś nie jest w porządku.

Autobus objechał wkoło nieduży rynek i zatrzymał się. Miasteczko było zaniedbane. Z domów opadał tynk, chodniki były wyszczerbione, na trawnikach rosły bujnie chwasty, a po ulicach biegały bezpańskie psy. Maks wysiadł. Był zmęczony jazdą w dusznym autobusie. Miał ochotę usiąść gdzieś na chwilę, ode-

tchnąć świeżym powietrzem i rozprostować nogi, ale nie było gdzie. Na kilku zdezelowanych ławeczkach siedzieli miejscowi bezrobotni, paląc papierosy i popijając niespiesznie piwo kupione za zasilek. Od czasu do czasu któryś coś powiedział, któryś splunął. Słońce już zachodziło, ale ciągle było gorąco, więc siedzieli w samych podkoszulkach bez rękawów, ogorzali i spoceni. Spod beretów wystawały im matowe, dawno niemyte włosy. Gdyby poprosił, zapewne ścieśniliby się i zrobili mu trochę miejsca na ławce, ale nie miał odwagi o to poprosić, ani tym bardziej usiąść obok nich. Powlókł się do pobliskiego kiosku i kupił gazetę.

Nie była mu potrzebna.

Chciał tylko zapytać o ulicę, na której miała mieszkać matka Fuksji, ale nie wypadało pytać i nic nie kupić. To nie punkt informacyjny. Więc kupił i grzebiąc w portfelu, wdał się ze sprzedawcą w rozmowę. Powiedział, że szuka ulicy, na której kiedyś mieszkał, jako dziecko. Sprzedawca się ożywił.

- Patrz pan! I po tylu latach pan przyjechał! Nic pan tu teraz nie poznasz. Kiedyś to było, panie, ładne miasteczko. A dziś? Sam pan widzisz. Ruina. A tam, gdzieś pan kiedyś mieszkał, to slamsy, panie. Najgorszy element tam żyje. Same pijaki. Jak chce pan tam iść, to niech się pan pospieszy, póki widno. Bo jak się ściemni, to raz, że pan tam nie trafisz, dwa, że po drodze możesz pan nogę złamać, takie dziury w chodnikach, a trzy, że wrócisz pan z guzem na głowie, ale za to bez portfela. Życzę miłego spaceru.

Maks podziękował i udał się we wskazanym kierunku, odprowadzany spojrzemiami ławkowiczów. W ich wzroku nie było nawet ciekawości. Najwyraźniej byli już na takim etapie zubożenia, że nic nie było w stanie wyprowadzić ich z letargu.

Maks szedł, rozmyślając, że stracił kolejny dzień. Do Gdańska przyjechał za późno, żeby udać się w dalszą podróż i musiał zanoć. Potem spóźnił się na poranny autobus i trzeba było czekać na następny, a teraz zbliżał się wieczór i nie wiadomo, czy uda mu się cokolwiek tego dnia ustalić, zważywszy informacje, jakich udzielił mu kioskarski.

Uliczka schodziła w dół stromo w kierunku rzeki. Krzywe chodniki utrudniały zejście, a zachodzące słońce jak na złość świeciło prosto w oczy i Maks

musiał bardzo uważać, żeby się nie przewrócić. Kioskarz miał rację. To była jakaś zakazana dzielnica. Ze zdewastowanych bram wiało chłodem, śmierdziało stęchlizną, kiszoną kapustą i kocimi szczynami. Przechodniów prawie nie było. Uliczka naraz skręciła w lewo, słońce schowało się za murami i Maks zorientował się, że idzie w złym kierunku. Gdzieś tu powinna być przecznica. Cofnął się. Rzeczywiście, należało pójść w inną stronę. Potem miał być jakiś placyk po wyburzonej kamienicy i dalej już powinien bez trudu trafić.

Dom, do którego dotarł, nie miał numeru, ale sądząc po numeracji pozostałych budynków, musiał być tym, którego szukał. Za ogrodzeniem walały się zwalone na kupę foliowe worki pełne niezidentyfikowanej zawartości, pewnie śmieci, jakieś przerdzewiałe części maszyn, stare opony od samochodu, deski i niepotrzebne sprzęty. Uchylił furtki wiszącej na jednym zawiasie.

Powitało go wściekłe ujadanie psa uwiązanego na łańcuchu przy budzie. Cofnął się przezornie. Pies wyglądał groźnie. Ze zjeżoną sierścią szczekał i warczał, aż mu bulgotało w gardle, ukazując ostre i wielkie zęby.

Zza domu wyszedł nieogolony mężczyzna w gumiakach na nogach.

W taki upał w gumiakach? - zdumiał się Maks, przecież mu się nogi zagotują. Ale widocznie facetowi gumiakki zupełnie nie przeszkadzały, bo dziarsko podszedł do furtki i zapytał uprzejmie:

- Czego?

- Czy tu mieszka pani Zofia Sopiela? - zapytał Maks, wyjmując kartkę z adresem.

- A czego pan chce? Pan z opieki czy z policji?

- Ani z opieki, ani z policji.

- No to czego?

- Mam sprawę.

- Jaką sprawę?

- Osobistą.

- Osobistą? Chyba nie powiesz mi pan, że się z panem puściła?

- Nie, no, co też pan... - Maks speszył się takim posądzeniem. - Chciałem po prostu porozmawiać.

- Panie, ona nie jest żadną profesorką, żeby ludzie ze świata przyjeżdżali do niej na rozmowy. Mów pan prosto, czego pan chcesz i nie kręć pan.

- Ale czy ta pani tu mieszka? - upewniał się Maks.

- Może mieszka, może nie mieszka. Zależy dla kogo. Dla jednych mieszka, a dla drugich nie. Dla pana akurat nie.

- Bardzo pana proszę, niech pan mi pozwoli z nią porozmawiać.

- Spierdalaj pan, bo spuszczę psa. Maks doznał nagle olśnienia.

- Zapłacę panu.

Facet się ożywił.

- Ile?

- A ile pan chce?

- Stówę za informację.

- Stówę to za rozmowę. Za informację mogę dać na piwo - rezolutnie odparował Maks.

Facet przez chwilę rozważał propozycję, ale widać uznał, że lepsza mu się nie trafi i nie ma co grymasić, bo powiedział:

- Dobra. Wchodź pan. Burek, kurwa twoja mać, do budy! Ale już!

Pies podkulił ogon i zniknął w budzie.

Maks wszedł do niskiego pomieszczenia, które stanowiło coś w rodzaju szerokiego przedpokoju. Stały tam jakieś szafki, półki, rower, tekturowe pudła, okurzone garnki i słoiki, jednym słowem wszystko, co ewentualnie mogło się przydać, ale nie było w danej chwili niezbędnie potrzebne.

Za tym pomieszczeniem znajdowała się obszerna kuchnia. Schylił się, żeby nie stuknąć czołem o framugę, i wszedł.

- Siadaj pan - powiedział facet i odsunął od stołu plastikowe krzesło.

Maks ostrożnie usiadł. Na stole walały się sterty nieumytych naczyń, a do blatu, przykrytego poobdzieraną folią, wolał się nie dotykać, tak był brudny.

- Nie ma jej - skostatował facet. - Pewnie śpi. Ale zaraz ją zawołam.

Otworzył drzwi prowadzące do pokoju i zawołał:

- Zośka, chodź no tutaj. Pan jakiś chce z tobą mówić.

- A czego? - odezwał się zaspany głos.

- Chodź, chodź.

W drzwiach stanęła tęga kobieta o rozmytych rysach. Czuć było od niej przetrawione piwo. Ciemne, okrągłe oczy nie pozostawiały wątpliwości. To była matka Fuksji.

Maks odczuł zażenowanie.

Jak to możliwe? Takie wspaniałe, takie zdolne dziecko i taka rodzina? Boże, mam nadzieję, że jednak nie odnalazła tej kobiety. Przeżyłaby wstrząs. Może los ją od tego uchronił?

Ale kobieta rozwiała jego nadzieje.

- A pan to w jakiej sprawie? Może chodzi panu o córkę? Wczoraj była tu jakaś dziewczynka. Nawet trochę podobna do pana. Ale chyba się pomyliła. Szukała jakiejś Zofii Sopiela, a ja jestem Sopiela.

- Tak, tak. To moja córka. Rozmawiała z panią?

- Parę słów. Powiedziała, że się pomyliła i wyszła.

- Aha.

- A pan w jakiej sprawie? Bo nie dosłyszałam.

- W tej samej. To taka ankietka. W szkole. Dzieci dostają zadania i adresy osób, z którymi robią wywiady - improwizował Maks.

- No, to coś im się chyba pomyliło w tej szkole. Bo był błąd w nazwisku. Ale adres był dobry,

- Pewnie im się pomyliło.

- A pan czego chce ode mnie?

- No, właśnie... Myślałem, że może jej pomogę i zadam pani kilka dodatkowych pytań.

Kobieta spojrzała niepewnie na mężczyznę w gumiakach. Kiwnął głową.

- Niech pan pyta.

Maks wyjął notes i z powagą zaczął zadawać pytania.

- Nazwisko i imię?

- Zofia Sopiela.

- Lat?

- Trzydzieści osiem.

- Stan cywilny?

- Niezameżna.

- Rozwódka?

- Panna.

- Ma pani dzieci?

Kobieta znów spojrzała na mężczyznę.

- No mów, mów - zachęcił ją.

- Mam. Ale nie przy sobie.

- A gdzie?

Wzruszyła ramionami.

- Kto to wie? Gdzieś u ludzi. Zabrali mi dziecko, bo piłam. I dobrze zrobili, bo co by tu miało?

- Dziewczynka czy chłopiec?

- To było tak dawno. Już nawet nie pamiętam.
- Jak to? Nie pamięta pani?!
- No dobrze. Dziewczynka. Teraz pewnie byłaby już taka jak ta pana córka.
- Ma pani więcej dzieci?
- Nie mam. I dobrze. Zachorowałam, zrobili mi operację, wycięli wszystko i mam spokój z ciążami. Nie muszę się martwić.
- Co pan jeszcze chce wiedzieć? - wtrącił się mężczyzna.
- Właściwie to nic. Chodziło tylko o dzieci. Czy są i jak żyją.
- No to już pan wie.
- Myślę, że to jednak była chyba pomyłka w nazwisku, bo chodziło o kobiety wychowujące dzieci.
- Też pomyślałem - powiedział mężczyzna - że to pomyłka. No, to jak już pan nie ma pytań, to zapłaci pan tę stówę, a ja pana wyprowadzę, żeby pies pana nie pogryzł.

Maks wyjął portfel i zapłacił.

Mężczyzna wziął pieniądze i schował, a z kieszeni wysupłał dziesięć złotych i dał kobiecie.

- Masz, Zośka - powiedział. - Zarobiłaś na piwo. Należy ci się.

Kiedy wyszli, pies znowu rzucił się w jego stronę z głośnym jazgotem, prezentując imponujące uzębienie. Mężczyzna tupnął nogą i pies schował się w budzie.

- Niech pan pilnuje córki - powiedziała kobieta, stając w drzwiach. - Dziecko nie powinno samo chodzić po mieście. Szczególnie dziewczynka. Za ładna jest. Może jej się coś przytrafić, nie daj Boże.

- Ma pani rację. Nie pomyślałem o tym.

- Co to dzisiaj w tych szkołach nie wymyślają. Jakieś ankiety! - powiedziała kobieta.

Pokiwała głową i zniknęła we wnętrzu domu.

Maks wracał przybity. Fuksji nie odnalazł, a to, czego się dowiedział, nie nastrajało optymistycznie. Żeby tylko czegoś sobie nie zrobiła! Dzieci w tym wieku są takie wrażliwe!

Zadzwoił z komórki do Sabiny.

- Znalazłem ją.

- Znalazłeś Fuksję?!

- Nie. Znalazłem jej matkę.

- I co?

- Nie ma o czym mówić. Fuksja tam była. Boję się, że może być w szoku.

- Boże! Jest aż tak źle?

- Nie wiem. Ale nie jest dobrze. Nie mam pojęcia, co robić i gdzie jej szukać.

- Wracaj do domu. Nie ma rady. Trzeba będzie zawiadomić policję.

- Zaczekajmy jeszcze. Może wróci.

- A jak będzie za późno?

- Nie wolno nam tak myśleć.

- Wracaj.

- Pa.

- Pa.

Następnego dnia po powrocie Maksa, kiedy Sabina była już zdecydowana iść na policję, zadzwoniła niespodziewanie Flora.

- Słuchaj - powiedziała - jest Maks? Muszę koniecznie z wami porozmawiać.
- Flora, przepraszam cię, ale naprawdę nie mam dzisiaj głowy do rozmów. Mamy takie zmartwienie, że nawet sobie nie wyobrażasz.
- Ale ja właśnie w tej sprawie.
- Flora, nie możemy teraz myśleć o zmianie mieszkania, bo mamy problem z Fuksją.
- No, właśnie dlatego dzwonię.
- Słucham?
- Fuksja jest u mnie.
- Boże! Naprawdę? Maks! Słyszysz? Fuksja jest u Flory! Sabina przełknęła ślinę.
- Zaraz do ciebie jedziemy!
- Nie, nie. Ona teraz śpi. Jest strasznie zmęczona.
- Wyobrażam sobie! Najważniejsze, że się znalazła. Daj znać, jak się obudzi. Musimy z nią porozmawiać.
- Myślę, że trzeba jej teraz dać spokój. Skoro przyjechała do mnie, a nie do was, to znaczy, że potrzebuje spokoju. Urządziłam jej spanie w dawnym pokoiku. Oczywiście, wszystko teraz jest tam inaczej, po tej dewastacji, jaką mi urządził ten konus Mietek. Że też ja się na nim od razu nie poznałam i nie zorientowałam, jaka to kanalia.
- Flora. Muszę z nią porozmawiać.
- Wykluczone. Nie teraz. Ja myślę, że w odzyskaniu równowagi mógłby jej pomóc kot. Przyjadę po niego.
- Zostawisz ją samą?!
- Nie. Teraz nie. Potem. Może jutro. Albo pojutrze.
- Ja jej go przywiozę.

- Sabina, proszę cię. Dajcie jej trochę oddechu. Ona naprawdę potrzebuje spokoju. Nie wiem, co się z nią działo, ale... gdybyście ją widzieli... Serce się kraje.

- No, dobrze, a co ci powiedziała?

- Powiedziała, że uciekła z domu i że zanim do was wróci, chce trochę po-
być u mnie. Nie mogę jej zawieść. Kazała was zawiadomić, że nic się jej nie sta-
ło. I na razie niech wam to wystarczy.

Sabina zamilkła.

Było jej przykro. Tyle lat matkowania Fuksji i wszystko na nic. Uciekła z domu, a kiedy wróciła, to do obcej kobiety, a nie do niej. Obcej? Niezupełnie. Flora była pierwszą osobą, która ją przygarnęła i zabrała z domu dziecka. Więc nic dziwnego, że ma do niej zaufanie. No, tak. A ja? A my? - pomyślała Sabina i łzy napłynęły jej do oczu.

- Co się stało? - zapytał Maks.

- Nic, nic - powiedziała.

- Przecież widzę.

- Wiesz, zrobiło mi się przykro, że wróciła nie nas, tylko do Flory. Nie ma do nas zaufania?

- To nie to.

- A co?

- Przeżyła szok. Ona teraz potrzebuje spokoju - powiedział zupełnie jak Flo-
ra. - A tu, w tym mieszkaniu, w jednym pokoju z Robertem? Jaki miałyby tu
spokój?

- Tak myślisz?

- Wiem. To nie ona powinna do nas przyjechać, tylko my do niej. Musimy
koniecznie dogadać się z Florą w sprawie tego domu.

Sabina westchnęła.

- Może masz rację.

- Na pewno mam. I wiem, że ona nas kocha. Tak samo jak my ją. I wiesz, co myślę? Że jak się spotkamy, to nie powinniśmy jej od razu wypytywać, gdzie była. I tak przecież wszystko wiemy. A dla niej to jest trudny temat. Powinniśmy tylko okazać jej serce. Jak będzie chciała, to sama nam wszystko powie.

W Ameryce kolegowałam się z chłopakami starszymi od siebie. Dziewczyny mnie nie lubiły. Przezywały i w ogóle. A chłopcy z mojej klasy byli strasznie głupi i dziecinni. Więc kolegowałam się z chłopakami starszymi, ale nie całkiem jeszcze starymi. Jeden z nich mieszkał niedaleko i też jeździł rowerem do szkoły, z drugim chodziłam na treningi piłki nożnej, a inni to tak się jakoś przyczepiali, niektórzy to nawet nie byli z naszej szkoły. Nie jeździłam do szkoły autobusem szkolnym, bo miałam blisko, więc ci z autobusu też się ze mną nie kolegowali. I tak jakoś było, że zawsze byłam sama. Nawet jak się z kimś zaprzyjaźniłam, to wszystko się zaraz rozlatywało. Może dlatego, że nikomu za bardzo nie wierzyłam, a poza tym nie wiedziałam, kim tak naprawdę jestem i do czego mogę się przyznać, a do czego nie.

Mark miał nieciekawą rodzinę. Strasznie był z tego powodu zakompleksiony. Wstydził się ojca pijaka i matki narkomanki, niż mówiąc o siostrach, z których jedna puszczała się na prawo i lewo z kierowcami TIR-ów, a druga miała to już za sobą i była na utrzymaniu opieki społecznej razem z kilkorgiem nieślubnych dzieci. Jedyne brat Set miał downa i niewiele rozumiał, ale z całej rodziny Marka był najnormalniejszy. Mark lubił Seta.

Kiedy poznaliśmy się, najpierw przedstawił mi właśnie jego.

Potem uznał, że powinien zaprosić mnie do domu.

Długo się tłumaczył, że mieszka w rozwalającej się norze i że rodzicom zdarza się przedawkowanie używek, więc może być tak, że mamusia lub tatuś będą spać albo rozrabiać, i prosił, żebym jakoś próbowała to zrozumieć.

Było mi go żal.

Nie wiedziałam, jak go pocieszyć i powiedziałam mu, że to wszystko nic w porównaniu z moją prawdziwą rodziną.

Powiedziałam, że mój prawdziwy ojciec był mordercą i gwałcicielem, że zabił i poćwiartował kilka osób, a kiedy mama się o tym dowiedziała, utopił ją w wannie na moich oczach. Teraz siedzi w Sing-Singu i czeka na karę śmierci.

Mark miał jednak wątpliwości i zaczął wypytywać, czy jestem pewna, że w Sing-Singu. Odpowiedziałam, że oczywiście. Wtedy on powiedział, że podobno mieli to więzienie zlikwidować i że podobno nie nazywa się już Sing-Sing, tylko Ossining, czy jakoś tak i że tam ma być teraz muzeum dla turystów. No, to ja zapytałam, kto mu takich głupot naopowiadał. Powiedział, że mówili w telewizji. Nie bardzo wiedziałam, co na to odpowiedzieć, bo w telewizji chyba wiedzą, co mówią, ale zapytałam: w końcu czyj ojciec tam siedzi - jego, czy może tego faceta z telewizji. Mark powiedział, że mój. No, to kto się lepiej zna na więzieniach - ja czy tył - zapytałam. No, to Mark musiał przyznać, że ja.

Powiedział, że bardzo mi współczuje, ale ma nadzieję, że przynajmniej moi przybrani rodzice są przyzwoici. Przytaknęłam, bo rzeczywiście są przyzwoici i siąknęłam nosem, jakbym się za chwilę miała rozplakać, tak że wszystko wyglądało bardzo prawdziwie.

Miałam nadzieję, że pozwoliło mu się to dowartościować. Ale teraz uważam, że nie należy zbytnio dowartościowywać ludzi.

Zupełnie inna historia była ze Steve'em.

Ten miał rodziców z upper classe, mieszkał w ogromnym domu z parkiem, jego ojciec przywoził go do szkoły samochodem długim jak pociąg i trudno było mu czymś zaimponować. Wiedział, że moi rodzice są przybranymi rodzicami, i bardzo był ciekawy, jaka była moja prawdziwa rodzina. Powiedziałam, że ojciec był dyplomatą, a mama dziennikarką. Oboje zginęli w wypadku drogowym. Ja ocalałam cudem, bo tuż przed wypadkiem odpięłam pasy i to mnie uratowało, gdyż wypadłam przez otwarte drzwi, a samochód uderzył w drzewo i spłonął razem z rodzicami. Steve był wstrząśnięty.

Żeby zanadto nie wchodzić w szczegóły, powiedziałam, że byłam wtedy mała i niewiele pamiętam, zwłaszcza że przeżyłam szok powypadkowy. Potem to już były tylko domy dziecka i rodziny zastępcze. Nie zostały mi nawet zdjęcia. Wszystko gdzieś zaginęło.

Steve natychmiast zaoferował się z pomocą. Powiedział, że jego rodzice mają duże możliwości i że spróbują przynajmniej odnaleźć jakieś pamiątki rodzinne.

Niestety - westchnęłam - to jest niemożliwe. Wypadek był w Rosji. Nawet nie pamiętam miejscowości, w której się to wydarzyło.

Steve powiedział, że strasznie mi współczuje. A nazwisko? - zapytał. - Pamiętasz może swoje prawdziwe nazwisko?

Pokręciłam głową.

Kiedy następnego dnia pojawiłam się w domu Steve'a, jego rodzice zaczęli mnie traktować, jakbym właśnie wyszła ze szpitala i wymagała specjalnej troski. Uprzedzali moje życzenia, dopytywali się, czy mi smakował obiad, którym mnie poczęstowali i czy mi wygodnie siedzieć na kanapie.

Nie powiem, było fajnie.

Bałam się tylko, że w którymś momencie pomylę życiorysy i imiona, którymi się posługuję i rodzicom Steve'a napomknę o ojcu w Sing-Singu, oczekującym w celi śmierci na krzesło elektryczne, a Markowi zacznę bredzić o dyplomatycznym protokole.

Żeby się przed tym uchronić, zaczęłam kolegować się z Nickiem.

Ten był najzupełniej normalny i przeciętny i miał przeciętną rodzinę - ojciec był hydraulikiem, ciężko pracowali pił piwo, a mama była otyła i zajmowała się domem. Lubiała się hałaśliwie śmiać i jeść pop-corn, gotowała koszmarnie spaghetti i piekła ohydne, potwornie słodkie paje z dynią, co jest specjalnością większości amerykańskich gospodyń.

Trudno się nawet dziwić tej specjalności, bo Amerykanie sadzą strasznie dużo tych dyń na Halloween, żeby wycinać z nich straszdyła i potem pewnie nie ma co z tymi dyniami zrobić, więc smażą dżemy i dodają do ciasta, bo szkoda wyrzucić i jakoś to trzeba zużyć.

Ponieważ Nick, jak już wspomniałam, był przeciętnym chłopakiem z przeciętnej rodziny, opowiedziałam mu przeciętną historyjkę ojciec, który był alkoholiczkiem, ale porządnym człowiekiem i ślusarzem. Zmarł na zawał serca z przepracowania i z przepicia., a mama po pogrzebie pojechała do swojej siostry do Mas-

sachusetts i tam poznała cotractora, czyli właściciela firmy budowlanej, który zawrócił jej w głowie i już nigdy więcej jej nie widziałam. Może gdzieś żyje, a może umarła, ale nie chcę tego wiedzieć, bo moi przybrani rodzice dali mi wszystko i jestem im wdzięczna, i nigdy w życiu ich nie opuszczę, choćby nawet moja prawdziwa matka się znalazła i prosiła, żebym do niej wróciła.

Nickowi było to obojętne.

Żuł gumę i zaproponował mi kino. Zgodziłam się. Żał mi tylko było, że wysiłałam wyobraźnię dla takiego prymitywa.

Maks siedział nad szkicownikiem i udawał, że coś rysuje.

Ale tak naprawdę nie interesowały go żadne szkice. Nie miał do tego głowy. Tyle różnych spraw działo się naraz, że nie był w stanie się skupić. Najpierw ucieczka Fuksji, potem jego podróż i szok, jaki przeżył po odnalezieniu jej matki. No, ale najważniejsze ze wszystkiego było spotkanie Anety. Nie mógł się uwolnić od myśli o niej. Najgorsze, że nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądała. Czy była tak samo piękna jak wtedy, czy może się zmieniła? Jak była ubrana? Zapewne w uniform LOT-u. Biała bluzeczka i granatowy żakiet plus jakaś apaszka na szyi. A może inaczej? Czy miała umalowane usta? Chyba nie, bo wyglądała bardzo naturalnie. No i to spojrzenie. Pamiętał tylko, że czuł się głupio, kiedy popatrzyła na ten jego plecak i tanią, bawełnianą koszulkę z napisem „I love NY”. Wyglądał jak kretyn, trzeba to przyznać. A przecież tak niewiele brakowało, żeby wyglądał atrakcyjnie. Koszulka już dawno temu powinna wylądować w śmietniku. Chodzenie po Warszawie w znoszonym T-shircie z deklaracją miłości do Nowego Jorku było idiotyzmem do kwadratu.

Stary facet w młodzieżowym, spranym podkoszulku, który wyglądał, jakby go kupił w sklepie z używaną odzieżą. Czy nie mógł przynajmniej założyć jakiegoś nowego? Oczywiście mógł. Gdyby pomyślał, że może ją spotkać, to przecież założyłby coś innego, nawet garnitur. Miał jeden, prawie nieużywany, który by się nadawał na taką okazję. No i wziąłby walizeczkę, zamiast tego durnego plecaka. Ale kto to mógł przewidzieć?

Gryzł się tym, że zrobił na niej fatalne wrażenie. A pocieszał tym, że dała mu jednak swoją wizytówkę i chciała, żeby do niej zadzwonił. No i poza tym

powiedziała, że szukała go wtedy, kiedy już ze sobą zerwali i wyjechał do Ameryki. Więc może jednak nie był jej całkiem obojętny?

- Rysujesz? - zapytała Sabina.

- Próbuję.

- Strasznie martwię się Fuksją.

- Ja też

- Nie mam pojęcia, co robić.

- Mówiłem już. Powinniśmy do niej pojechać, a nie czekać z założonymi rękami, aż ona do nas przyjedzie.

- Może pojechalibyśmy jutro?

- Najpierw trzeba porozmawiać z Florą. Uprzedzić ją.

- Zadzwoń do niej. Wiesz, zupełnie nie rozumiem postępowania Fuksji. Dlaczego ona do nas nie wróciła?

- Może boi się, że tutaj przyjdzie policja, żeby ją zabrać do domu dziecka? Może myśli, że tam jej nie znajdą?

- Może. Ale dlaczego się do nas nie odezwała?

- Nie mam pojęcia.

- Myślę, że trzeba kupić ten dom od Flory. Fuksja dobrze się tam czuje. To jest przecież jej pierwszy prawdziwy dom.

- Mhm.

- Przeszkadzam ci?

- Trochę.

- No, widzisz. A jak się przeprowadzimy, to nikt nikomu nie będzie przeszkadzał. Będziesz miał wreszcie warunki do pracy. Jak się go, oczywiście, trochę przebuduje. Wszyscy będziemy mieć lepsze warunki. Jeśli damy jej w rozliczeniu to mieszkanie, to może jakoś damy radę finansowo. Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę remont. To też będzie nas trochę kosztować.

- Mhm.

- Przepraszam cię, już wychodzę. I kota będzie można wypuszczać na dwór. Trzeba to jak najszybciej sfinalizować.

- Mhm.

- Już idę. Co chcesz na obiad?

- Wszystko jedno.

- Zrobię ogórkową. I kotlety. Chcesz?

- Chcę.

- To pójdę do sklepu.

Sabina wyszła, a Maks pograżył się w myślach.

Miał teraz problem. Zadzwoić do Anety, czy nie zadzwonić? Wszystko zależało od niego. Aneta nie знаła jego adresu ani telefonu, więc nawiązać kontakt mógł tylko on.

Co zrobić?

Wyrzucić wizytówkę? Nie. Absolutnie nie.

Jeśli nawet do niej nie zadzwoni, to będzie miał pamiątkę po tym niespodziewanym spotkaniu. Takich pamiątek się nie wyrzuca. A poza tym nigdy nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś mu się nie przyda. Gdyby na przykład musiał lecieć gdzieś daleko samolotem i trzeba by było kilkakrotnie się przesiadać, to Aneta mogłaby pomóc w znalezieniu właściwych połączeń i najtańszych linii lotniczych. Więc taka wizytówka zawsze może się przydać.

A może jednak zadzwonić?

Przecież z takiego telefonu nic jeszcze nie wynika.

Porozmawia, zapyta, co u niej słyhać i to wszystko. Normalna, ludzka rzecz. Znają się od lat, więc czy to coś dziwnego, że chce się dowiedzieć, co zmieniło się u niej przez ten czas, kiedy się nie widzieli? Może ma rodzinę, męża, dzieci? Ona też pewnie jest ciekawa, jak potoczyły się jego losy.

Oczywiście, że powinien zadzwonić.

To byłoby nawet niegrzeczne, gdyby nie zadzwonił. Przecież go o to prosiła. Trzeba to zrobić jak najszybciej, zanim Sabina wróci. Przy niej nie będzie dzwonił. Nie wypada. Ona w końcu o Anecie nic nie wie. Zaraz zaczęłaby pytać, a kto to, a o co chodzi, zacznie sobie coś wyobrażać, coś podejrzewać. A po co ma się niepokoić? Przecież tak naprawdę nie ma czym.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

Ale spotkało go rozczarowanie.

Zamiast Anety telefon odebrała jakaś jej koleżanka i oficjalnym głosem poinformowała, że Aneta ma dzisiaj wolne i będzie na dyżurze jutro rano.

Odetchnął z ulgą.

Nie dlatego, że jej nie zastał, ale dlatego, że wszystko okazało się takie łatwe. Wystarczyło wykręcić numer. Postanowił zadzwonić następnego dnia.

Nie wiem, dlaczego tak jest, że niektóre rzeczy dzieją się same, a niektóre nie chcą się dziać, chociaż robi się wszystko, żeby się działy.

Kiedy zachowywałam się w szkole źle, nie uczyłam się i chciałam, żeby mnie wyrzucili, to nie tylko, że mnie nie wyrzucili, ale jeszcze wszyscy mi pomagali i byli dla mnie wyrozumiali. A kiedy w szkole zaczęło mi dobrze iść, to nagle wszystko się zawaliło. Nie powiem, że całkiem bez mojej winy. Ale tylko trochę.

Któregoś dnia, kiedy wracaliśmy po treningu do domu, Mark ni stąd, ni zowąd powiedział, że jego zdaniem powinnam odwiedzić swojego ojca. Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Jakiego ojca? I gdzie.?

Nie pamiętałam już dokładnie, co mu kiedyś tam naopowiadałam, więc tylko się roześmiałam, powiedziałam mu „see you” i poszłam w swoją stronę.

Ale polazł za mną. Przypomni mi, że skoro mój ojciec siedzi w więzieniu i mają go stracić, to moim obowiązkiem jest odwiedzić go, ponieważ ma tylko mnie i pewnie czuje się bardzo samotny i opuszczony.

Staliśmy pod drzewem, z którego spadały jakieś wstrętne liszki, więc chciałam jak najszybciej skończyć tę rozmowę i pójść do domu, bo poza tym chciało mi się jeść, ale byłam ciekawa, skąd mu przyszedł do głowy taki pomysł. I wtedy Mark zapytał, czy jestem wierząca. Powiedziałam, że nie wiem, ale chyba nie.

Mark popatrzył w niebo, a raczej do góry, bo kolejna liszka spadła mu za kołnierz, wygarnął liszkę i stwierdził, że on kiedyś też nie wierzył w Boga, nie umiał kochać ludzi ani wybaczać, ale potem odnalazł Chrystusa i teraz już wierzy.

Chciałam zapytać, gdzie go odnalazł, ale sam mi to powiedział. Kiedy wracał do domu, znalazł na ulicy broszurę. Ktoś pewnie ją zgubił albo wyrzucił, ale jego zdaniem to był znak od Boga. Bóg położył ją na jego drodze. I tam było napisane, jak odnaleźć drogę do Chrystusa, dobrocią i miłością. I dlatego właśnie, powinnam odwiedzić mojego ojca. Na początek. A potem sama odnajdę drogę do zbawienia.

Nie bardzo wiedziałam, czy chcę być zbawiona i co to w ogóle oznacza, ale nie przyznałam się do tego. Powiedziałam tylko, że nie mam ochoty jechać do żadnego więzienia. Mark się zmartwił i zapytał dlaczego. Odrzekłam, że po tym, co zrobił mi mój ojciec, nie chcę go więcej widzieć. Mark był ciekawy, co. A potem powiedział, że się domyśla, ale tym bardziej powinnam go odwiedzić i zaofiarował się, że pojedzie ze mną. Był strasznie namolny i nie miałam pojęcia, jak się wyłgać.

Kręciłam, że moi przybrani rodzice, mi na to nie pozwolą, że nie mam pieniędzy na podróż i coś tam jeszcze kombinowałam, ale to wszystko nie przekonywało Marka. Przecież mogę uciec z domu na jeden czy dwa dni, bo to nie tak daleko, a jeśli chodzi o pieniądze, to on pożyczy, to znaczy weźmie od Seta, który ma trochę dolarów w skarbonce i możemy jechać. Nie wiedziałam już co robić.

W końcu wymyśliłam. Powiedziałam, że nie wiem, czy on tam jeszcze jest w tym Sing-Singu, bo mieli go przenieść do Teksasu, ponieważ w Teksasie też był sądzony i też dostał karę śmierci i chodzi o to, że w Teksasie wykonują karę śmierci, a tutaj nie, bo jest jakieś moratorium, czy coś takiego i dlatego mieli go przenieść. Mark westchnął, że tak czy inaczej wszyscy kiedyś umrzemy i wyraził nadzieję, że jest tam jakiś kapelan, w tym Teksasie.

Powiedziałam, że na pewno jest i żeby się nie martwił moim ojcem, bo pewnie Bóg mu wszystko wybaczy. Ale Mark koniecznie chciał, żebym ja mu też wybaczyła. No, to powiedziałam, że mu wybaczam. Mark bardzo się ucieszył i uznał mnie chyba za nawróconą, bo zaproponował, żebyśmy poszli razem się pomodlić. Powiedziałam, że chcę się pomodlić sama, w domu. Mark uszanował moją decyzję, a ja poszłam na obiad.

Następnego dnia po lekcjach pojechałam do Steve'a.

Mama Steve'a ucałowała mnie i przytuliła, klepiąc po plecach, co zazwyczaj robią Amerykanie przy powitaniu, a czego nienawidzę. Powiedziała, że Steve'a nie ma, ale niedługo powinien wrócić i zapytała, czy napiję się czegoś. Powiedziałam, że herbaty.

Wiedziałam, że robienie herbaty zajmie jej sporo czasu. Amerykanie rzadko piją herbatę i takie życzenie wytrąca ich z równowagi.

Mama Steve'a zareagowała nie inaczej.

Słyszałam, jak trzaska drzwiczkami od szafek, jak wysuwa szuflady, szukając zapewne torebek ze zwietrzałą herbatą, jak dzwoni porcelaną, zastanawiając się, w czym tę herbatę podać, jak kombinuje., co dać do herbaty - mleko czy cytrynę i zastanawia się, co będzie do niej pasowało: słodkie ciasteczka czy słone krakersy. Rozumiałam ją. Nie chciała się skompromitować. W końcu, poza wszystkie byłam córką europejskiego dyplomaty.

Weszła ze zdesperowaną miną i zapytała: Przepraszam, Valla, ale mam tylko herbatę śniadaniową. A teraz jest południe. Czy w Europie dopuszczalne jest podawanie herbaty śniadaniowej w porze lunchu?

Kiwnęłam głową, a mama Steve'a odetchnęła z ulgą i zniknęła w kuchni.

Siedziałam na miękkiej, przepastnej kanapie i zastanawiałam się, jak pozbyć się Marka. Steve był znacznie bardziej interesujący. Nie męczył mnie durnymi rozmowami, tylko zabierał na lody, colę czy inne niezdrowe rzeczy jak chipsy i hot dogi na pobliskiej stacji benzynowej, ponieważ miał duże kieszonkowe.

Steve umiał przyrządzać hot dogi w specjalny, wymyślony przez siebie sposób. Wyciągał z pojemnika rozkrojoną hotdogową bułkę i zamiast włożyć do niej najpierw parówkę, a potem przyprawić ją dodatkami, tak jak to wszyscy robią, on

wyciskał na bułkę wszystkie dostępne przyprawy: majonez, musztardę, keczup, dodawał mielone ogórki konserwowe, chili i dopiero na to wszystko kładł kielbaskę. Kielbaski też wybierał wściekle ostre, najchętniej jalapeno, które najbardziej lubił. Miało to wszystko piekielnie ostry i niepowtarzalny smak. Uwielbiałam te jego hot dogi. Czasem dodawaliśmy więcej keczupu, czasem więcej majonezu, a czasem chili. Nigdy nie dodawaliśmy cebuli, bo była ohydna. Potem siadaliśmy na ławce, jedliśmy oblizując palce i czekaliśmy, aż przyjedzie jego ojciec długim jak pociąg samochodem i zabierze go do domu. A ja wsiadałam na rower i jechałam do Sabiny i Maksa.

Jak rozmyślając, odczekałam następne piętnaście minut.

Steve nie wracał.

Jego mama przyniosła herbatę i dzbanuszek z mlekiem. Pewnie ten zestaw wydał się jej bardziej elegancki niż herbata z cytryną, a może nim. miała cytryny. Postawiła wszystko na stoliku i wyszła.

Łyknęłam trochę herbaty. Smakowała papierową torebką.

Mleko odsunęłam z obrzydzeniem.

Sabina mówiła, że w Polsce herbatę z mlekiem daje się do picia karmiącym matkom, żeby miały w piersiach pokarm, a nie każdemu jak popadnie.

Ale z drugiej strony herbata z mlekiem to podobno podstawowy napój w Anglii. Królowa angielska też taką pije. Obrzydliwość. Jak można bez przymusu wypić coś takiego?! Aż się wzdrygnęłam.

Dł domu panowała cisza.

Zajrzałam do kuchni. Nie było nikogo. Mama Steve'a pewnie poszła się zdrzemnąć wyczerpana robieniem herbaty. Postanowiłam wyjść. Było już dobrze po południu. Wróciłam do domu i siadłam do komputera.

W sobotę, kiedy nie było zajęć, zadzwonił do mnie Mark. Był bardzo przejęty i koniecznie chciał się ze mną pilnie zobaczyć. Nie miałam specjalnie nic do roboty, więc się zgodziłam. Spotkaliśmy się w parku. Mark rozejrzał się konspiracyjnie i powiedział, że ma coś dla mnie. Zdziwiłam się. Co on może dla mnie mieć?

Mark sięgnął ręką pod koszulę i wyciągnął gazetę, złożoną w kostkę. Starannie ją rozprostował i podał mi. Masz, przeczytaj - powiedział. Z gazety patrzył na mnie jakiś ponury typ, ogolony na jeża, z mordą jak kubel i niechlujnym zarostem. Mark zapytał, czy go poznaję. Wzruszyłam ramionami. Skąd mogłabym go znać? Ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, Mark dodał, że od razu go poznał i że to na pewno jest mój ojciec. Wszystko się zgadza, powiedział, te zbrodnie i to, że mają go stracić w Teksasie i że jest nawet podobieństwo do mnie, nie żeby całkiem, ale jak się przyjrzeć. Myślałam, że zaraz go zdiele w łeb. Ja miałabym być podobna do takiego ohydneho zbira?? Chyba mu coś na mózg padło. Powiedziałam, że zwariował i że to wcale nie mój ojciec.

Ale Mark nie dawał za wygraną.

Najpierw zaczął mnie namawiać, żebyśmy pojechali na protest przeciwko karze śmierci, który ma być w przyszłym tygodniu.. Powiedziałam, że mnie to w ogóle nit obchodzi i że nie pojedę., bo kto popełnił zbrodnię, ten powinien ponieść kant. Mark nit mógł zrozumieć, jak mogę, być taka obojętna wobec losu własnego ojca. Więc mu jeszcze raz wyjaśniłam, że to wcale nit jest mój ojciec. Mój ojciec był dyplomatą i nie żyje, ponieważ zginął w wypadku. Pokiwał głową i stwierdził, że mnie rozumie. Moja podświadomość wyparła. z pamięci różne fakty, o których nit chcę myśleć. Słyszał o tym w telewizji i to jest typowe dla ludzi, którzy zostali skrzywdzeni. Coraz bardziej mnie denerwował.

Najgorsze było to jego wymądrzanie się. Podświadomość! Czy on chociaż wie, co ten wyraz znaczy? Dureń.

Podniosłam się z ławki i powiedziałam, że idę do domu.

Złapał mnie za rękę i zaczął przekonywać, że powinnam pojechać, bo jeśli nawet ten protest nic nie pomoże, to przynajmniej będę mogła być przy wykonaniu kary śmierci, bo rodzinę wpuszczają i można przy tym być, i potem mam mu wszystko opowiedzieć, jak było, w szczegółach. **Bo** on wie tylko ogólnie. Ze siedzi się w takim pokoju, gdzie są krzesła jak w kinie albo w teatrze, i jest kurtyna. **I** ta kurtyna się rozsuwa, i widać szklaną ścianę, a za tą ścianą jest pokój, gdzie się to robi. Ale nit wie, jak to naprawdę wygląda, bo inaczej jest, jak trują gazem, a inaczej, jak wstrzykują potas, czy coś tam. **Bo** krzesła elektrycznego to się już nie używa. Chętnie by przy tym był, ale go nie wpuszczą, więc mam mu opowiedzieć.

Czułam, że robi mi się niedobrze i że za chwilę zwymiotuję. Jesteś nienormalny! - powiedziałam. To ty jesteś nienormalna. Wypierasz się własnego ojca! Ja się swoich rodziców nie wypieram, chociaż nie są doskonali. I dodał, że co prawda żadne z nich nikogo nie zamordowało, ale gdyby nawet, to też by się ich chyba nie wyparł. W imię Jezusa, który wybaczył łotrowi.

Miałam tego dość.

Powiedziałam, że jest kretynem i zboczeńcem i żeby się ode mnie odpieprzył. Tak mi odpłacasz za moje dobre serce? - zaczął wrzeszczeć. - To teraz wszyscy się dowiedzą, kim jest twój ojciec! Do tej pory nikomu nie mówiłem, ale skoro taka jesteś, to zobaczysz.! Biblia mówi: - „oko za oko, ząb za ząb”. To już nie należy wybaczać w imię Jezusa? - zapytałam. Powiedział, że wybacza się tym, którzy na to zasługują. Tak? - zdziwiłam się. - I to ty o tym decydujesz? Odrzekł, że Bóg go oświecił.

Pocałuj mnie w dupę! - powiedziałam po polsku. Co powiedziałaś? - zaniepokoił się. Rzuciłam na ciebie klątwę. Na ciebie i na całą twoją rodzinę - postraszyłam go.

Jezu, ratuj! - wystękał Mark i przeżegnał się.

Pocałuj mnie w dupę, pocałuj mnie w dupę! - rzucałam nadal na niego klątwę, a Mark przerażony cofał się przede mną, aż wpadł do rowu z wodą. Wylazł po drugiej stronie cały mokry i uciekł, oglądając się, czy go nie gonię.

Pokazałam mu język i zrobiłam najstraszniejszą minę, na jaką mogłam się zdobyć.

Kiedy w poniedziałek przyjechałam do szkoły, wszystko było jeszcze w porządku.

Lekcje zaczęły się jak zwykle i wszyscy zachowywali się normalnie.

Ale koło południa coś się zaczęło zmieniać.

Jakieś szepty za moimi plecami, jakieś dziwne spojrzenia. Z początku nie wiedziałam, co się dzieje.

*Ale przypomniałam sobie rozmowę z Markiem. Pewnie ta kanalia rozpowie-
działa wszystkim, że mam ojca kryminalistę. Wiadomo, że rodziców się nie wybie-
ra i nikt nie odpowiada za winy rodziców, ale jednak ojciec siedzący w celi śmier-
ci za morderstwa, to nie jest rzecz często spotykana. Wszyscy zaczęli się ode mnie
odsuwać.*

Najgorzej zniósł to Steve.

Podszedł do mnie i powiedział tylko jedno słowo: Kłamczucha I odszedł.

*Był zbyt dobrze wychowany, żeby komentować to, czego się dowiedział.
Uznał, że skoro go okłamałam, to nie jestem warta, żeby utrzymywać ze mną zna-
jomość. Poza tym, co to za towarzystwo - córka przestępcy?*

I co teraz ma powiedzieć rodzicom?

Strasznie głupio się czułam. I wyobrażałam sobie, jak głupio czuje się Steve.

Jakoś dotrwałam do końca lekcji, ale postanowiłam, że tego tak nie zostawię.

Zaczekałam na Marka przed szkołą.

*Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się złośliwie i powiedział: No i co teraz zro-
bisz? Wszyscy już wiedzą. Powiedziałam, że jeszcze tego pożałuje. A on na to, że
się mnie nie boi i że bym się od niego odczepiła. Ty córko mordercy! - wysyczał jak
żmija. - Jesteś taka sama jak twój ojciec! I odepchnął mnie z całej siły, aż uderzy-
łam się głową o mur. Odwinęłam się i walnęłam go pięścią w nos.*

*Zawył z bólu i chwycił się za twarz. Po brodzie ściekała mu krew. To nie jest
jeszcze koniec - pogroziłam mu. Jak będziesz tak dalej szczekał, to zobaczysz, co
ci zrobię. Mark rozmazywał krew po twarzy i wyglądał obrzydliwie. Pójdę na po-
licję - powiedział. I co im powiesz? Że dziewczyna cię pobiła? Ty tchórze! - wy-
śmiewałam się. Córka bandyty! - wykrzykiwał, dureń! - odwzajemniłam się. - Moi
rodzice cię oskarżą, że rozsiewasz fałszywe opinie na mój temat i zażądają od-
szkodowania od twoich rodziców. Jak ci twój ojciec wleje, to od razu odszczekasz
to, co powiedziałaś. Mark darł się na cały głos, że najpierw sama się przyznałam,
a teraz się wypieram. Jesteś taki durny, że wierzysz we wszystko, co ci mówię. -
powiedziałam. - A jak ci powiem, że moim ojcem jest biskup, to też uwierzysz? Ale
nie mogłam dłużej z nim dyskutować, bo zaczęli się koło nas zbierać uczniowie z
innych klas i zrobiło się bardzo nieprzyjemnie.*

Następnego dnia. było jeszcze gorzej.

Wszyscy mnie omijali, jakbym miała MVS. Nikt ze mną nie rozmawiał. Nawet moja najbliższa koleżanka przeniosła się w klasie na inne miejsce. Najgorsze, że nie mogłam mieć do nikogo pretensji.

Sama sobie byłam winna.

Sabina odłożyła pamiętnik i zamyśliła się. A więc tak to wyglądało. Wszystko wzięło się z niepohamowanej wyobraźni Fuksji. Nie można jej było odmówić talentu w kreowaniu rzeczywistości. Tylko dlaczego to robiła?

Uzyskanie od niej jakiegoś sensownego wyjaśnienia było raczej niemożliwe. Przecież zwykle ucinała wszystkie dyskusje tym swoim „Bo musiałam”, albo „Bo WTEDY to był dobry pomysł”. Ręce opadają.

Sabina przypomniała sobie dzień, kiedy odwiedziły ją niespodziewanie trzy działaczki z Towarzystwa Obrony Życia. Myślała, że potrzebują wsparcia na rzecz jakiejś akcji, a ponieważ z reguły nie wdawała się w żadne tego typu przedsięwzięcia, uprzejmie im podziękowała za odwiedziny. Sorry, ale nie jestem zainteresowana i do widzenia.

Panie jednak nie wyszły.

Wręcz przeciwnie, zapytały, czy mogą usiąść, ponieważ chcą chwilę porozmawiać i powiedziały, że to bardzo ważne dla jej rodziny.

Sabina upewniła się powtórnie, z kim ma do czynienia, bo wydało jej się, że musiała się przesłyszeć i że może są to przedstawicielki jakiejś sekty religijnej, które będą chciały ją nawracać, aby zapewnić jej zbawienie wieczne.

Ale nie.

Powtórzyły bardzo wyraźnie, że są z Towarzystwa Obrony Życia i wyraziły zdziwienie, że Sabina nie wie, o co chodzi.

Były pewne siebie i zdecydowane.

Rozsiadły się w fotelach, więc zaproponowała im kawę. Grzecznie odmówiły i wyciągnęły jakieś papiery. Sprawa wyglądała poważnie.

Zapytały, czy zechce wziąć udział w demonstracji przeciwko karze śmierci. Odpowiedziała, że temat jest istotny, owszem, ale ma zbyt dużo zajęć i nie ma czasu na demonstracje.

Na co panie powiedziały, że jej obecność bardzo by wzmocniła ich protest i że można by wtedy zainteresować media, gdyż matka adoptowanego dziecka występująca w obronie jego biologicznego ojca skazanego na karę śmierci byłaby najlepszym argumentem za tym, że karę śmierci trzeba znieść.

Sabina poczuła, że uginają się pod nią nogi.

Teraz już było jasne, że za tą awanturą stoi Fuksja.

Ostrożnie zapytała, czy się nie mylą, gdyż ona nie ma adoptowanego dziecka.

- Jak to? - zdziwiły się panie.

A potem wyciągnęły gazetę ze zdjęciem wielokrotnego mordercy oczekującego na wykonanie wyroku śmierci w Teksasie.

- Nie wiem, kto to jest - powiedziała ze zdenerwowaniem Sabina. - To jakaś pomyłka.

- Przecież pani córka go rozpoznała - powiedziały panie.

- Moja córka nie jest adoptowana, a jej ojcem jest mój mąż.

- Tak. Rozumiemy. Tak jest w dokumentach. Ale ona pamięta swoją przeszłość, skoro o niej opowiada. W świadomości na zawsze zostają pewne sprawy. I nie chodzi o to, żeby jej to przypominać. Nie trzeba w ogóle z nią o tym rozmawiać. Dziecku trzeba oszczędzić takich przeżyć. My to rozumiemy. Ale pani powinna się w to zaangażować. Niech pani pomyśli, jaki szok czeka to dziecko, kiedy się dowie, że pani, jako jej przybrana matka, nic nie zrobiła, żeby obronić jej prawdziwego ojca przed karą śmierci. A kiedy się dowie, że wyrok został wykonany?! Trudno sobie wyobrazić, jak to wpłynie na jej psychikę. Wyjeżdżamy jutro po południu. Autokar będzie czekał przed naszą siedzibą. Liczymy na panią. Przygotujemy dla pani transparent.

- Nie! - wykrzyknęła Sabina. - Nie pojedę! To jakaś koszmarne pomyłka! Ktoś panie wprowadził w błąd!

Panie wstały z foteli z obrażonymi minami.

- O pomyłce nie ma mowy. Myślałyśmy, że znajdziemy u pani zrozumienie. Dla dobra dziecka. Ale skoro tak... Same będziemy musiały sobie z tym poradzić. Powiększyłyśmy już zdjęcia pani córki. Będą na plakatach. Będziemy prosić władze, żeby jej nie osierociły.

- Proszę stąd wyjść! Natychmiast! I zabraniam wykorzystywania zdjęć mojego dziecka! Ona ma rodziców tutaj, a nie w więzieniu! Jeżeli spróbujecie posłużyć się jej zdjęciem, podam was do sądu. I wygram! Zapłacicie mi za to. I to słono!

Panie wzburzone, z wypiekami na twarzach zmierzały ku drzwiom.

- Podam do sądu każdą z was z osobna! Odpowiedcie za to całym swoim majątkiem. Pójdziecie z torbami! Będziecie mieszkać pod mostem i zbierać odpadki po śmietnikach!

Sabina nie szczędziła działaczkom szczegółów ich tragicznego życia, jakie je będzie czekać po wygranych przez nią procesach. Trzeba przyznać, że je przestraszyła. Ale sama była jeszcze bardziej przestraszona.

Kiedy wrócił Maks, powiedziała z przygnębieniem.

- Chyba skończył się nasz pobyt w Ameryce.

- Co się stało?

- Fuksja znowu narozrabiała. Tym razem chyba nie wystarczy zmiana szkoły. Trzeba będzie zmienić kontynent.

- Jak będzie trzeba zmienić, to się zmieni. Co nas tu trzyma? Ale co się stało?

Sabina opowiedziała. Maks niespodziewanie zaczął się śmiać.

- Z czego się śmiejesz?

- Żałuję, że nie było mnie przy tym.

- To wcale nie było śmieszne.

- Ależ było! Każde inne dziecko wymyśliłoby sobie ojca prezydenta czy biznesmena. A ona - proszę! Seryjnego mordercę. Uwielbiam Fuksję.

- Tylko spróbuj jej to powiedzieć!

- Oczywiście, nie powiem. Ale przyznasz, że ma fantazję.

- Wiesz co? Ty byś jej wszystko wybaczył. Nawet gdyby ci narobiła na głowę.

- Nie bądź trywialna.

- Oboje jesteście siebie warci - podsumowała Sabina. - Wszystkie kłopoty spadają na mnie, a wy się, oczywiście, świetnie bawicie!

Nie lubiłam zimy. Poza tym ferie zimowe, w Ameryce są krótkie. Me. to nie ma znaczenia, bo w Ameryce można w ogóle nie chodzić do szkoły. Zdaje się tylko potem jakieś egzaminy. To się nazywa korne schooling. Sabina z Makiem uważali, że powinnam jednak chodzić do szkoły, żebym nie wyrosła na jednostkę aspołeczną. Więc chodziłam. Me jak trzeba było, to nie chodziłam. Tak było jednej zimy, kiedy pojechaliliśmy na Florydę.

Mieszkaliśmy wtedy w Bostonie. Bo w Ameryce mieszkaliśmy w różnych miastach. I w Bostonie trochę też.

Sabina wszędzie mogła znaleźć pracę, bo jest pielęgniarzką i jest cierplam., i ma zieloną kartę. I jest bardzo dobra dla ludzi. I ludzie ją lubią.

A Maks to nie bardzo. To znaczy - on też na ogół jest dobry i też ludzie go lubią, ale nie zawsze może zarobić. Gdyby malował ściany, a nie obrazy, to pewnie więcej by zarobił, ale on nie chce.

W Bostonie Sabina opiekowała się jakąś panią po wypadku samochodowym. Pani była strasznie połamana i jeździła na wózku i lekarze mówili, że już tak będzie, jeździć do samej śmierci, bo nogi jej puchły i nie mogła chodzić. Ale Sabina się uparła, że ją z tego wyciągnie. Sabina w ogóle jest uparta. Jeszcze w Chicago skończyła jakieś kursy i zrobiła sobie uprawnienia z rehabilitacji.

I teraz już mogła nie tylko opiekować się dziećmi i staruszkami, ale też pomagać wrócić do zdrowia ludziom z różnymi chorobami kręgosłupa albo kolan, albo czegoś innego. I po wypadkach też. Wracając do tej pani na wózku. Jej mąż miał dużo pieniędzy i dobrze płacił Sabinie za opiekę i rehabilitację, ale Sabina nie dlatego się nią opiekowała. Po prostu powiedziała, że nie może patrzeć, jak młoda kobieta staje się kaleką. I tak długo ją rehabilitowała, aż postawiła na nogi. Co prawda nie całkiem, bo ta pani chodziła o kulach, a nie samodzielnie, ale to i tak było bardzo dużo. Tak powiedzieli lekarze.

Może jeszcze napiszę o Bostonie.

Nie podobało mi się tam, ale podobały mi się wycieczki poza Boston. Do Salem na przykład. W Salem można się było poczuć jak w horrorze, bo tam był proces czarownic i zostało powieszonych 20 kobiet za czary. Może raczej 19, bo tam był też powieszony jeden facet. Tak sobie myślę, że gdybym żyła w tamtych czasach, to może też by mnie mogli o coś oskarżyć, na przykład o rzucanie klątwy na Marka i o czary, i mogliby mnie spalić na stosie albo powiesić. Jak poszliśmy do Muzeum Czarownic, to aż mnie dreszcze przechodziły. Najpierw w takiej ciemnej sali na środku podłogi pojawiło się czerwone koło z tajemniczymi znakami, a z głośników słychać było jakieś wycia i okropne odgłosy. A potem, w tej samej, bardzo wysokiej sali, pokazywały się w ścianach, we wnękach, sceny z procesu, zrobione z figur woskowych, zupełnie jak prawdziwe, i były kolejno podświetlane i opowiadane. Najstraszniejsze były sceny tortur i egzekucji. A najgorsze było to, że te kobiety zostały oskarżone przez dzieci.

No, ale jednak skazane przez dorosłych.

A przed muzeum stoi pomnik czarownicy w takiej szpiczastej czapce, i w płaszczu. Ale. to głupie., bo one. nie. były przecież czarownicami, tylko zwykłymi kobietami. I jeszcze, powieszono, zostały dwa psy, bo miały diabelskie spojrzenie.. To już zupełnie nie miało sensu. Powiedziałam o tym Sabinie i Maksowi, a Sabina powiedziała, że takie były czasy.

Nie chciałabym żyć w takich czasach.

Robert to w ogóle, się tym nie przejął. Usiadł na jednej z 19 kamiennych ławeczek na cmentarzu, na których były wyryte nazwiska tych powieszonych kobiet, i powiedział, że zjadłby loda. No, nawet szkoda komentować.

Ale ciągle odchodzę od tematu, a miałam napisać, jak znaleźliśmy się na Florydzie. Otóż ta pani po wypadku powiedziała Sabinie, że jeśli chcemy, to możemy pojechać na miesiąc na Florydę i zamieszkać w jej apartamencie nad oceanem.

I pojechaliśmy.

Sabina bardzo się cieszyła, a Maks nie bardzo.

Na Florydzie mieszkaliśmy w niedużej miejscowości w połowie drogi między Miami a Fort Lauderdale, piętnaście minut jazdy samochodem w jedną albo drugą stronę. Właściwie trudno byłoby powiedzieć, że to jest jakaś odrębna miejscowość, bo te wszystkie miejscowości wzdłuż wybrzeża łączą się ze sobą i trudno byłoby znaleźć jakieś granice między nimi. Tu jest to, a z drugiej strony ulicy już co innego. Fajnie było. Mieszkaliśmy w 46-piętrowym wieżowcu nad samym oceanem. Mieszkanie było nieduże, ale miało wielki taras, z którego widać było plażę i ocean po jednej stronie, a po drugiej miasto i zwodzony most na kanale, którym przepływały statki i jachty. Z naszego domu wszędzie było blisko, a szczególnie nad ocean, bo zjeżdżało się windą prosto na plażę. Z tarasu obserwowałam pelikany. Patrzałam na nie z góry, bo mieszkaliśmy na 32 piętrze, a one leciały niżej. Były szare i zawsze leciały wzdłuż brzegu około jedenastej w południe od strony Miami do Fort Lauderdale, a wracały wieczorem. Sabina mówiła, że lecą na żer. Może i tak, ale nie chce mi się w to wierzyć. Myślę, że my nie rozumiemy zwierząt i wszystko upraszczamy. A one przecież też mają jakieś swoje sprawy do załatwienia., o których my nic nie wiemy. Koty na przykład mają swoje zebrania. Co jakiś czas zbierają się, siedzą i coś sobie przekazują. I tak samo inne zwierzęta. I pelikany pewnie też.

Na Florydzie mi się podobało i nawet powiedziałam, że dobrze byłoby tu mieszkać, ale Sabina wytłumaczyła mi, że po pierwsze, tutaj wszyscy mówią po hiszpańsku i musielibyśmy zacząć się uczyć hiszpańskiego, po drugie., nie wiadomo, z czego mielibyśmy żyć, a po trzecie, jak przychodzi lato, to nie można tu wytrzymać z gorąca. Wtedy ja powiedziałam, że po angielsku też się tutaj mówi, bo to jest też obowiązujący język, na lato moglibyśmy gdzieś wyjeżdżać, a jeśli chodzi o pracę, to przecież Sabina wszędzie może ją znaleźć, bo wszędzie są ludzie chorzy i potrzebujący pomocy i że skoro zawsze zarabiała na nasze utrzymanie, to i tutaj zarobi. I wtedy zobaczyłam, że Maks robi się czerwony i wycho-

dzi z pokoju, a Sabina chwyciła mnie za ramiona, potrząsnęła i powiedziała: Nigdy tak nie mów! Oboje z Maksem pracujemy jednakowo na nasze utrzymanie. Czasem ja zarabiam więcej, czasem on, ale oboje ciężko pracujemy. Zapamiętaj to sobie.

Zapamiętałam i już nigdy nie komentowałam, co kto robi i za ile. To w końcu są sprawy dorosłych. A czy Maks zarabia jako płatny morderca, czy jako malarz, to jest jego sprawa. W Ameryce to chyba już tylko malowanie mu pozostało, bo tu jest podobno wielu płatnych morderców i jest z tego powodu duża konkurencja, więc on nie ma szans.

I dlatego jest czasem taki wściekły.

Bo malowanie obrazów to jest jednak mało dochodowe zajęcie.

Fuksja obudziła się, nie bardzo wiedząc, gdzie jest.

Przeżycia ostatnich dni wprowadziły tyle zamętu! Przetarła oczy. Pokój wydawał się jej znajomy, ale jednocześnie nieznany. Nie była pewna, czy to nie dalszy ciąg snu. Przez okno widać było gałęzie brzozy i ten widok skądś znała. Gdzie ja jestem? - pomyślała. Skąd się tu wzięłam?

Aha. Jestem w swoim dawnym pokoju u Flory i Tomka.

Tomka? Przecież się wyprowadził.

Ale Flora jest.

A gdzie jest kot? Prawda. U Sabiny. Powoli zaczęła porządkować swoje myśli.

A potem usiadła na łóżku i rozplakała się.

Flora siedziała w salonie na kanapie i piła kawę. Wzięła w pracy dzień wolny ze względu na Fuksję. Nie chciała, żeby dziewczynka obudziła się w pustym domu. Przeglądała kolorowe gazety i czekała, aż Fuksja wstanie.

W domu panowała cisza.

Flora była przekonana, że Fuksja pokłóciła się z Sabiną i Maksem. Nie obrażała sobie innej przyczyny jej ucieczki z domu. Co oni takiego zrobili, że doprowadzili ją do takiej desperacji? - zastanawiała się. Jednocześnie czuła się dumna, że dziewczynka obdarzyła ją zaufaniem. Po tylu latach przyjechała do niej jak do bezpiecznego azylu.

W pokoju na górze, gdzie spała Fuksja, dał się słyszeć jakiś ruch.

Flora zaczęła nadśłuchiwać. Po chwili otworzyły się drzwi i wyjrzała Fuksja ubrana w za dużą piżamę Flory.

- Cześć, mała - powiedziała Flora. - Jak się spało?

Fuksja westchnęła.

- Nie wiedziałam, gdzie jestem.

- A teraz już wiesz?

- No... wiem.

- Wyspałaś się?

- Chyba tak.

- Zrobić ci śniadanie?

- A która godzina?

- O, będzie już koło dwunastej.

- To zrób. Nie jesteś w pracy?

- Mam dzisiaj wolne. A co byś zjadła?

- Czekoladowe kulki z mlekiem.

- Nie mam. Ale mogę pójść kupić.

- Nie trzeba. Zrób co bądź. Tylko nie parówki.

Fuksja zniknęła z powrotem za drzwiami, a Flora siorbnęła jeszcze dwa łyki kawy i poszła do kuchni zrobić kanapki.

- Flora! - zawołała Fuksja z góry. - Nie mam się w co ubrać. Gdzie moje ubranie?

- Załóż na razie mój szlafrok. Wszystko ci uprałam.

- Suche?

- Suche.

- To mi przynieś.

- Potem się ubierzesz. Chodź na śniadanie.

Fuksja zeszła po schodach, przytrzymując ręką egzotyczny szlafrok Flory, drukowany w chińskie smoki. Usiadła przy stole i wzięła do ręki kanapkę. Jadła apatycznie, żując powoli i patrząc w okno.

- Nie smakuje ci?

- Smakuje.

- No to wcinaj.

- Chyba nie jestem głodna.

- To wypij chociaż sok.

Fuksja skinęła głową i umoczyła wargi w szklance z sokiem.

- Nie mogę.

- Musisz jeść. Czy ty w ogóle jadłaś coś wczoraj?

- Nie.

- No, to masz zjeść śniadanie i już. Nie grymaś.

- Flora, nie mogę. Może później.

- Dobrze. Zaraz ci przyniosę ubranie. Myłaś się?

- Tylko ręce.

- Do długich czy do krótkich rękawów? - zażartowała Flora.

- Do długich - odpowiedziała bez uśmiechu Fuksja.

- To weź prysznic i umyj głowę.
 - Dzwoniłaś do Sabiny i Maksa?
 - Dzwoniłam
 - I co powiedzieli?
 - Martwią się o ciebie.
 - Trzeba było powiedzieć, żeby się nie martwili.
 - Powiedziałam.
 - I co?
 - Nic. Sabina chciała tu przyjechać.
 - To czemu nie przyjechała?
 - Bo spałaś. Fuksja skinęła głową. Zapadło milczenie. Po chwili Flora zapytała:
 - Pokłóciłaś się z nimi?
 - Nie
 - To dlaczego uciekłaś?
 - Bo w sądzie powiedzieli, że mam wrócić do domu dziecka.
- Flora zrobiła wielkie oczy.
- Teraz?? Po tylu latach?? Gzy oni zwariowali w tym sądzie?
 - No, właśnie.
 - Muszę zaraz zadzwonić do Sabiny. Trzeba się naradzić, co robić.
 - Może jej nie być teraz w domu.
 - Ale jest pewnie Maks.
 - Pewnie jest.
 - No to idź się myj i ubieraj, a ja zadzwonię.

Fuksja powlokła się po schodach na górę, walcząc z za długim szlafrokiem, który co chwila przydeptywała, a Flora wzięła słuchawkę do ręki i wykreśliła numer Sabiny i Maksa.

Ale po drugiej stronie nikt nie odpowiadał.

Kawiarnia była prawie pusta. Maks siedział naprzeciwko Anety i patrzył jej w oczy. Była tak samo piękna, jak wtedy. Nic się nie zmieniła. Ten sam uśmiech, to samo zniewalające spojrzenie, te same świetliste włosy.

Patrzył i patrzył, i nie mógł się napatrzeć.

- No, mów. Opowiadaj. Co u ciebie? Byłeś w Ameryce, chyba masz co opowiadać? - ponagliła go.

- To nic ciekawego.

- Jak to - nic ciekawego? Tyle lat za granicą i nic ciekawego?

- A ty? Co u ciebie?

- Ja nigdzie nie byłam. No, raz z pokazem. W Paryżu. Nawet nie było czasu zwiedzać. Z daleka wieża Eiffla i biegiem przez Pola Elizejskie. Aha. Jeszcze Montmartre. Tyle, co nic. Ale ty? Masz pewnie mnóstwo wspomnień. Opowiadaj.

- Może kiedy indziej. Wyszłaś za męża?

- Tak - powiedziała niechętnie. - Ale to już przeszłość.

- Rozwiodłaś się?

- Nie. Mój mąż nie chce mi dać rozwodu. Gra na zwłokę.' Ma nadzieję, że się zmęcę i zmienię zdanie.

- A nie zmienisz?

- Nie. Nie wiem. Wiesz, to skomplikowane. On jest ode mnie starszy o dwadzieścia kilka lat. Żal mi go.

Maks jakoś ostygł po tym zwierzeniu. A więc ma męża.

- Bogaty? - zapytał.

- Tak. Dosyć.

- I nigdy nie wyjeżdżaliście za granicę? Naprawdę?

- No, wyjeżdżaliśmy. Ale co to za zagranica? Jakaś Tunezja, Turcja czy Grecja. Wszyscy teraz tam jeżdżą. Nawet biedni - wzruszyła ramionami.

Rozmowa zaczynała się rwać.

- Może powinnaś do niego wrócić - powiedział Maks niepewnie.

- Myślisz?

- Nie wiem. Tak tylko mówię. Było mu głupio.

A więc zrealizowała swój plan. Wyszła dobrze za męża, ma pewnie piękny dom i drogi samochód. A dzieci? Ciekawe, czy ma dzieci?

- Masz dzieci? - zapytał.

- Nie, coś ty? Z tym starcem?

Ze starcem? Chwileczkę. Ileż ten facet może mieć lat? Aneta ma około trzydziestki, więc ten „starzec” ma zapewne pięćdziesiątkę. No, może trochę więcej. Niewiele starszy ode mnie, pomyślał Maks. Ale może ona ma rację? Też jestem starcem. Tylko patrzeć, jak zejdę do grobu. I co ja tu robię? Zachciało mi się amorów. Przypomniawszy sobie, jak biegł na to spotkanie, z bijącym sercem, z piekącymi policzkami. Jak wybierał róże, jej ulubione kwiaty. Jak zastanawiał się, które będą odpowiednie. Białe? Różowe? A może żółte? Albo herbaciane? Bo chyba nie czerwone? Czerwone są symbolem miłości. Za wcześnie na wyznania, choćby i symboliczne. Może przyjdzie taki czas, że kupi jej czerwone. Tak sobie myślał. Idiota.

Spojrzał na zegarek.

- Spieszysz się?

- Nie. To taki nawyk.

- Wiesz, cieszę się, że cię spotkałam. Ty jesteś zupełnie inny. Artystyczna dusza. Tak dobrze mnie rozumiesz. Czuję to. Szkoda, że się wtedy rozstaliśmy. Ale ty miałeś jakieś zobowiązania. Dziecko, zdaje się. Dobrze pamiętam?

- Nie. Niedobrze. Nie miałem dziecka. I nie mam.

- Nie masz dzieci? No, popatrz. Gdybyśmy wtedy nie zerwali ze sobą - zawiesiła głos - kto wie? Może teraz bylibyśmy małżeństwem, może mielibyśmy dzieci?

- Przecież to ty zerwałaś.

- Ja? Nonsens. Byłeś zaangażowany w jakieś sprawy adopcyjne. Myślałam, że chodzi o twoje nieślubne dziecko. A potem wyjechałeś bez słowa.

- To nie było tak.

- A jak? Gdybyś wiedział, jak mi było ciężko. Najgorzej, że...

- Że co?

- Myślałam, że mnie nie kochasz.

- A ja myślałem, że ty mnie nie kochasz.

Aneta uśmiechnęła się boleśnie.

- Widzisz, jak czasem los płacze ludzkie ścieżki. A teraz? Jesteś z kimś?

- Tak, mam rodzinę. To znaczy... niezupełnie rodzinę. Ale tak jakby rodzinę - zająknął się Maks.

Boże, co ja plotę? - pomyślał. Albo mam rodzinę, albo nie mam. Wypieram się swojego związku? Dlaczego? Co przez to chcę zyskać?

- Przepraszam cię - powiedział. - Chyba powinienem już wracać. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

- Zobaczymy się jeszcze?

- Tak. Oczywiście. Jeśli zechcesz.

- Mogę do ciebie zadzwonić?

- Ja do ciebie zadzwonię - powiedział.

Pocałował ją w rękę, uregulował rachunek i wyszedł, zostawiając Anetę zamysłoną nad niedopitym kieliszkiem wina.

Musiał się pospieszyć.

Zbliżała się pora odebrania Roberta ze szkoły.

Wezwanie z prokuratury nie pozostawiało wątpliwości. Sabina była podejrzana o nielegalne zatrzymanie Fuksji za granicą. Groziło to karą do trzech lat więzienia. Czy oni powariowali w tych prokuraturach i sądach? Trzy lata więzienia za to, że opiekowałam się dzieckiem? Kretyni! - pomyślała Sabina. Obracała w rękę wezwanie i nie wiedziała, co robić.

Z zamyślenia wyrwał ją telefon od Flory.

- Dzwonię do was i dzwonię, i nikogo nie ma - powiedziała.

- Dopiero wróciłam z pracy. A Maks gdzieś wyszedł.

- Musimy się naradzić.

- Flora, później. Dostałam właśnie zawiadomienie z prokuratury. Muszę się zgłosić na przesłuchanie.

- Ja właśnie w tej sprawie. Musimy się naradzić.

- W tej sprawie?

- Tak. Fuksja mi powiedziała, że chcą ją wam zabrać. Więc gdyby tak się stało, to ja się zgłoszę jako rodzina zastępcza.

- Fajnie. Tylko, że to nie wszystko.

- A co jeszcze?

- Chcą mnie zamknąć do więzienia.

- O, Jezu! Za co? Zaraz przyjeżdżam! Podaj mi szybko adres, bo zapomniałam. I po drodze zabiorę od was kota.

Flora wpadła jak bomba i cmoknąwszy Sabinę w policzek na powitanie, rozejrzała się po mieszkaniu.

- No, faktycznie. Nie macie tu dobrych warunków. A gdzie moja kicia?

Sabina wywlokła kota z szafy, gdzie lubił ostatnio sypiać, coraz to na innej półce zresztą. Doprowadzało to Sabinę do białej gorączki. Wszędzie te kłaki - denerwowała się. Żeby przynajmniej spał na jednym miejscu. Ale nie. Wszystko musi przyozdobić swoją sierścią.

Kot obudzony z drzemki furknął z niezadowoleniem. Sabina podała go Florze.

- Mironka, kiciusiu, skarbie - ucieszyła się Flora. - Pokaż się. No, nic się nie zmienił! Taki sam jak dawniej!

Przytuliła go do siebie, w odpowiedzi na co kot zasyczał.

- No, taki sam! Warczy! Tak samo jak kiedyś.

Sabina uśmiechnęła się.

- Nie poznał cię.

- A dlaczego miałby poznać? Po tylu latach? Zresztą, postarzałam się. Miał prawo mnie nie poznać.

- A jak tam Fuksja? - zapytała Sabina.

- Dobrze.

- To znaczy?

- No, aklimatyzuje się. Będę urządzać jej pokoik. Zabiorę trochę jej rzeczy.

- Poczekaj. Ona tego chce?

- Nie wiem. Ale na razie jest u mnie. A przecież nie będzie spać przy gołych ścianach i z gołym oknem bez firanek. Poza tym, nie ma się w co ubrać.

- Flora, chwileczkę! Nie sądzisz, że ja też mam coś w tej sprawie do powiedzenia?

- A co?

- No przecież... nie możesz tak ni stąd, ni zowąd zabrać mi dziecka! Poza tym - najważniejsze jest zdanie Fuksji.

- Ona już się wypowiedziała.

- I chce być z tobą, a nie z nami? Muszę to usłyszeć od niej, a nie od ciebie.

- Powiedziała, że na razie chce być u mnie.

- Ale co to znaczy „na razie”?

- Na razie to znaczy chwilowo. Ale myślę, że ona chce zostać u mnie na stałe.

- U ciebie, czy w twoim domu?

- A czy to nie to samo?

- Nie. Nie to samo. Nie pozwolę odebrać sobie Fuksji! Jadę do niej i zabiorę ją.

- A jeśli za kilka dni zamkną cię w więzieniu? To co wtedy? Kto się nią zajmie? Więc niech już lepiej przyzwyczajają się do tego, że będzie ze mną. Wyobraź sobie, że wraca do was i przychodzi po ciebie policja. O piątej rano. Rzucają cię na ziemię, przydeptują dla pewności, żebyś nie uciekła, zakuwają w kajdany i ona na to wszystko patrzy. Wyobrażasz sobie?

- Flora, przestań. Nawet nie chcę o tym myśleć.

- No widzisz. Pokaż to wezwanie. Z tej prokuratury, czy tam z sądu, wszystko jedno.

Flora wzięła wezwanie do ręki i bardzo uważnie przeczytała najpierw z jednej, a potem z drugiej strony, gdzie było pouczenie. Zamyśliła się i skonstatowała:

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ja też - powiedziała Sabina. - Gdzie ten Maks się podziewa? Może on by coś zrozumiał?

- Tyle samo by zrozumiał, co i my. To nie jest dla normalnych ludzi. Wiesz co? - powiedziała Flora - chyba trzeba pójść do jakiegoś prawnika.

- Znam, a raczej znałam parę lat temu jednego, ale przyrzekłam sobie, że już nigdy z niczym do niego nie pójde.

- Dlaczego?

- Krętacz i nieuk.

- Nieuk? Skoro skończył studia, to chyba coś umie?

- A skąd wiadomo, co on skończył? Może studiował zaocznie w jakimś Pierdziszewie przez piętnaście lat i ledwo się przeczołgał przez to magisterium? A potem stryjek mu załatwił praktykę w Warszawie?

- No, to jest możliwe.

- Więc powiedziałam, że do niego więcej nie pójde.

- Czy to jest ten, którego wynajęłaś, żeby bronił M&fasa, jak go zamknęli w kryminale?

- Ten.

- To faktycznie jakiś tępak. I cwaniak.

- A twój?

- Mój?

- No, bo przecież ty też wynajęłaś mu adwokata.

- Fakt. Popatrz, mało brakowało, a Maks skończyłby na szubienicy. W prze-nośni mówię. I to przez ciebie.

Sabina nie odpowiedziała. Rzeczywiście tak było.

Jej starszy syn, Marcin, zaczął się wtedy obracać w podejrzanym towarzystwie. Sabina poprosiła Maksa, żeby porozmawiał z jego nauczycielem. Nauczyciel był gejem, a chłopak utrzymywał z nim bliskie kontakty. Sabinę strasznie to niepokoiło. Bała się jego wpływu na życie Marcina. Maks zgodnie z obietnicą poszedł, porozmawiał, niczego się nie dowiedział i wrócił do domu. A nauczyciela tego samego wieczoru ktoś zamordował. Podejrzenie padło na Maksa. Nic dziwnego. Policja znalazła u denata numer telefonu Maksa, no i jego odciski palców. Maks został aresztowany.

Na szczęście po pewnym czasie policja trafiła na ślad prawdziwego mordercy, bo inaczej biedak pewnie zgniłby w więzieniu, mimo wysiłków wynajętych adwokatów.

- A Fuksja... Jak ona się czuje? - zapytała znowu Sabina.

- Myślę, że wraca do równowagi.

- I naprawdę nie chce się z nami zobaczyć?

- Ależ chce!

- Chce. Tylko, że jakoś tego nie okazuje.

- Dajcie jej trochę czasu.

- Trochę? To znaczy ile? Zresztą... Nie będę jej do niczego zmuszać. Zwłaszcza, że grozi mi więzienie. Niech sama zdecyduje.

- Jasne.

- Może jutro ją odwiedzę? Jak myślisz?

- No, nie wiem. Zobaczymy. Na razie zabiorę dla niej trochę ubrań, książki i zeszyty. I kota.

- Będę musiała napisać jej usprawiedliwienie do szkoły za tę nieobecność. Dajesz sobie z nią radę?

- Jasne. Jest bardzo grzeczna.

- Powiedzmy. Gdzie ten Maks? Powinien już przyprowadzić Roberta ze szkoły. Gdzie on się podziewa?

W tej chwili na korytarzu dały się słyszeć głosy. Sabina podbiegła do drzwi.

- No, jesteście! Nareszcie! Już myślałam, że coś się stało. Stało się, pomyślał Maks. Gdybyś wiedziała, co się stało.

Miałaś rację, że się niepokoiłaś. Co prawda tramwaj mnie nie przejechał, ale może to byłoby lepsze niż spotkanie Anety. Sprawa zostałaby rozwiązana raz na zawsze, a tak, to kto wie, co się jeszcze może zdarzyć?

Po obiedzie Robert został odesłany do swojego pokoju, a Sabina, Flora i Maks zasiedli do narady.

- Trzeba znaleźć adwokata - zawyrokował Maks. - Nie widzę innego wyjścia.

- Dobrze. Ja się tym zajmę - zaofiarowała się Flora. - Ten mój adwokat był niezły. Myślę, że coś nam poradzi.

- O koszty się nie martw. Ile będzie trzeba, tyle się zapłaci, żeby tylko Sabiny nie zamknęli w więzieniu - powiedział desperacko Maks.

Ale myślami był gdzie indziej.

W Polsce wcale mi się nie podobało. Szkoła była przepelniona, dzieci zachowywały się okropnie, a nauczyciele krzyczeli i nie dawali sobie z nami rady. Al. najgorsze było to, że znowu byłam obca. Miałam zły akcent, ubierałam się inaczej i zachowywałam inaczej.

W Ameryce nauczono mnie, że mam się do każdego uśmiechać i być uprzejma, bo tam wszyscy się do siebie uśmiechają i są dla siebie mili. Mogą się nawet nie lubić, ale nie wypada Inaczej się zachowywać, bo to jest po prostu chamstwo.

Tutaj, kiedy się uśmiechnęłam, jakiś dryblas zaraz zwrócił mi uwagę: No i co się śmiesz jak głupia? Kretynka jesteś, czy co?

Przestałam się uśmiechać.

W Ameryce nauczono mnie, że mam każdego pozdrawiać. Tutaj, kiedy zaczęłam obcym ludziom mówić „dzień dobry” albo życzyć miłego dnia, patrzyli na mnie ze zdziwieniem. Niektórzy nawet odpowiadali, ale potem odwracali się za mną, jakby chcieli sobie przypomnieć, skąd mnie znają. No bo przecież nieznanym bym się nie kłaniała, to proste.

Trudno mi się, było przyzwyczać.

Ale zaczęłam się przystosowywać. Jednak, nic poddałam się całkiem. Mogę nawet powiedzieć, że mam pewien wkład w naukę amerykańskich zwyczajów i języka angielskiego w Polsce.

Kiedy któregoś dnia jakiś chłopak zaczął się ze mnie wyśmiewać, że ubieram się, jakbym kupowała rzeczy w ciucholandzie, powiedziałam mu „fuck off”, co zrozumiał, ale dorzuciłam jeszcze trochę wyzwisk, których już nie rozumiał. Nie wiedziałam, co to jest ciucholand, a on nie znał wyzwisk, których użyłam. Oboje mieliśmy więc interes w tym, żeby się dowiedzieć o sobie czegoś więcej.

Chłopak miał na imię Piotrek. Ty, co to za wyrazy? - zapytał. Powiedziałam, że najgorsze, jakie są w Ameryce. Nauczysz mnie? Zastanowiłam się i powiedziałam, że zobaczę. A co to jest ciucholand? - zainteresowałam się. To taki sklep z używanymi rzeczami. I ja tak wyglądam, jakbym tam kupowała?

No, trochę. Te twoje bluzeczki. Jak ze starszej siostry? Albo jakbyś była w ciąży - powiedział.

Zrobiłam lekceważącą minę i wzruszyłam ramionami, żeby pokazać, że mnie nie obchodzi jego opinia. To co? Nauczysz mnie? Tych najgorszych wyrazów? - dopytywał się Piotrek. Mogę - powiedziałam. Będę cię za to bronił. Jakby ktoś chciał ci coś zrobić. Roześmiałam się. A co mi może ktoś zrobić? No, nie wiem - zastanowił się Piotrek. - Mogą cię wyzywać. Mam to gdzieś - odrzekłam. Ale ja wtedy mogę cię bronić. Będę twoim ochroniarzem. Znaczą bodyguardem. Okej - zgodziłam się.

I tak zaczęłam uczyć Piotrka angielskiego.

Siadywaliśmy sobie na wyszczerbionym murku, on zjadał moje kanapki, które szykowała mi Sabina do szkoły, a których nigdy nie byłam w stanie zjeść, a ja opowiadałam mu o Ameryce. Pod moim wpływem Piotrek zaczął się uśmiechać do ludzi i robił postępy w angielskim, aż dziwiła się pani od angielskiego.

Sabina była zachwycona, że apetyt mi dopisuje i czasem nawet robiła mi jedną, kanapkę więcej na wszelki wypadek, gdybym przypadkiem zgłodniała. Brałam wszystko, a Piotrek zmiatał potem te kanapki jak odkurzacz. Był z biednej rodziny.

Chciał być, kiedy dorośnie, prezydentem, bo to zajęcie niekłopotliwe i niewymagające wielkich kwalifikacji. No, popatrz - mówił. - U nas prezydentem był elektryk po zawodówce, a u was aktor. I dali sobie radę. Trzeba tylko nauczyć się zachowania przy stole, bo tam się nie je kanapek. Bo jakby na tych przyjęciach jedli tylko kanapki, to już wcale nie musiałbym się niczego uczyć. Też dałbym so-

bie radę. Ale jeszcze trochę się pouczę. Przeważnie angielskiego, bo z tego, że się nie umie, to się u nas w Polsce najczęściej śmieją, dobra, będę ci pomagać - powiedziała. A jak już będę prezydentem, to cię zatrudnię jako doradcę. Okej? - zaproponował mi Piotrek. Okej - odpowiedziałam, choć wcale nie wiedziałam, czy mam na to ochotę. I będę ci płacił wysoką pensję - obiecał. Jasne - zgodziłam się. I będziesz wszędzie ze mną jeździć, żeby nie zrobił jakiegoś błędu w tym angielskim, okej?

Tak sobie rozmawialiśmy, a Piotrek uczył się najpierw najgorszych słów, jakie znałam, a potem prawidłowej wymowy, żeby się czasem nie pomylił i nie powiedział na przykład „shit” zamiast „sheet”, bo wtedy wyszłoby, że chce mieć gówno zamiast, powiedzmy, kartki papieru. A to w prezydenckim fachu mogłaby być kompromitacja.

I tak powoli posuwała się do przodu nasza edukacja, bo on z kolei uczył mnie żargonu młodzieżowego i potocznej mowy, której nie znałam.

Mimo że miałam osobistego bodyguarda, nie udało mi się uniknąć problemów, ponieważ znowu poniosła mnie fantazja.

Jak w każdej klasie zawsze jest jedna najładniejsza dziewczynka i jeden najfajniejszy chłopak. Rzadko się zdarza, żeby było inaczej.

W mojej klasie najładniejsza była Kasia. I na dodatek zawsze była dobrze przygotowana do lekcji i grzeczna. To było nie do zniesienia.

Jej ojciec był dziennikarzem, ale nie jakimś nadzwyczajnym i znanym, tylko takim, co pisze, że pies kogoś pogryzł, albo że w jezdni jest dziura. Wiem, bo kiedyś znalazłam w gazecie notatkę podpisaną jego nazwiskiem. Pisał, że najwyższa pora, żeby władze miejskie podjęły decyzję w sprawie psych kup, w które ciągle się wdeptuje, bo właściciele nie pilnują swoich czworonogów.

Nie zamierzałam wyśmiewać się z jej taty, ale kiedy znowu zaczęła zadzierać nosa i przechwalać się, że jej tata jest dziennikarzem, nie wytrzymałam. No i co z tego? - powiedziała. - A mój tata był gubernatorem stanu Georgia i się nie chwale. Był? - zdziwiła się. - Ale już nie jest? Nie jest, bo zginął w katastrofie helikoptera. Było w gazetach. Może tutaj, u was, nie było, ale w Ameryce było.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na mnie z podziwem. No i dalej to już samo poszło. Tata pracował w Atlancie - mówiłam - bo tam jest stolica stanu, a my mieszkaliśmy w Savannah i tata dojeżdżał do pracy helikopterem, bo to jest bardzo daleko. No i kiedyś było tornado i ostrzegali, żeby się nie wybierać w podróż, jak się nie musi. Ale tata musiał, bo miał bardzo ważną konferencję i poleciał. I zginął. Mnóstwo ludzi wtedy zginęło. W Savannah mieliśmy piękny dom, zupełnie jak pałac. I rosły przed nim magnolie, ale nie takie jak tutaj. Tutaj magnolie mają małe kwiaty i kwitną tylko na wiosnę. A tam kwitną cały czas. Są wysokie, mają duże liście i wyglądają jak drzewa, a kwiaty to mają takie wielkie jak talerze. I pięknie pachną. Cytrynowa, czy może raczej pomarańczowo. A na drzewach wiszą takie długie porosty, jak w strasznych bajkach. Nazywają się Spanish moss. Hiszpański mech. Ale nie rosną na magnoliach, tylko na dębach.

Mogłam im to wszystko opowiadać, bo jak wracaliśmy z Florydy, popsuł nam się samochód koło Savannah i musieliśmy się tam zatrzymać na cały weekend, bo wszystkie, warsztaty były nieczynne. I przez całą sobotę, niedzielę i poniedziałek, zanim nam zreperowali samochód, zwiedzaliśmy Savannah. Bardzo mi się podobało to miasteczko. Było tam nabrzeże, gdzie kiedyś odbywał się targ niewolników, a teraz był deptak turystyczny, a na wodzie stały statki zrobione na stare i wyglądały zupełnie jak te, co przywoziły niewolników. I one były też dla turystów. Ale nazwisko masz polskie, nie amerykańskie - nie dawała za wygraną Kasia. Bo mama wyszła potem drugi raz za mąż i zostałam adoptowana przez jej męża. To znaczy - mojego ojczyma - wyjaśniłam. - Z początku mama bardzo rozpacziała po śmierci taty. Potem wyjechała na Florydę, żeby wszystko zapomnieć. I poznała swojego obecnego męża. Ale ciągle wspomina mojego tatę. A tyl Pamiętasz go? - dopytywali się wszyscy, jeden przez drugiego. Jasne! - powiedziałam ze smutkiem. Nigdy go nie zapomnę. Był wspaniałym człowiekiem. Kiedy zginął, to cała Ameryka była w żałobie. Pewnie jesteście bardzo bogaci? - ktoś zapytał. Nie tak bardzo - odpowiedziałam - bo mój tata. wszystkie pieniądze przeznaczał na głodujące dzieci w Afryce. Był bardzo szlachetny.

Westchnęłam i wszyscy westchnęli razem ze mną.

W ten sposób odebrałam Kasi pierwszeństwo w klasie. Ładna owszem była, ale co z tego? I tak nie ładniejsza ode mnie, a tatą już się nie mogła przechwalać. Nikt już teraz nie zwracał na nią uwagi. Ja byłam najważniejsza.

Ale nie na długo.

Wiadomość o moim pochodzeniu dotarła do wychowawczynie. Podczas spotkania z rodzicami zagadnęła zniecierpliwiona Sabinę: Pani mąż był podobno gubernatorem jakiegoś stanu w Ameryce?

Sabina odpowiedziała, że nie, że jej mąż był prawnikiem.

Ale obudziła się w niej czujność.

I kiedy wróciła do domu, zrobiła mi od razu awanturę, żebym się nie wygłupiała i nie opowiadała w szkole bajek, bo kłamstwo ma krótkie nogi i czy ja nigdy nie nabiorę rozumu.

Nic nie powiedziałam, bo co miałam powiedzieć

No i w szkole zaczęły się uśmieszki za moimi plecami, że kłamię... Jedni mi wierzyli, inni nie i Kasia zaczęła, odzyskiwać przewagę.

Na szczęście zbliżał się koniec roku szkolnego i jednocześnie koniec chodzenia do tej szkoły.

P.S. dlaczego ja ciągle wymyślam sobie rodziców?

Telefon od Flory był alarmujący.

- Sabina, musisz przyjechać. Nie wiem, co robić.

- A co się stało?

- Fuksja prawie nic nie je, tylko śpi albo leży.

- Boże!

- I w ogóle nie chce rozmawiać. Zaszyła się w swoim pokoju jak jakieś zwierzątko w norze i nie wychodzi, a jak zaglądam, to udaje, że śpi.

- Zaraz tam jadę. A może Maks też powinien do niej pojechać?

- Sama nie wiem. Myślę, że tyją lepiej rozumiałaś niż on. Powinnaś przyjechać, bo pomyśli, że wam na niej nie zależy.

- Przecież sama mówiłaś, żeby jej dać na razie spokój.

- Powiedziałam „na razie”. Ale to nie znaczy, że macie się nią w ogóle nie interesować. Pomyśli, żeście ją opuścili.

- Flora, namąciłaś, namąciłaś, a teraz zwalasz całą winę na nas.

- Nie zwałam. Ale nie można dziecka zostawiać samego. Pytała o was, a wy się nawet do niej nie odezwaliście.

- No, dobrze. Zaraz tam pojedę. Jak tylko Maks wróci. *i*

- Co, znowu go nie ma?

- Znowu. Nie mam pojęcia, gdzie chodzi.

- Sprawdź to. Z facetami nigdy nic nie wiadomo. Mam przykre doświadczenia, to wiem. Facetom nigdy nie można wierzyć. Wydaje ci się, że wszystko jest w porządku, a on ci za plecami wycina jakiś numer. Mówię ci, ty sprawdź, czy on nie ma jakiejś panienki na boku. Facet nie znika z domu bez powodu. Wiem, co mówię.

- Sprawdzę. Ale na Maksie można polegać.

- Do czasu, moja droga. Do czasu. Lepiej na zimne dmuchać, niż się potem sparzyć. Jak nie będziesz go pilnować, to się obudzisz z ręką w nocniku, jak ja. Też byłam naiwna. Teraz już nie jestem.

- Flora, a może przyjechać z Robertem? Nie mam go z kim zostawić.

- Daj spokój. Zaraz będzie awantura.

- Ale może to ją wyrwie z tej apatii?

- Terapia szokowa? Nie wydaje mi się. Lepiej przyjedź sama i spróbuj z nią porozmawiać. Jak matka z córką. Myślę, że ona tego potrzebuje. Przede mną się nie otworzy. Ale przed tobą może. W końcu przez te ładnych parę lat zżyłyście się ze sobą, nie?

- Takie miałam wrażenie. Ale czy ja wiem? Sama już nie wiem.

-Przyjeżdżaj.

- Tylko gdzie ten Maks?

- Z facetami tak jest. Jak któregoś potrzebujesz, to żadnego nie ma. A jak nie są ci potrzebni, to wtedy masz koło siebie tłok. Muszę kończyć. Przyjeżdżaj.

Sabina chodziła nerwowo po mieszkaniu, patrząc na zegarek i wyglądając przez okno, choć z okna widać było tylko przeciwną stronę ulicy i gdyby Maks szedł chodnikiem po stronie domu, to i tak by go nie zauważyła. Zaczęło się ściemniać i Sabina była coraz bardziej zdenerwowana. W końcu Maks przyszedł. Był jakiś roztargniony i nie patrzył na nią, więc pomyślała, że kto wie, czy Flora nie ma racji. Może rzeczywiście ma jakiś romans?

- Gdzie ty się podziewasz? - napadła na niego. - Czekam na ciebie i czekam, i nie mogę się nigdzie ruszyć z domu, bo nie mam z kim Roberta zostawić. Chciałam jechać do Flory, ale teraz już za późno.

- A co się stało?

- Fuksja ma depresję. Nic nie je, tylko śpi.

- Niemożliwe! Może trzeba ją zaprowadzić do psychologa?

- Może. Tylko jak ja mam się nią zająć, kiedy ciebie gdzieś nosi? W ogóle nie mogę na ciebie liczyć! Zawsze jak jesteś potrzebny, to cię nie ma!

- Może jutro pojedziemy razem?

- Na jutro to ja mam wezwanie do prokuratury.

- To sam pojedę

- Ani mi się waż. Wyjdzie na to, że tylko ty się nią interesujesz. Oboje powinniśmy się nią zająć. Żałuję, że posłuchałam Flory i od razu do niej nie pojechałam.

- Przecież mogłaś dzisiaj pojechać. Nie musiałaś na mnie czekać.

- A Robert?! Mówisz, jakbyś z księżycy spadł! Z kim miałam go zostawić?!

- Mogłaś go zostawić u pani Reni.

- Pani Reni nie było. Pojechała do lekarza. Poza tym ona już nie ma siły i coraz gorzej znosi towarzystwo dzieci. Zresztą Robert nie lubi tam chodzić.

- Powinien się przyzwyczajać, że nie zawsze ma się to, co się lubi.

- Nie wymądrzaj się. Jadłeś coś?

- Coś tam jadłem.

- Nie jesteś głodny?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

Przechodząc obok Maksa, Sabina poczuła zapach alko holu.

- Pileś coś?

- To znaczy co?

- Nie wiem. Piwo? Wino?

- A tak. Piwo.

- To coś nowego.

- Od czasu do czasu mi się zdarza.

- Nie wiedziałam.

Sabina zamilkła, ale podejrzenia zasiane przez Florę zaczęły kiełkować. Rzeczywiście, Maks ostatnio dziwnie się zachowuje. Trzeba będzie to sprawdzić. Ale na razie najważniejsza była Fuksja. Wykręciła numer Flory i powiedziała:

- Nie mogłam przyjechać. Maks dopiero teraz wrócił. A co z Fuksją?

- Śpi.

- Boże, cały czas śpi?

- Cały czas. W każdym razie nie wstaje. Nie wiem sama, co robić.

- Jutro przyjadę na pewno. Zaraz po rozmowie prokuratorem. Bo na jutro mam wezwanie. Nie mogę nie pójść. Pilnuj jej.

- Pilnuję. Ciagle do niej zaglądam. Może rzeczywiście powinnaś ją zabrać?

- Zobaczymy jutro.

- To do jutra.

Teraz, jak czytam to, co napisałam, to nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia. Jacy szpiegowie?

Co ja sobie wymyśliłam? Jaki płatny morderca? Jak w ogóle mogłam tak myśleć o Maksie?

Pewnie, że wszystko w moim życiu było trochę dziwne, ale przecież każdemu zdarzają się różne dziwne rzeczy. Nie tylko mnie. Więc żadnych szpiegów nie było. Ale i tak pozostawał problem - kim są moi rodzice? I może nawet to był jeszcze większy problem niż przedtem. Bo przedtem mogłam sobie wytłumaczyć, że nie mogli mnie sami wychowywać, gdyż mieli inne, ważniejsze sprawy. I mogłam wierzyć, że kiedyś zechcą mnie zabrać do siebie, kiedy już minie niebezpieczeństwo. Teraz pozostawało pytanie - dlaczego mnie zostawili, skoro tak ważnych powodów nie było? I gdzie są? Postanowiłam ich odnaleźć. Może są biedni? Może potrzebują mojej pomocy i nawet nie wiedzą, gdzie jestem, i nie mogą o tę pomoc poprosić? A przecież już jestem duża i mogłabym im pomóc. Albo może są kalekami na wózkach? To tym bardziej powinnam im pomóc. Bo na pewno nie oddali mnie do domu dziecka bez powodu.

Z Sabiną i Makssem jest mi dobrze, ale nie mogę myśleć tylko o sobie, kiedy moja prawdziwa mama może tęskni za mną i szuka mnie, ale nie może mnie odnaleźć, bo tyle razy zmienialiśmy adresy, że nawet sam diabeł by za nami nie trafił.

Poza tym ciekawe, czy mam rodzeństwo.

Fajnie byłoby mieć siostrę albo brata, ale prawdziwego, nie przyklejanego, jak Robert. Więc może mam jakieś rodzeństwo, tylko nic o nim nie wiem. Tak samo jak oni nic nie wiedzą o mnie.

No, więc zbierałam się do jakiegoś działania i zbierałam, i tak jakoś schodziło, i ciągle nic w tej sprawie nie robiłam.

Sabina i Maks chcieli mnie adoptować Z jednej strony to chciałam, żeby mnie adoptowali, ale z drugiej - gdyby mnie adoptowali, to już nie mogłabym odnaleźć moich rodziców, chyba że jak skończę 18 lat. A co mi po odnalezieniu rodziców, kiedy już będę stara?

Nie wiedziałam, co robić.

I wtedy w sądzie powiedzieli, że nie można mnie adoptować, bo Sabina za długo przetrzymywała mnie w Ameryce bez pozwolenia sądu i teraz może pójść do więzienia, a mnie zabiorą do domu dziecka. No, to teraz już nie miałam wyjścia. Musiałam znaleźć moich rodziców.

W kasetce, w której Sabina przechowywała różne ważne papiery i zwykle zamykała ją na kluczyk, ale kiedyś nie zamknęła, znalazłam nazwisko i adres mojej prawdziwej mamy. Nie byłam pewna, czy to rzeczywiście jest moja mama, bo w tych papierach było bardzo dużo różnych informacji i opisów i poza tym musiałam się spieszyć, izby mnie nie przyłapali, jak grzebię w kasetce, ale zdążyłam zapisać to nazwisko i adres i teraz wiem, gdzie jechać. Być może wyjeżdżam na zawsze. Jał mi zostawiać Sabinę i Maksa, i nawet Roberta też mi żał zostawiać, ale nie mam wyjścia. Najbardziej żał mi kota. Ale nie mogę go zabrać ze sobą. Napisałam list i wzięłam wszystkie swoje oszczędności. Mogłam wziąć pieniądze z szuflady w salonie, bo zawsze tam leżą, ale nie jestem złodziejką i nie będę okradać Sabiny i Maksa. Jak mi nie starczy na bilet, to pojedę autostopem, albo na gapę.

Pan prokurator był młody, energiczny i przekonany o swojej racji. Zarozumiała gówniarz, oceniła go w myślach Sabina. Nonszalancko podsunął jej krzesło i usiadł naprzeciwko.

- No i co ja mam z panią zrobić? - zapytał retorycznie.

- Nie wiem - odpowiedziała Sabina.

- Ale kodeks karny wie - odrzekł.

Otworzył cienką, czerwoną książeczkę i zaczął czytać, popatrując uważnie na Sabinę:

- Artykuł 211. Kto wbrew woli osoby powołanej do opieki lub nadzoru uprowadza lub zatrzymuje...

Tu zrobił przerwę, popatrzył znacząco i z naciskiem powtórzył:

- ...lub zatrzymuje małoletniego poniżej lat 15 podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech.

- Ja nikogo nie uprowadziłam ani nie zatrzymywałam. Sąd zezwolił na wywiezienie dziecka, rodzice zastępczy wyrazili zgodę, więc nie wiem, za co miałabym iść do więzienia. Za to, że dziecku stworzyłam dom? I co z tego, że za granicą, a nie w Polsce?

- Ależ to nie ode mnie zależy - uśmiechnął się rozbrajająco pan prokurator. - O winie i karze orzeka sąd. Ja tylko stoję na straży prawa i robię, co mi nakazują przepisy.

Pamiętając przestrogi Maksa, żeby nie drażnić władzy, Sabina przełknęła uwagę, która przyszła jej na myśl, że lepiej by było, gdyby stał na straży zdrowego rozsądku, ponieważ prawo można różnie interpretować - zgodnie z rozsądkiem, albo nie.

Kiwnęła więc głową i powiedziała:

- Oczywiście. Ma pan prokurator rację.

- Wobec tego porozmawiajmy.

- Chętnie.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego wywiozła pani dziecko do Ameryki?

- Ponieważ ja i mój mąż chcieliśmy je adoptować.

- A dlaczego nie mogła tego pani zrobić w Polsce?

- Ponieważ mój mąż mieszkał w Ameryce. No i...

- Proszę, proszę... Niech pani mówi.

- Złożyliśmy odpowiednie dokumenty i czekaliśmy na wezwanie sądu.

- Z tego co wiem, sąd takie wezwanie wysłał.

- Nie dostałam.

- Aha. I dlatego zatrzymała pani dziecko. Przez cztery lata. Czy dobrze pamiętam?

- Czekaliśmy na wezwanie sądu.

- Rozumiem. I dlatego zatrzymała pani dziecko. Sabina zaczynała tracić cierpliwość.

- Przecież wróciłam i przywiozłam dziecko z powrotem. I wystąpiłam powtórnie o adopcję, ponieważ z pierwszym mężem się rozwiodłam. Teraz mam drugiego męża i chcemy dziecko adoptować.

- No widzi pani. Sama pani widzi. Wywiozła pani dziecko, potem się pani rozwiodła i zrezygnowała ze starań o adopcję, potem pani znowu wyszła za mąż i przypomniała sobie o adopcji. Jest pani osobą niewiarygodną. I powiem pani szczerze, że w świetle tych faktów nie ma pani najmniejszych szans na przysposobienie dziecka.

- Proszę?

- To co powiedziałem. Do widzenia.

- Jak to? Co to znaczy?

- Chyba wyraziłem się jasno?

- I uważa pan, że to jest sprawiedliwe?

- Najważniejsze jest dobro dziecka. Nie można powierzać dziecka osobie niewiarygodnej.

- To znaczy, że według pana dziecku będzie lepiej w domu dziecka niż w rodzinie?

- O tym orzeknie sąd. Do widzenia pani. Sabina wyszła, połykając łzy.

Trzeba się było przy nim rozplakać, myślała. Trzeba go było wzruszyć, tak jak radził Maks.

Ale przecież na tym typku łzy nie zrobiłyby najmniejszego wrażenia! On wie lepiej, co dla dziecka jest dobre, a co złe.

A najgorsze, że w kwestii adopcji ma rację.

Jeśli mnie skażą, to żaden sąd nie powierzy mi dziecka. Kto oddałby dziecko kryminalistce? Dobrze, że jest Flora. Zaopiekuje się Fuksją. Bo na Maksa nie ma co liczyć. Robert pojedzie do ojca, do Ameryki, a Marcin jakoś da sobie radę. Jest zdolny, skończył college, zaczął studiować w Bostonie medycynę, ma stypendium, nie zginie.

Tak więc Sabina dokonała obrachunku ze swojego życia i przygotowana na najgorsze, poszła na przystanek tramwajowy. Miała jeszcze nadzieję, że może adwokat od Flory coś poradzi. Ale ta nadzieja, po rozmowie z prokuratorem, była coraz bardziej nikła. Przygnębiona wsiadła do tramwaju.

Kiedy dotarła do domu Flory, drzwi zastała zamknięte. Gdzie ona się szwenda? - pomyślała z irytacją. Usiadła na schodach. W tej chwili szczęknął zamek. Odwróciła się. W drzwiach stała Fuksja. Była w piżamie Flory i w jej szlafroku, nieuczesana, z podpuchniętymi oczami. Od zbyt długiego spania, czy od płaczu? - pomyślała Sabina. Zerwała się i przytuliła Fuksję.

- Moja kochana córeczka - powiedziała.

Fuksja chlipnęła. Objęła Sabinę i przez chwilę obie popłakiwały.

- Dlaczego nie wróciłaś do domu? - spytała w końcu Sabina.

- Myślałam, że za parę dni się przeprowadzicie.

- Dziecko, co ty mówisz? To nie jest takie proste. I to nie jest kwestia paru dni.

- Dlaczego?

- Dlatego, że najpierw trzeba załatwić formalności związane z kupnem domu.

- To przecież można załatwić później.

- A poza tym mam na głowie te sprawy sądowe i nie mogę się zająć przeprowadzką. A gdzie Flora?

- Nie wiem. Gdzieś wyszła. Powiedziała, że niedługo wróci.
- Byłaś w szkole?
- Nie. Cieszę się, że nie będę już tam chodzić.
- Na razie jeszcze musisz.
- Wiem.
- A gdzie kot?- Dziewczynka się rozjaśniła.
- Śpi. W moim łóżku. Chcesz zobaczyć?
- O niczym innym nie marzę.

Sabina z Fuksją poszły na górę. Flora miała rację. Pokoik Fuksji sprawiał wrażenie celi. Gołe ściany, gołe okno. Trzeba go będzie jakoś urządzić. Na niezasłanym łóżku spał Mironka, zajmując całą poduszkę.

- Ależ on jest duży! - zdziwiła się Sabina. - Jakoś do tej pory tego nie widziałam.

- Bo ciągle go przeganiałaś i nie miał możliwości, żeby się zaprezentować.
- No już nie przesadzaj.
- Fajnie wygląda, nie? Muszę mu zrobić zdjęcie.

- A jeszcze mało ma zdjęć? To jest chyba najbardziej obfotografowany kot świata.

- Bo na to zasługuje. Wiesz, wczoraj wypadł mu jeden włos.
- Może łysieje?
- No, coś ty! Nie żartuj!
- No dobrze, dobrze.

Podeszła do łóżka i pogłaskała kota. Ten w odpowiedzi mruknął coś przez sen i przeciągnął się. Sielanka. Tylko że z kryminałem w tle.

- Bardzo mi was brakuje. Ciebie i Mironki. W domu zrobiło się pusto. Wszyscy za wami tęsknimy. To znaczy... zdecydowanie bardziej za tobą niż za kotem - roześmiała się Sabina - ale za nim też.

Fuksja się uśmiechnęła.

Jak dobrze, że jest ten kot, pomyślała Sabina. Możemy dzięki niemu normalnie rozmawiać. Na poważne rozmowy przyjdzie jeszcze czas.

- Przywiozłaś mi coś? - zapytała Fuksja.

- Proszę? - zapytała Sabina z roztargnieniem.

- No, coś z ubrania. Potrzebna mi kurtka.

- Nie. Jadę prosto z prokuratury - westchnęła. - Nie mam pojęcia, co robić. Ten prokurator to jakiś niezyciowy facet. Nic do niego nie dociera. Żadne argumenty. Chyba jest za młody na to stanowisko. I sam pewnie nie ma dzieci.

- Dupek? - zapytała Fuksja.

- Można tak powiedzieć - przyznała Sabina. - Ale tacy są najniebezpieczniejsi.

Zapadło milczenie.

- Zjesz coś? - zatroskała się Fuksja. - Może chcesz kanapkę? Zrobię ci, co?

- Nie, dziecko. Z tych wszystkich zmartwień, to nic mi się nie chce. Nawet jeść. Chyba pojedę do domu. Nie pojechałabyś za mną?

- Poczekaj. Fora powinna zaraz wrócić.

- Dobrze. Jeszcze trochę zaczekam.

Rzeczywiście. Po kilkunastu minutach przy furtce pojawiła się Flora. Obydwie wybiegły przed dom.

- No i co? I co? Gdzie byłaś? Załatwiłaś coś? Byłaś może u adwokata? - Sabina zasypała ją pytaniami.

- Chwileczkę. Dajcie mi odsapnąć. Zaraz wszystko opowiem.

Kiedy usiadły w salonie, Flora najpierw poinformowała, że jej dawny adwokat zmienił kancelarię i że w związku z tym go nie zastała.

- I co teraz będzie? - zmartwiła się Sabina.

- Nic. Na jego miejsce został przyjęty inny. Bardzo przystojny.

- I co z tego, że przystojny? Nie jest nam potrzebny przystojny adwokat, tylko dobry - zachnęła się Sabina.

- No, właśnie mówię. Nie tylko przystojny, ale i dobry.

- A skąd wiesz?

- Jak to skąd? Rozmawiałam z nim. Gdybyś wiedziała, co to za dżentelmen! W życiu od nikogo nie usłyszałam tylu komplementów, co od niego! Żałuję, że nie ubrałam się lepiej. Gdybym włożyła ten lniany kostium i korale, to zrobiłabym na nim jeszcze lepsze wrażenie.

- Flora, czy ty słyszysz, co mówisz?! Mnie grozi więzienie, a ty mi opowiadasz o jakimś kostiumie i koralach.

- Bo to ma związek! Nie rozumiesz tego? Bardzo się mną zainteresował. A im bardziej się zainteresuje, tym bardziej będzie się starał pokazać, że jest dobrym fachowcem i wygrać sprawę! To przecież proste!

Sabina westchnęła.

- No, dobrze. Niech będzie. I co ci powiedział?

- Że mam bardzo ładne oczy. I że powinno mi być dobrze w zielonym.

- Flora. Ja naprawdę cię rozumiem. Rozumiem cię jako kobieta. Ale jako potencjalna aresztantka, chciałabym wiedzieć, czy ten facet mnie obroni, a nie czy mu się podobasz.

Fuksja zachichotała krótko.

- Ale dlaczego się denerwujesz? - zdumiała się Flora.

- Opowiadam ci po kolei, a ty się wściekasz. Chcę ci uświadomić, jaki to jest miły człowiek.

- I co mi z tego przyjdzie, że miły? Chcę wiedzieć, czy potrafi nam pomóc.

- Ależ oczywiście! Powiedział, że oskarżenie nie ma podstaw. W ogóle. Żadnych.

- Prokurator jest innego zdania.

- Nie przejmuj się tym. Jestem z nim umówiona na jutro, to wszystko doprecyzujemy.

- Tak, tak. Pewnie ci powie, że masz zgrabne nogi.

- To może włożę jutro sukienkę? Ale mam tylko jedną

- zmartwiła się Flora. - Taką w kwiatki.

- Może być w kwiatki - powiedziała Sabina i podniosła się z kanapy. - Chyba będę musiała sama sobie znaleźć adwokata.

- Nie wiem, dlaczego tak się złościś. Wszystko jest na dobrej drodze. Zapewniam cię. Jutro do ciebie zadzwonię.

- To ja pójdę z Sabina - zerwała się Fuksja. - Przywiozę sobie trochę rzeczy. Zaczekasz na mnie? - zwróciła się do Sabiny. - Pójdę się przebiore.

- Dobrze. Idź.

Kiedy przyjechały do domu, Fuksja pokłóciła się z Robertem.

Gdy tylko dziewczynka weszła do pokoju, od razu przetoczyła się między nimi burza. Sabina ze zdziwieniem stwierdziła jednak, że wcale jej to nie irytuje, że - wręcz przeciwnie – te odgłosy kłótni świadczą o powrocie do normalności i działają wręcz kojąco na jej skołatane nerwy.

Dzieciom widocznie też tego brakowało, bo po gwałtownej wymianie zdań zapanowała nagle cisza, a potem Sabina usłyszała, że Robert pyta o kota i o pokój, w którym będzie mieszkał, a Fuksja całkiem spokojnie opowiada mu o domu.

Ale pierwsze chwile były trudne.

- Dlaczego ruszałeś moje rzeczy?? - wrzeszczała Fuksja. - Kto ci pozwolił? Mówiłam, żebyś niczego nie ruszał!

- Niczego ci nie ruszałem. Sama zostawiłaś bałagan, a teraz się mnie cze-piasz.

- Ja zostawiłam bałagan? A kto mi pomazał zeszyt? Może ja?

- A kto? Już nie pamiętasz? Sklerozę masz, czy co? Sprawdzałaś, czy długopis ci nie wysechł. I pomazałaś.

- Ja sprawdzałam? W zeszycie?! Chyba taką debilką to nie jestem! Mogłam sprawdzać na kartce, ale nie w zeszycie!

- Głupia.

- Sam jesteś głupi.

I tak dalej, i dalej. Sabina uśmiechnęła się. Widocznie tym dwojgu kłótnia była niezbędna do życia. Tak jak jej niezbędne do życia było poczucie więzi rodzinnej i bezpieczeństwo najbliższych osób. Posmutniała. Teraz to wszystko le-gło w gruzach. Rodzina się rozsypywała, a jej groziło więzienie. Poczula, że do oczu napływają jej łzy. Szybko sięgnęła po torebkę, wyjęła chusteczkę i otarła oczy. Z torebki wypadło wezwanie do prokuratury. Sabina podniosła je z podłogi i rzuciła z irytacją na stół.

Fuksja wyszła z pokoju.

- Masz jakąś dużą, plastikową torbę? - zapytała.

- Zobaczę.

- Co to jest? - zapytała i wzięła do ręki wezwanie. Rozprostowała je i zaczęła czytać.

- Zostaw to, dziecko. To nie dla ciebie.

Fuksja nie odpowiedziała.

Sabina spakowała jej rzeczy.

A kiedy Maks w końcu wrócił i odwiózł Fuksję do Flory, okazało się, że w całym tym zamieszaniu wezwanie gdzieś się zawieruszyło. Nie było Sabinie do

niczego potrzebne, bo rozmowa z prokuratorem już się odbyła, ale zwykle przechowywała urzędowe dokumenty - nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.

Pewnie ktoś wyrzucił, pomyślała. Że też w tym domu niczego nie można zostawić, żeby zaraz nie zginęło.

Przystojny pan mecenas roztaczał przed Florą wszystkie swoje wdzięki, imponując jej wiedzą, obyciem i doświadczeniem zawodowym.

- Ależ niech się piękna pani nie martwi. To naprawdę drobna sprawa. Przeanalizujemy wspólnie sytuację. Była pani razem ze swoim mężem - byłym mężem - rodziną zastępczą dla tego dziecka, czy tak?

- Tak.

- Wyraziliście państwo zgodę na wyjazd dziecka za granicę. Tak?

- Tak.

- Sąd również wydał zgodę na wyjazd. Tak?

- Tak.

- No, więc gdzie tu problem?

- Nie wiem - wyjąkała Flora.

Była całkowicie oczarowana i nie bardzo wiedziała, co pan mecenas do niej mówi.

- No widzi pani. Nie ma problemu.

- Ale prokurator...

- Jeśli była zgoda rodziców zastępczych i sądu, to nie było uprowadzenia ani zatrzymania nieletniej.

- Ale sąd napisał, że wyraża zgodę na czasowy wyjazd.

- No, właśnie. A co to znaczy „czasowy”? Rok? Dwa? Dziesięć lat? Ktoś w sądzie okazał się nadgorliwy i na wszelki wypadek zawiadomił prokuraturę. Ale zajmiemy się tym. Zapewniam panią, że w całej tej sprawie brak jest znamion

przestępstwa. Chyba że nie znam całego stanu faktycznego. Bo może coś prze-
gapiliśmy? Może było żądanie powrotu dziecka do kraju?

- Tego nie wiem.

- Ano właśnie. I to musimy wyjaśnić. Państwo z takim żądaniem nie wystę-
powali?

- Nie.

- A sąd?

- Nie wiem.

- Postaram się to ustalić. Ale bądźmy dobrej myśli. Spotka się pani jutro ze
mną? Będę czekał z niecierpliwością. Jest jeszcze kilka kwestii do omówienia.
No i musimy się spotkać z pani przyjaciółką. Przecież to o nią w gruncie rzeczy
chodzi, czyż nie?

- No, tak.

- To do jutra. Spotkajmy się, powiedzmy, o drugiej. - Spojrzał na zegarek. -
Może będę już mógł pani powiedzieć coś bliższego w tej sprawie. I główka do
góry, pani Floro. Proszę się nie zamartwiać na zapas. Wszystko będzie dobrze.
Nawiasem mówiąc - ma pani piękne imię. I piękną figurę. Jak nastolatka. Upra-
wia pani sporty? Tenis? Pływanie?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Nie? To widocznie ma pani znakomite geny. I pięknie pani chodzi. Jak
modelka.

- Dziękuję.

- Ja tylko stwierdzam fakt.

Uroczy pan mecenas pożegnał Florę przeciągłym pocałunkiem w dłoń i od-
prowadził do drzwi. Flora była nieprzytomna. Z wrażenia pomyliła kierunki i
zamiast na ulicę wyszła na ciasne podwóreczko. Zawróciła i w korytarzu znów
natknęła się na pana mecenasa.

- Błędzimy? - zapytał z uśmiechem. - Taka piękna i taka roztargniona.

Flora wróciła do domu z wypiekami na twarzy. Zaraz zadzwoniła do Sabiny.

- Słuchaj. Wszystko jest na najlepszej drodze. W życiu nie spotkałam tak uroczego mężczyzny.

- Dobrze, dobrze. Widzę, że pan mecenas całkiem zawrócił ci w głowie. A ile on ma lat?

- Kto?

- No, ten twój pan mecenas.

- Bo ja wiem... - zająknęła się Flora. - Wygląda bardzo młodo. Ale może nie jest taki młody, skoro jest adwokatem.

- Tak? A na ile wygląda?

- No, na jakieś trzydzieści... trzydzieści pięć.

- A ty ile masz?

- No i co z tego?

- Ano, nic. Tak tylko pytam.

- Jutro cię z nim umówię. Tylko go nie podrywaj,

- Mam inne sprawy na głowie.

- To chwała Bogu. Ale mówię ci - takiemu mężczyźnie nie można się oprzeć.

- Widzę.

- Co widzisz?

- Że się nie oparłaś.

- Ech, z tobą nie można poważnie porozmawiać. Zobaczysz go, to zrozumiesz.

Sabina się roześmiała.

- Nie musisz mi tłumaczyć. Znam to. Mnie się to też zdarzyło.
- No, widzisz - ucieszyła się Flora.
- Nie chciałabym tylko, żebyś się znów sparzyła.
- A nawet jak się sparzę, to co? Z takim mężczyzną warto. Gdybyś wiedziała, jak on na mnie patrzy!
- No, dobrze. Ale co mówił w mojej sprawie?
- Że musi jeszcze coś sprawdzić. Jutro mi powie.
- No, dobrze. To do jutra.

Następny dzień przyniósł złe wieści. Okazało się, że sąd, zaniepokojony przedłużającym się pobytem Fuksji za granicą, zażądał jednak jej powrotu do kraju. Wezwanie do Sabiny nie dotarło. Zostało wysłane na adres Kevina, ktoś pokwitował odbiór, ale Sabina była wtedy daleko poza Nowym Jorkiem i zawiadomienia nie otrzymała. Zresztą, była już wtedy po rozwodzie z Kevinem.

Wyglądało na to, że jednak czekają więzienie. Chyba że przystojny pan adwokat coś wymyśli, żeby ją od tego uchronić.

Sabina zajrzała do pokoju dzieci. Robert siedział przy komputerze i grał w jakąś grę. Podniosła materac na łóżku Fuksji. Pamiętnika nie było. No, tak. Pewnie przyjechała głównie po pamiętnik. Bała się, że go znajdzie i przeczytam. Tylko że trochę za późno o tym pomyślała.

Sabina poczuła się strasznie samotna. Fuksja się wyprowadziła. Maks ostatnio ciągle gdzieś znikał, a nawet jeśli był, to w ogóle nie dało się z nim rozmawiać. Flora się zakochała. Nawet kota nie było. Tylko Robert jej został. Podeszła do chłopca i przytuliła go. Zachnął się.

- Mamo, nie przeszkadzaj! Popsułaś mi całą akcję.

Odsunęła się i wyszła z pokoju.

Do niedawna mieszkanie było za ciasne, a teraz nagle wydało się jej strasznie wielkie i puste. Czy warto wobec tego je zamieniać? Jak pójdzie do więzienia, to będzie jeszcze więcej miejsca. Flora opiekuje się Fuksją, a Maks z Robertem będą mieli wystarczająco dużo przestrzeni. Każdy po jednym pokoju i do tego living-room. A potem Roberta pewnie zabierze ojciec do Stanów, a w mieszkaniu zostanie tylko Maks. Który sprowadzi sobie jakąś panienkę i hulaj dusza. A ja będę się starzeć w więzieniu. A jak wreszcie wyjdę, to nikt nie będzie mnie chciał znać, bo kto chciałby zadawać się z kryminalistką? I może nawet nikt mnie nie pozna? Posiwieję, zęby mi wypadną, bo tam przecież nie ma żadnej opieki dentystycznej.

Pracy nie znajdę, więc zacznę kraść i znowu mnie aresztują. I tak aż do śmierci, która oby przyszła jak najszybciej.

Te ponure myśli przerwał telefon od Fuksji.

- No i co z tą przeprowadzką?

- Z jaką przeprowadzką? - zapytała bezmyślnie.

- No, waszą. Siedzę tu sama, a wy nie możecie się zdecydować.

- To wracaj do nas.

- Jak wrócę, to nigdy się nie przeprowadzicie. Jest Maks?

- Nie ma.

- Szkoda.

- Bo co?

- Bo może on by podjął decyzję.

- Maks? Żartujesz! Czy on kiedykolwiek podjął jakąś decyzję?

- Podjął.

- Jaką?

- Nieważne. Bardzo was proszę, przeprowadźcie się szybko. Tutaj jest tak fajnie.

- Naprawdę chcesz, żebyśmy się przeprowadzili?

- No, pewnie.

- Dobrze, dziecko. Podtrzymałaś mnie na duchu. Be już sama nie wiem, co robić. Bardzo mi ciebie brakuje.

- A Robert? Przecież masz Roberta.

- Robert, to Robert. To jest facet. Nie pogadam- z nim tak jak z tobą.

- No, to przyjeżdżajcie.

- Pa.

- Pa.

Sabina wróciła z pracy potwornie zmęczona. Często wracała zmęczona i coraz bardziej zniechęcona. Zarobki nie rekompensowały wysiłku i poświęcenia, jakie wkładała w opiekę nad chorymi. To już nie chodziło zresztą tylko o rekompensatę. Każdy chciałby, żeby jego praca była doceniana.

A czy można mówić o docenieniu, kiedy pensja nie wystarcza nawet na przeżycie od wypłaty do wypłaty?

Sabina była i tak w dobrej sytuacji. Alimenty w dolarach na Roberta i spora sumka na koncie wpłacona przez byłego męża w ramach odszkodowania za rozwód dawały gwarancję, że z głodu nie umrze. Ale co miały zrobić jej koleżanki, często samotnie wychowujące dzieci i niemające żadnych dodatkowych dochodów? Sabina ciężko westchnęła. Pielęgniarstwo to niewdzięczny zawód. Niewdzięczny? Przecież lubiła swoje zajęcie. Cieszyła się, kiedy ktoś chory i cierpiący uśmiechał się do niej i dziękował, choćby za poprawienie poduszki. Czy lepsze byłoby wypisywanie kwitów na pocztę? Picie herbatki i plotkowanie z koleżankami gdzieś w zamkniętym pokoju jakiegoś administracyjnego urzędu? Nie. Na pewno nie. Tu miała kontakt z ludźmi, co dzień działo się coś nowego i

miało się poczucie, że jest się potrzebnym. Nie, nie zamieniłaby swojego zawodu na żaden inny. Tylko dlaczego coraz częściej ogarnia ją zwątpienie?

Zadzwoił telefon.

Sabina podniosła się ciężko z fotela i rozejrzała za słuchawką. Znalazła ją na podłodze. Pewnie Maks ostatnio gdzieś telefonował i rzucił gdzie popadło. A może Robert. Wszystko jedno. Obydwaj tacy sami. Bałaganiarze.

- Halo - odezwała się.

Pani po drugiej stronie upewniła się najpierw, z kim rozmawia, a potem przedstawiła się. Sabina nie dosłyszała.

- Przepraszam, nie zrozumiałam, z kim mówię - powiedziała.

- Z prokuraturą - powiedziała pani, a Sabinie zabrakło tchu.

Pewnie chcą ją poinformować, że jutro zostanie aresztowana i że ma sobie przyszykować szczoteczkę do zębów i pastę, bo tego chyba w więzieniu nie dają.

- Słucham - powiedziała słabym głosem.

- Chciałam zawiadomić, że ma się pani zgłosić do prokuratury na rozmowę jutro o czwartej po południu.

Sabina wzięła głęboki oddech.

- Dlaczego? - spytała bez sensu.

- Ponieważ pani prokurator chce z panią porozmawiać. Proszę zapisać sobie nazwisko.

Sabina zapisała i usiadła.

Serce waliło jej jak młotem.

Powinnam mieć adwokata, myślała. W Ameryce nikt bez adwokata z prokuratorem nie rozmawia. Ogarnęła ją złość na Floreę. Całkiem zaważyła sprawę. Zamiast zadbać o to co najważniejsze i załatwić jej obronę, uległa urokowi jakiegoś komplementarza, któremu w ogóle się nie spieszyło. Nic dziwnego. Za każdą wizytę liczył sobie z osobna. Pogadał, pogadał, a Flora płaciła. Nie z własnej kieszeni zresztą. Muszę jakoś ją zdopingować. Tu się ważą moje losy, a ona sobie

romansuje. Gdyby się nie podjęła i nie powiedziała, że znajdzie mi adwokata, to sama bym sobie znalazła jakiegoś prawnika. Ale się podjęła. A ja jej uwierzyłam, myślała Sabina i coraz bardziej była wściekła na Florę. A jeszcze przecież trzeba się odwołać od wyroku sądu rodzinnego, żeby Fuksja nie została zabrana do domu dziecka. Tyle spraw i żadnej fachowej pomocy.

Tymczasem Flora podążała w kierunku kancelarii adwokackiej. Tym razem trochę zainwestowała w swój wygląd. Kupiła na ulicznym straganie indyjską, kolorową sukienkę i koraliki ze sztucznych turkusów, poszła do manikiurzystki i pedikiurzystki, i umalowała usta. Dość krzywo zresztą z powodu braku doświadczenia i wprawy. Założyła złocone sandaalki i słomkowy kapelusz, i tak wystrojona pobiegła na rozmowę z przystojnym adwokatem, podekscytowana, jakby szła na pierwszą randkę w życiu.

Weszła na korytarz i spojrzała na zegarek. Przyszła trochę za wcześnie.

Drzwi od kancelarii były uchylone. Podeszła bliżej. Z pokoju pana mecenasa słychać było rozmowę.

- Ależ, droga pani, niech sobie pani tym nie zaprzęta ślicznej główki. To już jest moja sprawa. Ja jestem od tego, żeby się martwić, a nie pani. Proszę nie patrzeć tak smutno. Cóż za rzesy! Czy one naprawdę nie są sztuczne? Przepraszam za wątpliwości, ale w życiu nie widziałem tak długich rzes. No, proszę się uśmiechnąć. I do jutra. Wszystko będzie dobrze. Zapewniam panią. I co za figura! Jakie sporty pani uprawia? Tenis? Pływanie? Nie? To widocznie ma pani znakomite geny.

Flora dalej nie słuchała. Pospiesznie przebiegła w swoich złotych sandaalkach do wyjścia.

W domu zdjęła indyjską sukienkę i turkusowe korale i wrzuciła na najwyższą półkę w szafie. Włożyła dzinsy i starą podkoszulkę i poszła plewić ogródek.

Koło schodów posadziła na wiosnę nasturcje. Teraz kwitły pomarańczowo, ale chwasty zaczynały je zagłuszać.

Najwyższa pora, żeby zrobić z nimi porządek.

Po godzinie przypomniała sobie, że powinna jakoś usprawiedliwić swoją nieobecność u pana mecenasa. Jej zranione serce to jedna sprawa, a obrona Sabiny to druga.

Wykręciła numer kancelarii i poprosiła do telefonu swego niedawnego - jak jej się wydawało - adoratora.

- I cóż się stało, że droga pani nie odwiedziła mnie dzisiaj? Czekałem, czekałem i nie doczekałem się.

- Nie mogłam. Chcę umówić z panem moją przyjaciółkę. To w końcu jest jej sprawa, a nie moja.

- Tak, oczywiście. Ale proszę mi wierzyć - sprawiła mi pani duży zawód. Liczyłem na spotkanie z panią.

- Trudno. Więc kiedy mógłby pan zająć się sprawą mojej przyjaciółki?

- Ależ ja już się zajmuję! Cały czas.

- Więc kiedy mógłby pan się z nią spotkać?

- W każdej chwili. Czy jest tak ładna jak pani? Flora pominęła milczeniem pytanie.

- Więc może jutro o czwartej po południu. Odpowiada panu?

- Każde pani życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Dobrze. Więc jutro. Mam nadzieję, że będzie pan miał konkretne propozycje.

- Oczywiście. Dla pani zrobię wszystko, co tylko możliwe.

Flora pożegnała chłodno pana mecenasa i zadzwoniła do Sabiny.

- Umówiłam cię na jutro z panem mecenasem. Na czwartą - obwieściła z satysfakcją.

Ale Sabina zamiast się ucieszyć, poinformowała Florę wzburzonym głosem, że nie może się z nim spotkać, bo na tę właśnie godzinę ma wezwanie do prokuratury.

- Gdybyś z nim nie romansowała, tylko od razu mnie umówiła, to może miałabym jakąś szansę, żeby się wybronić. A tak to wszystko przepadło.

- Przepraszam cię. Naprawdę bardzo cię przepraszam. Ale to nie był żaden romans, wierz mi. Do niczego przecież nie doszło i w ogóle... Przecież nawet raz się z nim prywatnie nie spotkałam! Tylko cały czas służbowo. I dobrze się stało, bo to zwykły... zwykły... no, jakby to powiedzieć...? Bawidamek. Tak mówiła moja babcia o takich cwaniaczkach. Taki, co to wszystkim kobietom mówi to samo.

- Ostrzegałam cię. Ale nie chciałaś słuchać.

- Nie to, że nie chciałam. Ale myślałam... Może zadzwonię do niego, żeby cię dzisiaj przyjął? Albo jutro rano. - Flora usiłowała naprawić swój błąd.

- Daj spokój. Co będzie, to będzie. Ja już się przyzwyczyłam do myśli, że pójdę do więzienia.

- Ależ nie możesz tak mówić! Nie wolno ci wpadać w taki nastrój! Bo to już tylko krok do depresji. Ty sobie nie wyobrażasz, jakie straszne skutki wywołuje depresja. Jakie robi spustoszenia w psychice! Czytałam o tym cały artykuł. Może prowadzić nawet do samobójstwa! A nie chcesz chyba osierocić dzieci?

- Flora, mało mnie interesują artykuły na temat depresji. Bardziej mnie interesuje, czy w więzieniu będę mogła mieć, na przykład, własną piżamę.

- No, coś ty! Przecież to nie sanatorium! Dadzą ci jakiś łach po zmarłej syfilitycznej prostytutce. Uprany, oczywiście, uprany. Z grubego cajgu, czy jak to się tam nazywa. W każdym razie z najgorszego i najtańszego materiału i będziesz musiała w tym worze spać. Wyobrażasz sobie, jak to odparza skórę? Poza tym, od tego siedzenia z samymi babami, to tym więźniarkom odbija seksualnie i jak przyjdzie nowa, to używają jej do różnych takich rzeczy, o których ci nawet nie będę mówić. Czytałam o tym. Mówię ci - przerażające! Uważam, że nie wolno ci myśleć o więzieniu. Musisz się bronić. Za wszelką cenę. To co? Zadzwonić do pana mecenasa?

- Dzwon.

Ale pan mecenas był nieuchwytny. Ani telefon służbowy, ani komórka nie odpowiadały. W końcu Flora musiała się poddać.

- Nie ma go - powiedziała zdesperowana do Sabiny. - Dzwonię do niego cały czas, ale nie odbiera telefonów.

- Daj spokój. Mnie już wszystko jedno. Widocznie los tak chciał.

Flora nie odpowiedziała.

Gmach prokuratury samym wyglądem mógł przyprawić o depresję. Grube mury, zakratowane okna, ciemne korytarze.

Sabina była tu już, co prawda, drugi raz, ale to nie znaczy, że oswoiła się z tą ponurą scenerią. Dalej czuła przytłaczający lęk i onieśmienie. Zgłosiła się do dyżurnego i powołała na telefon. Zadzwoił gdzieś i powiedział:

- Prosto korytarzem i w prawo. Pokój 123.

Sabina szła z bijącym sercem, nie wiedząc, co ją czeka i czy jeszcze wyjdzie stąd na wolność. Co prawda tamten młody i pewny siebie prokurator mówił, że o tym decyduje sąd, ale może sąd już zadecydował? Kto to może wiedzieć? Na wszelki wypadek wzięła ze sobą pastę i szczoteczkę do zębów i wrzuciła do torbki zapasowe majtki i paczkę podpasek. Niewiele, ale zawsze coś. Chociaż kto wie, może i tego nie pozwolą jej ze sobą zabrać do więzienia? Przygnębiona stanęła przed drzwiami z numerem 123.

Zapukała i weszła.

Za biurkiem siedziała sympatyczna pani, wcale niewyglądająca na groźnego prokuratora. Może to jakaś pomyłka, może źle trafiła? Już miała się cofnąć, ale sympatyczna pani powiedziała:

- Proszę, niech pani wejdzie. Proszę usiąść. Chciałam z panią porozmawiać, ponieważ była tu pani córka.

- Fuksja? - zdumiała się Sabina.

- Jaka Fuksja? - tym razem zdumiała się pani prokurator.

- No, Ada - poprawiła się Sabina.

- A co to za imię? Ta Fuksja?

- Tak ją nazywamy w domu.

- Aha.

Pani prokurator patrzyła na Sabinę w zamyśleniu.

- Co my mamy z panią zrobić? - odezwała się po chwili. Sabina uznała to pytanie za retoryczne i milczała.

- Proszę pani - powiedziała w końcu pani prokurator - nikt nie chce zrobić krzywdy ani pani, ani dziecku. Ale przyzna pani, że nadużyła pani zaufania sądu.

- Ja przecież nic złego nie zrobiłam. Czy jest coś złego w tym, że stworzyłam dziecku dom? Czy wszystko musi być za zgodą sądów i prokuratury, czy o wszystko trzeba się pytać? Przecież życie wplątuje człowieka czasem w takie sytuacje, których prawo nie przewidziało. Czy ja jestem temu winna, że wezwanie do mnie nie dotarło? Mieszkałam w różnych miejscach w Ameryce, a wtedy kiedy sąd się odezwał, byłam już po rozwodzie. Nie wiem, kto pokwitował odbiór tego pisma. Może sprzątaczką w domu mojego byłego męża? Czy w tej sprawie też przeprowadzicie śledztwo? Bo na pokwitowaniu na pewno nie ma mojego podpisu.

Pani prokurator patrzyła na Sabinę i nic nie mówiła.

- A skąd się tu wzięła Fuksja? To znaczy Ada? - zapytała po chwili Sabina. - Czy ją też wezwaliście na przesłuchanie?

- Nie. Nikt jej nie wzywał. Sama przyszła. Po prostu przyszła. Żeby pani bronić. Bardzo rezolutne dziecko. Nie wiedziała pani o tym?

- Nie. Nie wiedziałam. - powiedziała Sabina i w tym momencie przypomniała sobie o zaginięciu wezwania do prokuratury. A więc stąd miała adres.

- A teraz porozmawiajmy sobie szczerze. Jak kobieta z kobietą. Jeśli mam umorzyć postępowanie, to muszę być do tego przekonana w stu procentach. A na razie nie jestem.

- Ale o czym mam mówić?

- O wszystkim. Od początku.

Pani prokurator wyglądała na osobę rozsądną i życzliwą. Rzadkość w tym fachu, pomyślała Sabina. Stopniowo pozbyła się uprzedzeń i zaczęła opowiadać.

Cóż z tego? Kiedy skończyła, pani prokurator powiedziała:

- No i widzi pani. Liczyłam na szczerą rozmowę, a pani jednak nie jest szczerą.

- Jak to? - zdziwiła się Sabina. Przecież w życiu nie była tak szczerą.

- Pani córka mówiła mi całkiem co innego.

- Proszę?

- No, rozmija się pani z prawdą. Dziecko nie kłamie, bo nie ma powodów. Ale pani - owszem. Pani wersja różni się w sposób zasadniczy od tego, co mówiła pani córka.

- W czym się różni?

- Nie powiedziała mi pani na przykład, że była aresztowana.

- Ja? Aresztowana?! Kiedy??

- W Stanach Zjednoczonych.

- Boże drogi, co ona pani naopowiadała? Przecież ja nie siedziałam w więzieniu! Za co?!

- Za posiadanie narkotyków. I dlatego nie mogła pani - aż do wyjaśnienia tej sprawy - przyjechać do Polski. Podobno sąsiad panią oskarżył z zemsty za to, że państwa kot kopał doły w jego ogródku i niszczył mu zasiewy. Czy to prawda?

- Skądże! Co za nonsens! Sabina była załamana.

Życzliwość pani prokurator gdzieś się ulotniła i patrzyła teraz całkiem po prokuratorSKU, tak samo jak jej poprzednik, który wcześniej przesłuchiwał Sabinę.

- Wiem, że ostatecznie została pani oczyszczona z zarzutów, ale niemniej... sądziłam, że opowie mi pani o tym incydencie.

- Nie było żadnego incydentu! Fuksja chce mnie obronić za wszelką cenę, więc wymyśliła tę historię z więzieniem, ale wybrała najgorszą drogę. To nieprawda. Zresztą, proszę bardzo, zwróćcie się do amerykańskiej policji. Nigdy nie byłam karana ani nawet podejrzana. Dostaniecie papiery i wszystko będzie jasne.

- Więc mówi pani, że ona to wymyśliła?

- Jasne! Ona nie takie rzeczy potrafi wymyślać.

- Ale w jakim celu?

- Bo ona taka jest. Po prostu.

- No, dobrze. Wyjaśnimy to.

- Tylko, że to przedłuży sprawę - powiedziała zgnębiona Sabina. - Ale dlaczego ona wymyśliła więzienie? Przecież równie dobrze mogła powiedzieć coś innego. Że na przykład byliśmy w tym czasie w Brazylii na wycieczce albo na lodowcu w Peru. Skąd jej przyszło do głowy więzienie?

- Widzę, że pani też ma niezłą fantazję.

- Dobrze, że nie powiedziała, że siedziałam w więzieniu w Quito w Ekwadorze za przemyt heroiny.

- Stamtąd raczej by pani nie wyszła.

- A czy pani wie, pani prokurator, że Fuksja - to znaczy Ada - uciekła z domu, kiedy dowiedziała się, że ma wrócić do domu dziecka?

- Nie. Nic o tym nie wiedziałam.

- Nie mówiła pani?

- Nie.

- Proszę zobaczyć.

Sabina wyjęła z torebki kartkę napisaną przez Fuksję. Pani prokurator przeczytała kartkę i popatrzyła na Sabinę

- Rzeczywiście uciekła?

- Tak. Ale wróciła.

- Całe szczęście. Zawiadomiliście policję?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo to by jeszcze pogorszyło sprawę. Zawiedlibyśmy ją. Ona nam ufa. Nie mogliśmy dopuścić, żeby szukała jej policja. Sami jej szukaliśmy.

- Gdzie była?

- Dokładnie nie wiemy. Ale znalazła się u naszej znajomej, która kiedyś była jej rodziną zastępczą.

- Trochę to skomplikowane.

- Ona jest w strasznym stresie.

- Nie odniosłam takiego wrażenia. Wydała mi się osobką dość pewną siebie, która wie, czego chce.

- Możliwe. Ale wie też, czego nie chce. A nie chce iść do domu dziecka. To byłby dla niej szok, po tylu latach życia w rodzinie.

Pani prokurator znów patrzyła z życzliwością i Sabina odzyskała cień nadziei, że może jeszcze nie wszystko stracone.

Wróciła do domu i zastanawiała się, co robić.

Korciło ją, żeby znowu zajrzeć do pamiętnika Fuksji, ale nie było okazji. Dziewczynka zabrała swój dzienniczek do domu Flory i trzymała w swoim pokoju. Sabina nie wiedziała, jak z nią rozmawiać. Tyle rzeczy było do wyjaśnienia i omówienia, a Fuksja otoczyła się murem. Niby rozmawiała, śmiała się i kłóciła z Robertem jak dawniej, ale wszystko to było jakieś sztuczne i inne niż do tej pory. Może pamiętnik pomógłby dotrzeć do jej psychiki? Ostatnio bardzo się zmieniła.

Z pewnej siebie i dość ekspansywnej, a nawet napastliwej osobki stała się dzieckiem zamkniętym w sobie, spokojniejszym i trochę wyobcowanym. Wobec Sabiny i Maksa zachowywała jakąś dziwną rezerwę, jakby się ich krępowała czy bała. Trudno to było zrozumieć. Przeżyła szok, to fakt. Ale to tym bardziej po-

winno ją zbliżyć do rodziny. Sabina szukała sposobów porozumienia, ale Fuksja wymykała się wszelkim próbom rozmowy na poważniejsze tematy. Pozostawały sprawy mało ważne, takie jak rozmowy o kocie czy spory z Robertem. Zagubiła się gdzieś więź między nimi. Dawniej Fuksja, nawet po ostrej reprimendzie, potrafiła Sabinie wgramolić się na kolana, albo przytulić i opowiadać o jakimś błahym wydarzeniu, które dla niej miało jednak znaczenie, prowokując zazdrość Roberta. Ale Sabina wiedziała, że to jest element rywalizacji o jej miłość. Teraz Fuksja ustępowała pola Robertowi, pozwalając mu zawłaszczać uczucia Sabiny, tak jakby zrezygnowała ze swego miejsca w rodzinie. Sabina martwiła się, że dziewczynka odsuwa się od nich coraz bardziej, nie budując jednocześnie żadnych więzi z Florą. Wyizolowała się całkowicie i zamknęła w sobie. Muszę zajrzeć do jej pamiętnika, myślała Sabina. Może znajdę w nim jakiś klucz, który pozwoli mi odzyskać córkę.

I trzeba przyspieszyć sprawę przeprowadzki.

Kiedy będziemy razem, to może wtedy znowu wszystko wróci na swoje miejsce.

Ale przeprowadzka odsuwała się w czasie.

Bez wyremontowania domu nie było mowy o przewiezieniu mebli i urządzeniu się na nowym miejscu.

Sprawą remontu Sabina obarczyła Maksa. Niech się wreszcie czymś zajmie, bo ostatnio nie ma z niego żadnego pożytku. Maks potulnie się zgodził i zaczął od wertowania ogłoszeń. Ale żadna z firm, do których dzwonił, nie miała wolnych terminów. Sezon remontowy był w pełni i trudno było znaleźć fachowców od zaraz.

W końcu znalazł w książce telefonicznej ogłoszenie firmy wykonującej roboty budowlane „tanio, solidnie i szybko”. Ogłoszenie wzbudzało zaufanie. Zadzwoił i okazało się, że firma może się podjąć remontu.

Ucieszył się. Nareszcie będzie można zrobić remont, póki dopisuje pogoda.

Sprawy formalne związane z kupnem domu zostały dogadane. W ramach rozliczenia Flora zdecydowała się na przyjęcie mieszkania Sabiny, zamiast pie-

niędzy. Woląa mieć własny kąt na wszelki wypadek, gdyby wersja wspólnego zamieszkania się nie sprawdziła.

Ale tak czy inaczej trzeba będzie powiększyć łazienkę i poszerzyć przylegający do niej pokój, który był wąską i zupełnie nieustawną kiszka. Jeżeli nawet Flora w nim nie zamieszka, to i tak dodatkowy pokój się przyda. No i trzeba pomalować ściany.

Maks zadzwonił do firmy, żeby umówić się z jej szefem na spotkanie i sporządzić wstępny kosztorys. Szef wypytał o zakres prac i powiedział, że jest w stanie w ciągu tygodnia uporać się z robotą. Cena orientacyjna wydała się Maksowi przystępna.

- Ale biorę dziesięć procent zaliczki - zastrzegł szef firmy.
- Oczywiście - zgodził się Maks. - To kiedy możecie zacząć?
- We wtorek - powiedział szef - jesteśmy z samego rana.
- To znaczy o której?
- No, tak gdzieś około jedenastej.

Ekipa remontowa pojawiła się w sile trzech zróżnicowanych pod każdym względem osobników. Najstarszy rangą, szef całej tej trzyosobowej firmy, był wysoki i chudy ponad wszelkie wyobrażenie. Aż dziw brał, że przy poruszaniu się nie chroboczą mu kości i nie obijają się o siebie. On tymczasem przemieszczał się nad wyraz elastycznie i prawie bezszelestnie. Może sprawiały to jego buty, jakieś takie nigdzie niespotykane cichochochy, wzmocnione jedynie kawałkiem skóry na noskach. Nosił klasyczny berecik z antenką, trochę pochłapany farbą i luźną granatową bluzę. Dwaj jego podwładni, którzy mówili na niego „majster”, byli niżsi i grubszy, a jeden z nich z twarzą rumianą i okrągłą jak talerz, był uosobieniem dobrego humoru i optymizmu. Ciągłe się uśmiechał, w przeciwieństwie do szarego i wyblakłego drugiego pomocnika.

Wnieśli dwie składane drabiny, wiadro i kilka puszek farby.

- Mazurski Marian - przedstawił się majster.

- Bardzo mi miło - powiedziała Flora.

Mazurski Marian chwycił Florę za rękę i podniósł do ust, prawie wyszarpując ją ze stawu. Ucałował szarmancko, a potem uściskał po męsku i potrząsnął. Flora jęknęła. Nie dość, że wyrwał jej rękę z barku, to na dodatek uścisk miał silny i kościsty.

- Więc co my tu będziemy robi? – zainteresował się Majster.

- Remont - powiedziała Flora. - Myślałam, że wszystko już omówione.

- No, niby tak.

- Więc tu na dole ścianki wewnętrzne trzeba wyburzyć i przesunąć. Musimy tu wygospodarować większy pokój. Dla mnie. Sprzedaję ten dom, ale być może nadal będę tu mieszkać. Przynajmniej na razie. I w łazience, też na dole, trzeba zamontować prysznic. Wszystko mam tu rozrysowane, cały plan. Proszę.

- To pani nie jest właścicielką? Myślałem, że pani to jest żona tego pana, co się ze mną umawiał.

- Nie, nie jestem żoną. Ani właścicielką. To znaczy jeszcze jestem, ale już niedługo.

- A kiedy będzie pan?

- Lada chwila powinien być.

- Poczekamy - flegmatycznie stwierdził Mazurski Marian i usiadł na schodach przed domem.

Obok niego rozsiedli się pomocnicy. Wyjęli kanapki i spojrzeli pytająco na majstra.

- Jakieś piwko by się przydało - rzucił w przestworza Mazurski Marian.

Flora nie zareagowała.

- Nie ma pani jakiegoś piwka w lodówce? - spersonalizował pytanie.

- Nie mam.

- Poczekamy.

- Mogę dać wodę. Albo sok.

- Poczekamy.

- Albo zrobię wam herbatę.

Wszyscy trzej popatrzyli na siebie i schowali kanapki z powrotem do torby.

- Poczekamy. Nie pali się.

Rozłożyli się na schodach twarzami do słońca.

- Długo tak będziem czekać? - zapytał ten smutniejszy.

- A co? Żle ci? - zapytał majster. - Jeszcze trochę poczekamy, a jak nie to idziemy.

- Gdzie panowie chcecie iść? Może byście zaczęli coś robić? Może byście chociaż obejrżeli dom?

- A co tu oglądać? Robota jak robota. Wszędzie taka sama - powiedział Mazurski Marian i zsunął beret na twarz, osłaniając się od słońca.

Ten wesoły rozpiął bluzę, ukazując głęboko wyciętą i nie pierwszej czystości podkoszulkę i tatuaż na piersi. Tak zastał ich Maks.

- A co to za sjesta? - zapytał. - Już po robocie?

- Czekalim na pana - powiedział Mazurski Marian i zerwał się na równe nogi, a razem z nim jego pomocnicy.

- A dlaczego czekaliście? Nikogo nie było w domu?

- Była jakaś pani. Poprzednia właścicielka - lekceważącym tonem powiedział majster.

- No, to trzeba było wziąć się do roboty

Majster cmoknął.

- Po pierwsze, to nie było zaliczki.

Maks sięgnął po portfel. Majster przeliczył i schował pieniądze do kieszy

- No, teraz to co innego - powiedział.

- Pokażę wam, co macie robić. Flora, dlaczego nie dałaś panom planu przebudowy?

- Nie chcieli.

- Jak to nie chcieli?

- No, nie chcieli. Woleli sobie poleżeć na słońcu.

Maks z trudem hamował wściekłość. Nie zaczynało się za dobrze. Ale może później będzie lepiej.

Pokazał ekipie łazienkę i zadysponował:

- Najpierw trzeba wyburzyć ściankę.

Mazurski Marian spojrział na zegarek.

- Dziś to już nie ma co zaczynać takiej dużej roboty. Za godzinę będzie fajrant - oznajmił. - Przyjdziem jutro z samego rana i weźniem się za burzenie.

Ale następnego dnia ekipa się nie pokazała.

Dwie drabiny, wiadro i puszki z farbą świadczyły, że kiedyś zapewne wróca, ale jakoś im się nie spieszyło, bo kolejny dzień minął, a po Mazurskim Marianie i jego pracownikach nie było śladu.

Maks zadzwonił.

- Halo - odezwał się zachrypnięty głos.

- Czy pan Mazurski?

- We własnej osobie.

- Proszę pana. Chciałem zapytać, czy pan zamierza robić remont, do którego się pan zobowiązał, czy nie?

- A kto mówi?

Maks się przedstawił.

- Aaa, to pan. No więc właśnie myślałem o panu.

- Panie, ja nie chcę, żeby pan o mnie myślał, bo ja nie jestem panienka do wzięcia, tylko chciałbym, żeby mi pan zrobił remont.
- Oczywiście, że się zrobi.
- Kiedy?
- A kiedy by pan chciał?
- Proszę pana. Kilka dni temu wzięliście zaliczkę. Umawialiśmy się, że zaczniecie we wtorek, a dziś jest piątek. Na środku salonu zostawiliście drabiny i farbę i poszliście sobie.
- A to u pana są te drabiny? Właśnie się zastanawiałem, gdzie myśmy je zostawili.
- Do jasnej cholery! Czyja dobrze słyszę? Nawet pan nie wie, że zostawiliście u mnie sprzęt?
- Jaki sprzęt? Jaki sprzęt? Drabiny to nie żaden sprzęt! No, nie pamiętałem, gdzieśmy je zostawili. Gdyż mamy
- jeszcze inne roboty. Nie tylko u pana. I cóż się stało? Przyjędziem i zabierzem. Nie ma się co denerwować.
- Panie, mnie nie chodzi o drabiny, tylko o remont!
- Przecież mówię, że się zrobi.
- Kiedy?
- A co pan taki niecierpliwy? Co nagle, to po diable.
- Kiedy?
- A może być po niedzieli?
- To znaczy kiedy?
- No, już niech będzie w poniedziałek. Albo lepiej we wtorek. Z samego rana. Dzisiaj będziem kończyć robotę, co ją mamy rozpoczęta, przez sobotę i niedzielę odpoczniemy i we wtorek meldujemy się u pana.
- A dlaczego nie w poniedziałek?

- Widzisz pan. W tamtej drugiej robocie, co ją kończymy, mogą być jeszcze jakieś niedoróbki, albo coś. Klient jest grymaśny. Zupełnie jak pan. Możemy się nie wyrobić ze wszystkim. Trzeba mieć luz.

- Trzymam pana za słowo.

Maks dałby sobie głowę uciąć, że po odłożeniu słuchawki majster mruknął:

„A trzymaj se pan, trzymaj”.

Ale we wtorek, ku zaskoczeniu wszystkich, ekipa remontowa stawiała się w komplecie i wzięła się za wyburzanie ścianki. Majster walnął kilka razy młotem w ściankę i zrezygnował.

- Panie, tu trza inaczej.

- A jak?

- Pomyślimy. Masz pan piwko?

- Nie mam.

- - Przydałoby się. Chłopaki lepiej by pracowali. Maks uznał, że w końcu po jednym piwie może im zafundować. Jak ma im potem robota lepiej iść, to dlaczego nie. Wyszedł do sklepu. Kupił sześciopak na wszelki wypadek. Będzie na jutro.

- Tylko po dwa? - zdziwił się majster.

- Po jednym.

- Co po jednym?

- Po jednym piwie.

- No, nie żartuj pan - roześmiał się Mazurski Marian i rozdzielił piwo po dwie puszki na głowę.

Ekipa usiadła na schodach i wypić niespiesznie najpierw jedno piwo, a potem drugie, rozmawiając o uciążliwościach zawodu budowlańca, bo to i hałas, i kurz, i nie daj Boże pylica się przyplącze, a ile jest wypadków, spadają z ruszto- wań, łamią nogi albo i zabijają się.

W tym minorowym nastroju zastał ich fajrant.

Następnego dnia Maks był umówiony w galerii i na posterunku została Flora.

Ścianka w końcu została wybita, ale Mazurski Marian zarządził przerwę.

- Jest piwo? - zapytał.

- Nie ma.

- Pani pójdzie i kupi - zadysponował.

- Ja?

- A kto? Przecież nie ja - zarechotał majster.

- Nie pójdę.

- Pan wczoraj kupił.

- Kupię, jak wyniesiecie gruz. Nie można chodzić po domu przez ten bałagan. Nie pozwolę, żeby to tak zostało do jutra.

- Pan przyjdzie, to zdecyduje.

- Co znaczy: pan przyjdzie? Teraz ja tu jestem, a nie pan. Popatrzyli na siebie i usiedli na schodach.

- To my poczekamy. I poczekali.

Kiedy Maks wrócił, Flora z wściekłością poinformowała go o perypetiach z fachowcami.

- Dlaczego nie wywieźliście gruzu? - zapytał Maks.

- Nie było rozkazu - zameldował majster.

- Jak to? Przecież pani wam mówiła, co macie zrobić!

- My się kobity nie będziemy słuchać. Baba to baba. Jeszcze tak nie było, żeby kobity rządziły. I w dodatku nie właścicielka.

- Co za męskie, szowinistyczne świnię - skomentowała szeptem Flora.

Ale to nie był koniec problemów.

Najgorsze było to, że po wyburzeniu ścianki fachowcy zabrali drabiny i narzędzia i zniknęli na dobre.

Telefon majstra nie odpowiadał.

Dom był w ruinie i nie nadawał się do zamieszkania.

Wyburzona ścianka uniemożliwiała korzystanie z łazienki i trzeba było z każdą potrzebą biegać po schodach. No, chyba że akurat było się samemu w domu. Kurz zalegał na wszystkich sprzętach i podłodze i nie pomagało sprzątanie. Nie mówiąc o dziwnym zapachu wydobywającym się ze zburzonego muru. Fiksja snuła się po domu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, kot zupełnie zgłupiał i uciekał na dwór, tak że ciągle trzeba go było szukać. Wszystko ulegało destrukcji.

I pomyśleć, że to z powodu jednej zburzonej ścianki. A właściwie jednego człowieka - Mazurskiego Mariana. Który oby szczeźł, życzyła mu Flora.

Maks dzwonił do niego i dzwonił, aż w końcu jego cierpliwość została nagrodzona.

- I cóż się pan tak denerwujesz? - zdziwił się Mazurski Marian. - Wojna jest, czy co? Remont, to remont. Musi potrwać.

- No, to kiedy pan przyjdzie?

- A choćby i jutro.

- I weźmiecie się za robotę?

- No, jak przyjdziem, to się weźniem.

- Dobrze. To do jutra. Mam nadzieję, że pan dotrzyma 'słowa.

- A czy ja kiedy nie dotrzymuję? - obruszył się majster.

- To do zobaczenia.

Następnego dnia Maks wstał wcześniej, żeby przygotować wszystko na przyjście ekipy, kupił nawet piwo, i czekał. Po kilku godzinach w uliczce pojawił się samochód. Z auta wytoczył się Mazurski Marian wraz ze współpracownikami

i Maks stwierdził z przerażeniem, że wszyscy są już co najmniej po kilku piwach. Złapał się za głowę. Boże, jeździ po pijanemu! Co za człowiek.

Panowie budowlancy wnieśli jakieś narzędzia i usiedli w salonie na kanapie i fotelach Flory.

- To tu będziem robić tę łazienkę? - zapytał majster - bo już nie pamiętam.

- Tu.

- Co to ma być? Wanna czy prysznic? Bo teraz to ludzie robią i to, i to.

- Tylko prysznic, bo nie ma miejsca.

- Może być prysznic, czemu nie? To my musimy pojechać po sprzęt.

- Jak to?

- No, przecież trzeba ciąć rury, nie? A obcinaka żeśmy nie wzięli.

- To ja panów odwiozę i przywiozę. Tym bardziej, że pan jest po piwie.

- Panie. Jeżdżę od czterdziestu lat. No, prawie od czterdziestu, w zaokrągleniu. I nikt mnie po piwie nie odwoził. To i teraz sobie poradzę.

- Ale ja nie miałem nic złego na myśli. Wierzę panu. Jednak gdyby pan chciał skorzystać z mojej propozycji...

Majster pokręcił głową.

- Ależ pan jest namolny. Powiedz pan prawdę. Boisz się pan, że nie wrócimy. Wrócimy, bo jak raz nie mamy innej roboty.

Maks spasował.

Tego dnia majster wrócił z obcinakiem, ale już roboty nie zaczął.

A następnego dnia Maks znów był zajęty i w domu musiała zostać Flora.

Ponieważ знаła już nastawienie Mazurskiego Mariana do swojej osoby, zadzwoniła do Sabiny i poprosiła ją o wsparcie. Sabina przyjechała z Robertem, którego odesłała na tyły domu, gdzie natychmiast zaczęła się kłótnia z Fuksją, i przyszła w sukurs Florze.

- Tę umywalkę trzeba zdjąć i zamontujemy nową po drugiej stronie. A tutaj będzie kabina prysznicowa. Sedes też zmienimy, ale to na końcu, bo na razie trzeba będzie jeszcze z niego korzystać. I trzeba ułożyć kafelki. Te wyrzucimy i położymy nowe.

- Pan przyjdzie, to zdecyduje.

- Co to znaczy: pan przyjdzie? Ja tu decyduję a nie „pan”. Mazurski Marian zignorował uwagę Sabiny i przysiadł na najniższym stopniu schodów.

- Weźmiecie się panowie w końcu za robotę czy nie?

- A o której pan przyjdzie?

- Panie, do cholery - zdenerwowała się Sabina - to ja płacę za ten remont i to ja decyduję. Pytam, czy weźmiecie się za robotę?

- Jak pan przyjdzie. Ja tam nie wiem, kto płaci, ale od decyzji to nie są kobiety.

- Mówiłam, że to męskie, szowinistyczne świnię - scenicznym szeptem powiedziała Flora.

- Ooo, to już tego to za dużo. Jeszcze nas tu baby obrażają! Nie dość, że w domu pełno ludzi, co raz to kto inny się wtrąca, jakieś dzieciaki się tu plątają i przeszkadzają, że nie można żadnej roboty zacząć, to jeszcze wyzwiska??!! Chodźta, chłopaki, zwijamy się.

I zwinęli się.

Sabina czuła się winna.

Kiedy już udało się Maksowi ściągnąć do domu fachowców, to ona swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem znów doprowadziła do awantury i fachowcy się wynieśli.

Poszła do pokoju Fuksji. Dziewczynka siedziała zamyślona nad książką, ale jej nie czytała. Sabina usiadła na łóżku.

Przez chwilę panowała cisza. W końcu Sabina powiedziała:

- Chcesz może porozmawiać? Fuksja odwróciła się z irytacją.

- Mówisz jak psychoterapeutka! Nie. Nie chcę porozmawiać. Chcę mieć święty spokój. Myślałam, że tu go będę miała, ale się myliłam.

- To może wróć do nas, a potem, jak już będzie po remoncie, wszyscy razem się przeprowadzimy.

- Zastanowię się.

Sabina jeszcze chwilę posiedziała, a potem zabrała Roberta i wróciła do domu.

Konflikt remontowy załagodził Maks.

Zadzwoił i powiedział, że podziela poglądy pana majstra, ekipa musi mieć odpowiednie warunki do pracy i jednego szefa, a nie kilku, i że tym szefem będzie on, jeśli to ma ułatwić porozumienie i że od jutra dom będzie pusty, żeby nikt ekipie nie przeszkadzał.

Mazurski Marian dał się ubłagać, zwłaszcza że żadnej innej roboty akurat nie miał, wytargował jeszcze codzienną dostawę dwóch piw na głowę i rano stanął się do roboty.

Maks wydał ekipie dyspozycje, dla pewności narysował na kartce, co i jak ma być zrobione, zabrał Fuksję i wyszedł.

A kiedy wrócił po południu, zastał robotę nieruszoną, a całą ekipę śpiącą na podłodze w swobodnych pozach. W całym domu czuć było smród alkoholu, a butelka po wódce świadczyła o tym, że piwo było wzmacniane.

Wściekły obudził pana majstra i kazał mu wypieprzać razem z jego ekipą.

- No, już dobrze, dobrze - mówił Mazurski Marian. - Co tu się denerwować? Żeśmy se trochę podrzemali? Ludzka rzecz, przy takim upale. A klimatyzacji nie ma. Ja bym radził zainstalować. Jakby była, to i robota by inaczej szła. A tak, to sam pan widzisz. Byle kropelka piwa i od razu spać się chce. Ale zaliczki nie zwracam. Takie mam zasady. A poza tym ścianka została wyburzona, czyż nie? To przecież coś się za to należy. Uważam, że jesteśmy kwita.

Maks nie dyskutował. Pomógł im jeszcze wynieść do samochodu narzędzia i z ulgą odetchnął, kiedy odjechali.

- Skąd ty ich wzięłeś? - zapytała Fuksja. - W życiu nie widziałam takich obiboków.

- Dużo jeszcze w życiu nie widziałas.

- Ale właściwie... Właściwie to oni mieli rację. Remontem nie powinna zajmować się ani Flora, ani Sabina, tylko ty. Gdzie ty ciągle chodzisz?

- Mam różne sprawy do załatwienia.

- Jakie sprawy?

- Różne. Nie bądź wścibska.

- Do tej pory nie miałeś.

- Bo nie miałem. A teraz mam.

- I to są takie ważne sprawy, że nie możesz się zająć remontem?

- Tak. To są takie ważne sprawy, że nie mogę zająć się remontem.

- Jakie?

- A co to, przesłuchanie? To nie twój interes. Fuksja popatrzyła spod oka, a Maks się zmieszał; Poczul się nieswojo.

Spotkania z Anetą stwarzały coraz więcej kłopotów. Sabina zrobiła się podejrzliwa.

Maks kombinował i kręcił, ale że obie panie miały pracę zmianową, więc udawało mu się unikać konfliktów i konfrontacji. Po prostu umawiał się wtedy, kiedy Sabina była w pracy, a Aneta akurat nie miała dyżuru. Ale mimo to czuł się zmęczony tą sytuacją.

Niby nic istotnego się nie zdarzyło. Spotykał się z Anetą tylko w kawiarni, czasem szli razem do kina. Czasem pozwalała się cmoknąć w policzek, potrzy-

mać za rękę, przytulić na pożegnanie. I tyle. Nigdy te spotkania nie przekroczyły granic relacji towarzyskich.

Niby nic się nie zdarzyło.

A jednak się zdarzyło.

Maks tęsknił za większą bliskością, za dotykiem. Ale Aneta go zwodziła.

Nie liczył na to, że Aneta się rozwiedzie. Dawno już pozbył się złudzeń. Ale trudno mu było zrezygnować ze spotkań, z tej cudownej atmosfery zakochania. Czuł się tak, jakby cofnął się czas, jakby znów miał dwadzieścia lat. Chwytał ten cudowny dar, ten cud, który los mu dał w prezencie, i wiedział, że nie utrzyma go długo, że wymknie mu się z rąk jak motyl, którego nie można zamknąć w dłoniach i któremu w końcu trzeba pozwolić odlecieć. I to właśnie było najgorsze, że nic nie można było zrobić. Ale nie potrafił zerwać z nią i zrezygnować z tego, co przeżywał. Wiedział, że to ostatnia miłość jego życia, że więcej takich prezentów od losu nie dostanie i chciał ją przeżyć do końca.

Kiedyś Aneta powiedziała: „Im wcześniej się rozstaniemy, tym lepiej. Tym mniej będzie bolało”.

Ale wiedział, że będzie bolało. Tak samo jak wtedy, kiedy rozstali się po raz pierwszy.

Zbliżający się okres urlopowy nie sprzyjał widocznie pracy sądu i prokuratury, bo sprawa Fuksji uległa jakiemuś dziwnemu zawieszeniu.

Nic się nie działo.

Sabina mogła już tylko czekać.

Za radą Flory odwiedziła uroczego pana mecenasa, nasłuchiwała się komplementów i miłych słówek i była już o krok od rezygnacji z jego usług, kiedy nagle, ku zdumieniu Sabiny, zaczął mówić konkretnie i rzeczowo. Bardzo rzetelnie naświetlił Sabinie wszystkie aspekty sprawy, poprosił o pełnomocnictwo i powiedział, co ma zamiar zrobić w najbliższym czasie.

Po kilku dniach Sabina dostała kopię pisma procesowego i na odręcznej kartce informację, że w prokuraturze sprawa jest na dobrej drodze.

Oddechnęła.

Miała wrażenie, że ktoś zdjął jej ciężar z serca i że wreszcie może spać spokojnie, bo sprawą zajął się ktoś, komu może zaufać.

A ostatnio z tym zaufaniem nie było dobrze. Zwłaszcza jeśli chodzi o zaufanie do Maksa. Sabina była coraz bardziej zaniepokojona jego zachowaniem. Kto wie, czy Flora nie ma racji i czy on nie ma czegoś na sumieniu. Unika jej wzroku, śpi w salonie, ucieka od rozmów. I ciągle gdzieś wychodzi. A udaje, że nic się nie dzieje. Ale ile razy Sabina dzwoni na domowy telefon, to nigdy go nie ma w domu. Teraz, kiedy jest jej najbardziej potrzebny, zaczął się od niej oddalać i nie mogła na niego liczyć. Potrzebowała wsparcia w sprawach sądowych, przy kupnie i remoncie domu, a wyglądało na to, że wszystkie kłopoty spadną na nią. Sabina zastanowiła się, czy przypadkiem nie jest o niego zazdrosna. O Maksa? Nonsens. Po prostu nie lubi niczego tracić bez własnej decyzji. Nawet starego fotela czy znoszonych kapci nikt mi nie będzie zabierał bez mojej zgody. A co dopiero faceta, myślała.

Któregoś dnia zamieniła się więc z koleżanką na dyżur i wyszła z domu, udając, że idzie do pracy. Będę go śledzić, pomyślała, jak w kiepskim romansidzie. A jeśli wyśledzę, to co? Co zrobię? Brakło jej wyobraźni. Dobre wychowanie nie dopuszczało scenariusza z biciem i szarpaniem panienki za włosy. Więc co? Powiem jak Flora: „Do widzenia panu i proszę się wyprowadzić”? To byłoby najłatwiejsze. Ale czy najmądrzejsze? I czy wobec tego warto psuć dotychczasowy układ, który co prawda nie był może idealny, ale trwał i stanowił oparcie dla niej i dla dzieci? Z drugiej strony - co Maksa trzyma w tym układzie? Dzieci nie są jego, mieszkanie nie jest jego, a Sabina? Należę do niego, czy nie? - zastanawiała się. Maks nigdy nie wzbudzał w niej płomiennych uczuć. Ale nie potrafiła już sobie wyobrazić życia bez jego obecności. Więc może przeczekać? Udawać, że nic się nie dzieje? A jeśli ten układ i tak się rozpadnie? Jeśli któregoś dnia powie, że odchodzi? Więc może lepiej uprzedzić tę sytuację?

Przeszła na drugą stronę ulicy i weszła do baru.

Usiadła przy oknie i zaczęła obserwować bramę domu, w którym mieszkała. Ale nic się nie działo. Minęła godzina i Sabina zaczęła się czuć głupio. Siedzę tu i patrzę na ulicę jak jakaś idiotka, myślała. Przecież każdy widzi, że kogoś śledzę. A kogo może śledzić kobieta w średnim wieku? Jasne, że zdradzającego ją męża. Wystawiam się na pośmiewisko. Ile można siedzieć nad jedną kawą? Już zamierzała wyjść, kiedy w bramie zobaczyła Maksa. Wyszedł, rozejrzał się i skierował do przystanku tramwajowego. I co teraz? Kiedy wyjdę, natychmiast mnie zobaczy. Takie akcje udają się tylko w filmach. Podjeżdża taksówka i zazdrosna żona jedzie za niewiernym mężem. A skąd tutaj wziąć taksówkę? Mimo to wyszła z baru. Maks stał na przystanku zamyślony, nie rozglądając się. Jeśli mnie zobaczy, powiem, że właśnie przyjechałam ze szpitala, bo koleżanka się ze mną zamieniła. Ech, i po co ja tak kręcę? Ma kochankę, to niech ma. I tak pewnie mnie zamkną w kryminale, więc dlaczego mam mu stawać na przeszkodzie w ułożeniu sobie życia? No, tak, ale jeszcze przecież mnie nie zamknęli. A jeśli w ogóle mnie nie zamkną, a on odejdzie? To trudno. Niech sobie idzie. Nie będę się wygłupiać i tropić go jak Sherlock Holmes w spódnicy. Trzeba mieć trochę godności.

Sabina zawróciła i poszła do domu.

Zrobiła sobie herbatę, usiadła w fotelu i zaczęła przeglądać gazety. Dawno już nie zdarzyło się jej odpoczywać w takim komforcie - cisza, spokój, nikt nie przeszkadza, można robić co się chce. Niedługo jednak było jej dane cieszyć się wypoczynkiem. Z błogostanu wyrwał ją dzwonek telefonu. Dzwoniła Fuksja.

- Mogę do ciebie przyjechać?

- Co za pytanie! Oczywiście możesz. To jest przecież twój dom.

- A jest Maks?

- Nie ma. Gdzieś wyszedł.

- Znowu?

- Znowu.

- Gdzie?

- Nie wiem. Jak chcesz się z nim widzieć, to zadzwonię do ciebie, kiedy wróci.

- Nie. Nie chcę się z nim widzieć. Dopiero się przecież z nim widziałam. Chcę trochę pobyc w domu. A Robert jest?

- Też nie ma. Zostawiłam go na dodatkowych zajęciach w szkole. Będzie o czwartej. Maks go przyprowadzi.

- Dobrze. To ja zaraz przyjadę.

Skąd taka nagła zmiana? - zastanawiała się Sabina. Widocznie ten remontowy bałagan zaczął jej już doskwierać. Bo chyba nie zatęskniła nagle za nami?

Fuksja weszła trochę niepewnie, pozwoliła się przytulić i pocałować w policzek, ale ciągle z jakąś rezerwą. Sabina zapytała, czy zrobić jej coś do picia albo jedzenia.

- Do jedzenia to nic. Flora ciągle coś we mnie wpycha i niedługo będę wyglądać jak te biedne Amerykanki utuczone na czipsach.

- No, bez przesady.

- Naprawdę. Ciągle coś pitrasi, a potem wyrzuca, bo nawet kot dostaje od tego mdłości. Mogę trochę usiąść przy komputerze?

- Oczywiście. Skorzystaj, póki Roberta nie ma.

- Nie, nie chcę wchodzić do jego pokoju. Będzie się później wściekał.

- To nie jest pokój Roberta, tylko wasz.

- Wiem, ale wolę mu niczego nie ruszać. Może zajrzę do kompa Maksa?

- Jak chcesz. Chyba nie miałby nic przeciwko temu. Zapomniałam, że u Flo-ry nie ma komputera. Jak się przeprowadzimy, to dostaniesz nowy. Swój własny - obiecała Sabina.

Fuksji oczy rozblęły.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Cieszysz się?

- Nooo... Jak dostanę, to się będę cieszyć.

- Ależ ty jesteś...

Dziewczynka usiadła przy komputerze, a Sabina poszła robić obiad.

Po jakimś czasie Fuksja weszła do kuchni.

- Co tak pachnie?

- Pieczeń.

- U ciebie to zupełnie inaczej pachnie pieczeń niż u Flory.

- Za pół godziny będzie gotowa. Poczekasz?

- Poczekam.

I Fuksja znów usiadła do komputera. A potem zjadła obiad i pojechała.

A kiedy Maks wrócił, zastał w poczcie e-maila: „Tato, nie zostawiaj nas. Nie odchodź. Bardzo cię wszyscy kochamy. Zostań. Proszę Cię. Fuksja”.

- Ja już dłużej tego nie wytrzymam! - wściekała się Flora. - Albo wezmę go za łeb, tego Mazurskiego, i sprowadzę tutaj, żeby robotę dokończył, albo go zabiję, jak tylko spotkam.

- Flora nie denerwuj się. Zostaw go w spokoju. Gdybyś go nawet tutaj ściągnęła, to sama wiesz, że nic by to nie dało. Trzeba znaleźć kogoś innego - perswadowała Sabina.

- Trzeba, trzeba! Dzwonię i szukam, ale wszyscy zajęci i dają takie terminy, że prędzej posiwieję, niż doczekam się wykonania remontu. Zaraz. Chwileczkę. Gdzieś tu widziałam robotników. Chyba budowlanych, bo nieśli drabiny. I byli pochłapani farbą. Jak wysiadałam z tramwaju, to widziałam. Przejdę się po okolicy, może znajdę kogoś z łapanki. Żeby choć tę łazienkę dokończyć! Wszystko jedno kto, niech będzie partacz, byleby coś z tym zrobił.

- O, nie! Na partacza to ja się nie zgadzam - zaproponowała Sabina. - Nie będę płacić za partactwo. Już raz zapłaciłam. I wystarczy.

- No, nie mówię, żeby całkiem. Ale przecież to nie musi być jakaś renomowana firma. Czasem prosty rzemieślnik jest lepszy niż ktoś, kto się reklamuje w gazetach. Przejdę się. Zobaczę. Gdzieś tu ich widziałam.

- Dobrze. Przejdź się.

Flora narzuciła żakiet i energicznym krokiem wyszła z domu.

Sabina poszła na werandę. Obejrzała plecione z wikliny i obdrapane przez kota meble ogrodowe, które już dawno straciły świeżość. Kuracja odmładzająca zafundowana im przez Florę w postaci pomalowania białą, olejną farbą, tylko na krótko polepszyła ich wygląd. Kolorowe poduszki były wypłowiałe i wysiedziane. Sabina doszła do wniosku, że właściwie wszystko w tym domu nadaje się do wymiany. Czego się nie tknąć, wszystko się rozsypuje. Chyba przeceniłam swoje możliwości finansowe, pomyślała.

Ale nie było już odwrotu.

Akt notarialny został podpisany i Sabina stała się właścicielką domu.

Flora robiła, co mogła, żeby im pomóc, ale przecież i tak najważniejsze są pieniądze. Same deklaracje i dobre chęci nie wystarczą.

Pojawiła się Fuksja z kotem na rękach.

- Wiesz - powiedziała - chyba musimy zawołać weterynarza.

- A co się stało?

- Mironce trzeszczą stawy. Jak się przeciąga albo wyciąga łapy, to mu trzeszczą. Chyba ma jakieś zapalenie.

- To ze starości.

- Z jakiej starości? Czy on ma sto lat?

- Kto wie, ile on ma lat na koci wiek? Zwierzętom inaczej liczy się lata, bo krócej żyją.

- Nieprawda. On się nigdy nie postarzeje.

- Postarzeje się. Wszyscy się postarzejemy. I umrzemy.;

- On nie umrze.

Kwestia wiecznego życia Mironki nie została do końca przedyskutowana, bowiem za furtką pojawiła się Flora. Wróciła ze swojej wyprawy bardzo zadowolona.

- Znalazłam ich! - obwieściła. - Remontują dom na sąsiedniej ulicy. Jutro będzie ich szef, to spróbuję z nim sprawę załatwić. Może się uda. To jest duża firma, zatrudniają mnóstwo ludzi, chyba ze dwadzieścia osób. Może oddelegują jednego do tej ścianki?

- Dobrze by było.

- Zajmę się tym jutro. Od rano tam pójdę. To jakaś porządna firma. Pracują jak mrówki. Mówię ci. Żadnego piwka ani czekania na czyjeś decyzje. Sami wiedzą, co mają robić.

- Dobrze. Zajmij się. Niech to już będzie na twojej głowie. Ja jutro rano pracuję, a z Maksa to i tak niewiele pożytku. Więc zostawiam to tobie. Wpadnę jutro po południu. Fuksja! Wychodzę!

- Do widzenia.

- Nie przyjdiesz się pożegnać?

- Przyjdę.

Dziewczynka podstawiała policzek do pocałunku i kota do pogłaskania i poszła.

Kiedy Sabina przyjechała następnego dnia, zastała Florę w stanie gorączkowego podniecenia.

- Załatwiłam! - oznajmiła. - Szef tej ekipy to zupełnie przeciwieństwo tamtego drania, który rozwalił ściankę. Miły, sympatyczny i kompetentny człowiek. A jaki przystojny! Mówię ci! Wysoki, wysportowany, silny. Chyba dużo ćwiczy na siłowni. Taką drabinę, to on podnosi jednym palcem. Zresztą, sama zobaczysz.

I Sabina zobaczyła.

Wieczorem przed domem zatrzymało się eleganckie, czarne BMW i wysiadł z niego potężny osiłek z tatuażem na rękach. Wszedł, przywitał się, obejrzał dom i powiedział:

- Ja bym to całkiem przebudował. Zrobiłbym patio, bo jest miejsce, tu byłby salon, a schody zrobiłbym dużo szersze. I dałbym marmur. We wnętrzu i na zewnątrz. Przecież to się wszystko sypie. I te kolumny i schody. Trzeba to zmienić. Właściwie to powinno się wszystko wyburzyć i zbudować na nowo. Bo plac jest duży. Można by tu zaprojektować niezłą rezydencję. Kupię to od pani. Ile?

- Ten dom jest już sprzedany - wyjąkała spłoszona Flora. - Ta pani go ode mnie kupiła.

- Aha. To teraz właścicielką jest pani? No, ale przecież może pani kupić sobie dom gdzie indziej. Ile pani chce?

- Chcę, żeby mi pan przebudował łazienkę i wygospodarował obok dodatkowy pokój. Zamiast tej służbówki - powiedziała zirytowana Sabina.

- Ja nie nalegam. Ale szkoda, żeby się taki plac zmarnował. I w takim miejscu. Mogę dobrze zapłacić.

- Nie, nie. Dziękuję. Ten dom nie jest do sprzedania.

- Szkoda. Ale niech się pani jeszcze namyśli.

Flora podreptała za osiłkiem, który oglądał ściany, opukiwał je, przyglądał się balustradzie, drzwiom, oknom, schylał się, oceniając stan podłóg i kręcił głową.

- Tu wszystko jest do remontu - powiedział. Flora wpatrywała się w osiłka i kiwała głową.

- Tak, tak. Też tak myślę. Ale to pewnie drogo by kosztowało.

- Nic nie ma za darmo. Ale dla pani mogę policzyć taniej.

-Naprawdę?

- Naprawdę. Osiłek przyglądał się Florze.

- Panią to jakby skądś znam.

- Mnie? Nie sędzę.

- Ale tak jakby... Może znam pani męża?

- Nie mam męża.

- Widzi pani. A ja nie mam żony. Co za zbieg okoliczności! A gdzie pani pracuje?

- W instytucie. Naukowym.

- A czym się pani zajmuje? - zainteresował się.

- Roślinami. Mówiąc w największym skrócie.

- Przydałaby mi się pani w firmie. Bo chcę rozszerzyć działalność. Wie pani, budowlanka to tylko mury. Ale jakby tak zaprojektować i zrobić całość? Całe otoczenie. Ogród. Ścieżki, kwiaty, drzewa, ławeczki, fontanny. No jednym słowem - całość. Po co mają inne firmy na tym zarabiać, kiedy mogę ja. Co pani na to?

- Myślę, że to dobry pomysł.

- Widzi pani. Przepraszam, ale jak pani na imię?

- Flora.

- Flora. To zdaje się coś znaczy? Bo gdzieś czytałem, ale nie pamiętam. Człowiek nie przywiązuje wagi do takich rzeczy. Teraz, jak już panią znam, to bym zapamiętał.

- No, flora to rośliny.

- Naprawdę? - zdziwił się - Co za zbieg okoliczności!

- A fauna to zwierzęta.

- Ale chyba nie ma takiego imienia? Fauna?

- Fauna nie. Ale jest Faun. Taki bożek rzymski. Osilek patrzył na Florę z podziwem. Wyciągnął rękę i przedstawił się.

- Zenek jestem. Pani to naprawdę jest bardzo mądra. Wszystko pani wie. Jak encyklopedia.

Flora uśmiechnęła się wdzięcznie. Pan Zenek objął Florę przez plecy wytatuowanym ramieniem, drugim otworzył drzwi i wyszli przed dom.

Sabina patrzyła na to wszystko z niedowierzaniem.

Ach, pomyślała, niech się dzieje co chce, byleby wreszcie skończyć ten remont. Trzeba się tylko pilnować, żeby pan Zenek nie naciągnął mnie na dodatkowe koszty.

Pan Zenek porozmawiał jeszcze chwilę z Florą przy furtce i odjechał swoim BMW, a Flora wróciła do domu bardzo podekscytowana.

- No, czy to nie cud, że go znalazłam? - powiedziała. - Zrobi wszystko, co trzeba i drogo nie policzy. I wcale nie chce zaliczki. Fantastyczny facet! I jak zbudowany!

- I jak wytatuowany! - dodała Sabina.

- Ach, co tam tatuaże! Wszyscy się teraz tatuują. Gdybym była młodsza, to też bym sobie coś wytatuowała.

- Flora, przestań!

- A co złego jest w tatuażach?

- Pewnie nic. Ale ja uważam, że to głupie. I barbarzyńskie.

- Daj spokój. Jesteś staroświecka. Pan Zenek nie ma zwykłego tatuażu, tylko artystyczny. Nie widziałam wszystkiego, ale powiedział, że kiedyś mi pokaże, jak będę chciała. Mówił, że taki tatuaż robi się na specjalne zamówienie. I że drogo kosztuje. Zwykły tatuaż to może mieć każdy za nieduże pieniądze. A taki, jak ma pan Zenek, to jest unikalny i nie każdego na to stać.

- A co mnie obchodzą tatuaże pana Zenka? Może sobie wytatuować nawet krowę na brzuchu. Unikalną czy nie-unikalną, wszystko mi jedno. Ma mi zrobić remont i tyle. Obchodzi mnie tylko, czy potrafi to zrobić solidnie i w miarę tanio. A czy robi to wytatuowanymi rękami czy niewytatuowanymi, to dla mnie nie ma żadnego znaczenia.

Flora zamilkła.

- To jak się z nim w końcu umówiłaś?

- No, przyjdzie jutro i wyceni. A potem mogą zacząć robić.

- Dobrze. To bądźmy w kontakcie. Jakby chciał za drogo, to się targuj. O której pan Zenek ma być?

- Zadzwoń, to powie.

- Jak coś będziesz wiedzieć, to się odezwij. Muszę lecieć. To na razie. Cześć.

Jednak Sabina na próżno czekała na jakąś wiadomość od Flory. Przez pół dnia nie dawała znaku życia i Sabina zaczęła powątpiewać w skuteczność jej działań. Zwłaszcza, że jej telefon nie odpowiadał.

Po południu zabrała Roberta i razem z Maksym pojechali, żeby sprawdzić na miejscu, co się dzieje.

- O, jesteście! - powiedziała Flora nieobecnym głosem.

- Siadajcie.

Była jakaś zmieszana i zachowywała się nienaturalnie. O co chodzi? - zastanawiała się Sabina. Może żałuje, że sprzedała mi dom? Trudno się dziwić. Pewnie pan Zenek mocno przebił cenę.

- Napijcie się czegoś? - zapytała Flora.

- Robert, chcesz coś do picia? - zawołała Sabina.

Ale Robert już zniknął na górze w poszukiwaniu Fuksji. Po chwili oboje zeszli na dół, kłócąc się zawzięcie.

- Pytałam, czy chcesz coś do picia - powtórzyła Sabina.

- Daj buzi, córciu. Co tam u ciebie?

- Nic. A co u was?

- A co może być u nas nowego?

- No, nie wiem. MOŻE COŚ JEST - powiedziała Fuksja i spojrzała na Maksa, a on nagle spuścił wzrok.

- A co tam w szkole? Nie miałaś problemów?

- Dlaczego mam mieć problemy?

- No, choćby z powodu nieobecności.

- Nawet nikt nie zauważył.

- Nie opowiadaj głupstw.

- Naprawdę nikt nie zauważył. Pani wychowawczyni jest w ciąży i jest na zwolnieniu lekarskim, a reszta nauczycieli to ma nas w nosie.

- Jak zwykle przesadzasz.

- Nie przesadzam. Właściwie to już mogłabym w ogóle tam nie chodzić. Do niczego mi to nie jest potrzebne. Tyle tylko, że muszę mieć świadectwo. Ale jakby nie to, to więcej bym tam nie poszła.

- Nie wymądrzaj się.

- Mamo, ja chcę mieć większy pokój niż Fuksja - wtrącił się Robert.

- Ty dostaniesz pokój w piwnicy, żebyś był jak najdalej od niej.

- Mamo, ja chcę ten pokój na górze.

- Pomyślę o tym.

- A dlaczego on ma mieć większy?

- Dobrze. Wymierzę co do centymetra, żebyście mieli jednakowe.

Ten interesujący dialog został nagle przerwany, bowiem za furtką zatrzymało się czarne BMW pana Zenka, a z samochodu wysiadł właściciel z ogromnym pękiem kwiatów. Flora speszyła się i niepewnie spojrzała po obecnych.

- Co to za okazja? - zdziwił się Maks.

- Nie wiem.

Tymczasem pan Zenek starannie wytarł nogi o wycieraczkę i wszedł do domu. Najpierw, zaskoczony, obrzucił zebranych spojrzeniem, a potem się uklonił i

powiedział „dzień dobry”. „Dzień dobry” - odpowiedzieli wszyscy chórem. Podszedł do Flory, pocałował ją w rękę, a następnie wręczył bukiet.

- Dla Flory - flora - powiedział.

- Ach, dziękuję. Nie spodziewałam się - wyjąkała.

- Podoba się pani?

- Piękny.

- Kazałem zrobić najładniejszy. Z najdroższych kwiatów. Widzi pani? Storczyki.

- Ale ja... Naprawdę...

- Nie ma sprawy. Najważniejsze, że się podoba.

Flora wstawiła kwiaty do wody. Bukiet był tak duży, że z trudem upchnęła go w największym wazonie.

- Może pan usiądzie?

- Dziękuję. Nie będę przeszkadzał.

- Ależ pan nie przeszkadza - znowu odezwał się chór. Ale pan Zenek widocznie nie był o tym przekonany, bo powiedział:

- To ja z panią Florą wyjdę obejrzeć jeszcze raz ten dom. Z zewnątrz.

Znanym już Sabinie gestem jedną ręką otoczył plecy Flory, drugą otworzył drzwi i wyszli.

Maks z Sabiną popatrzyli na siebie z osłupieniem.

- Czy ty widzisz i słyszysz to samo, co ja? - zapytała szeptem Sabina.

- Wierzyć się nie chce.

Fuksja i Robert zgodnie zachichotali i pobiegli na werandę podglądać Florę i pana Zenka. Ale pan Zenek zachowywał się nad wyraz przyzwoicie. Obszedł z Florą dom naokoło, przyjrzał się ścianom dokładnie, zadumał nad stanem dachu, sprawdził nogą wytrzymałość schodów, kopiąc w nie, nie za mocno, żeby się nie rozsypały, postukał w barierkę werandy i powiedział:

- Ja bym tu zrobił generalny remont.

- Tak właśnie myślałam. Ale koszty.

- Zobaczymy.

Weszli do środka. Flora była wpatrzona w pana Zenka i chłonęła każde jego słowo, a pan Zenek perorował:

- Samo malowanie nic nie da. Tyle że będzie ładniej. Trzeba zmienić tynki, poprawić dach, bo tylko patrzeć, jak zacznie przeciekać, zmienić rynny, no, właściwie wszystko nadaje się do wymiany. Jak już mówiłem. Ale ponieważ pani ma ograniczone środki finansowe - dobrze mówię? - to my się też ograniczymy do tego, co niezbędne.

- Ale ja chciałam tylko zrobić prysznic i powiększyć pokój... - nieśmiało wtrąciła Sabina.

- To my tu już z panią Florą rozpatrzemy co i jak, żeby zrobić wszystko, co trzeba i żeby pani nie zbankrutowała.

- Bardzo panu dziękuję. Ale chciałabym może najpierw zobaczyć jakiś kosztorys...

- Niech się pani nie obawia. Wszystko będzie dobrze.

- Panie Zenku, może się pan czegoś napije? - zapytała Flora.

- Innym razem - powiedział pan Zenek i podniósł się.

- Ja to jutro pomierzę, rozrysuję i przedstawię państwu. A do pani jeszcze zadzwonię - zwrócił się do Flory. - To do widzenia.

- Do widzenia - odpowiedział mu chór.

Flora odprowadziła pana Zenka do furki i wróciła z wypiekami na twarzy.

- Flora, czyś ty zwariowała? Romansujesz z tym budowlańcem?!

- Ja romansuję? - zdziwiła się Flora. - Chyba coś się wam przyśniło. Załatwiam, co mogę, a wy, zamiast to docenić, jeszcze mi coś insynuujecie.

Sabina nie odpowiedziała. Rzeczywiście, czego chcieć od Flory? Gdyby nawet romansowała, to co z tego? Jej sprawa. Żeby tylko pan Zenek nie okazał się naciągaczem.

Znów siedzieli w kawiarni i pili jakieś wino. Maks znowu próbował wziąć Anetę za rękę. I znów cofnęła ją, rozglądając się, czy ktoś ich nie widzi. To wszystko powtarzało się przy każdym spotkaniu, było raniące i przykre, ale już się do tego przyzwyczaił i starał się nie widzieć sztuczności całej sytuacji. Okruchy z cudzego stołu, pomyślał. Jak długo można ciągnąć tę sztubacką zabawę? Powinien wreszcie zachować się jak mężczyzna.

Przypomniawszy sobie dzień, kiedy dostał e-maila od Fuksji.

Jakże głupio się wtedy czuł! Skąd ona to wszystko wiedziała? Sabina niczego nie zauważyła, a ona tak, choć przecież od jakiegoś czasu nie mieszkała z nimi. To dziecko zawsze miało niesamowitą intuicję. Napisała „tato”. Nigdy tak do niego nie mówiła. Dlaczego więc to napisała? Czy chciała przez to uświadomić mu obowiązki? A może rzeczywiście uważała go za ojca, może naprawdę tak czuła?

A on? Czy gdyby Aneta zdecydowała się na rozwód i zgodziła wyjść za niego za mąż, porzuciłby swoją dotychczasową rodzinę? Zostawiłby Fuksję, o którą kiedyś tak walczył? Wiedział, że tak by pewnie było i wstydził się tego.

A najgorsze, że Fuksja się wszystkiego domyśliła.

Aneta była jakaś milcząca.

- Wiesz - powiedziała w pewnym momencie - wyjeżdżam na miesiąc. Mój mąż dał się namówić i jedziemy na Karaiby. To znaczy do Meksyku. Do Cancun. Wreszcie będę mieć prawdziwe wakacje. Oczywiście nie będziemy siedzieć tylko na plaży. Choć plaże są tam podobno piękne. To jest na Jukatanie, więc jest co zwiedzać. Piramidy Majów, Chichen-Itza. Przejrzałam foldery. To naprawdę cudowne miejsce. Sama je wybrałam.

- Wiem. Byłem tam. Byliśmy - poprawił się.

Celowo użył liczby mnogiej. Skoro ona nie krępuje się mówić o sobie i swoim mężu, to niech wie, że on też nie jest sam.

- No i jak było? - Aneta nie zwróciła uwagi na liczbę mnogą.

- Fantastycznie. W Cancun naprawdę można odpocząć. I rzeczywiście - jest co zwiedzać.

- Strasznie trudno było mi go przekonać, ale w końcu się udało. Przecież go na to stać. Nie może ciągle tkwić w tym swoim biznesie, bez żadnego odpoczynku. Nie samym biznesem człowiek żyje.

- Jasne. Kiedy wyjeżdżasz? To znaczy - kiedy wyjeżdżacie?

- Za tydzień. Przez miesiąc nie będę cię widzieć. Będzie mi naprawdę bardzo ciebie brak.

- Naprawdę?

- Oczywiście. A jak myślałeś? Że co? Że nic dla mnie nie znaczysz? Jesteś drugą połową mojego życia.

- A pierwszą jest twój mąż?

- Nie bądź taki zasadniczy. Mąż to mąż. Pokiwał głową.

- Obawiam się, że nie będziemy się już spotykać - powiedział.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nic się nie stało. Ale to już nie będzie możliwe.

- Chyba nie emigrujesz?

- Nie.

- To co stoi na przeszkodzie?

- Będę bardzo zajęty.

- Przecież nie pracujesz na etacie?

- Właśnie dlatego. Etat to jest „od - do”. Osiem godzin i do domu. A ja mam zamówienia i nikt nie pyta, kiedy będę to wszystko robił. Poza tym muszę się zająć remontem domu.

- A mówiłeś, że nie masz domu.

- Bo nie miałem. Ale teraz mam. Żona kupiła. Ten, w którym kiedyś mieszkałem.

Aneta się zamyśliła. Potem uśmiechnęła się z przymusem.

- Widzę, że się dobrze ożeniłeś.

- Tak wyszło.

- Rzeczywiście nie będziesz miał już dla mnie czasu? - zapytała.

A kiedy nie odpowiedział, poprosiła:

- Nie rozstawajmy się na zawsze. Dobrze? Jak wrócę, odezwę się do ciebie. Wyślę e-maila i napiszę, jak było.

- Napisz.

Aneta wstała od stolika.

- Wiesz, spotkania z tobą były dla mnie bardzo ważne. Chciałabym, żebyś o tym wiedział.

- Wiem. Ty dla mnie też byłaś bardzo ważna.

- Rozminęliśmy się. Cóż. Takie jest życie. Ale zawsze będę o tobie pamiętać.

- Ja o tobie też.

Pożegnali się i Maks wyszedł z kawiarni z sercem ciężkim jak kamień. Jak łatwo było to wszystko mówić, jak łatwo wygłaszać komunały i udawać obojętność. Ale jak teraz żyć?

Pan Zenek zaczął przygotowywać dom do remontu. Mimo protestów Sabiny, niektóre meble kazał swoim pracownikom wynieść do kontenera na śmieci.

- Przecież nie będzie pani tego trzymać w odnowionym pokoju! Albo tej wikliny na werandzie! Jak ja pani odpicuję ten dom, to pani go nie pozna. I sama się pani przekona, że miałem rację i że nie było co trzymać tych starych gratów.

- Ale panie Zenku, przecież ja nie jestem milionerką. Każda rzecz kosztuje, a jak się wprowadzimy, to trzeba będzie tutaj jakoś żyć. Jak mi pan wszystko wyrzuca, to zostaną gołe ściany. Ja nie jestem Japonką, żebym na podłodze jadła.

- To w Japonii tak jedzą? - zainteresował się pan Zenek.

- Tak. Na matach.

- Racja. Widziałem kiedyś taki film. I bez przerwy się kłaniają. Dobrze mówię?

- Dobrze.

- To zostawię, co lepsze. Ale mówię pani, że nie ma co tego trzymać. I tak je pani wyrzuci, a teraz będą tylko przeszkadzać w robocie. Będzie się z tym jeździć od ściany do ściany i przykrywać, i tylko kłopot. Niech pani sama popatrzy, jakie te fotele wyliniały.

- Wyliniały.

- Właśnie mówię. I wysiedziane doły. Gąbka już spróchniała i do niczego.

- Ma pan rację. Ale wolałabym jednak, żeby pan mi nic nie wyrzucał. Jak będzie trzeba, to sama wyrzucę.

- Niech pani korzysta, póki mam ludzi do roboty. Bo potem to będzie pani musiała sama dźwigać.

- Dam sobie radę.

- Jak pani chce. Chłopaki! Nie wyrzucać mi tu niczego! Zapakować wszystko i zakryć folią. Pani tak sobie życzy. Ale szafek z kuchni to chyba pani nie zostawi?

- Zostawię. Nic im nie brakuje.

- To ja chociaż zmienię pani drzwiczki. Będą wyglądać jak nowe.

- Mógłby mi pan powiedzieć, ile to będzie kosztować? Pan Zenek machnął ręką.

- Powiedzieć pani prawdę? Ja dla każdego mam inny kosztorys. Jak widzę, że kogoś stać, to mu drożej policzę, a jak nie stać - to taniej. I wychodzę na swoje. Z pani nie zedrę. Niech się pani nie boi.

- Ale może przynajmniej orientacyjnie...

- Powiedziałem, że się dogadamy, to się dogadamy. Z góry zszedł Maks.

- Może by tak od razu zaadaptować strych?

- A co by pan tam chciał? Na górze to się robi teraz sypialnie. Okna w dachu i jest super.

- Okna by się przydały. Ja bym chciał urządzić tam sobie pracownię. Malarską.

- To pan jest malarz? Co za zbieg okoliczności! Potrzebuję do domu parę obrazów. Reprodukcji to się już teraz nie wiesza. A co pan maluje?

- No, raczej abstrakcje. A pan to by pewnie chciał jakiś pejzażyk? Drzewka, łączka, strumyczek? Wiejska chałupka, niebo niebieskie, trawa zielona? Albo może kwiatki? Jakieś róże, czy słoneczniki?

- A mnie jest wszystko jedno. Ja się na tym nie znam. Może być i abstrakcja. Jak pan jest malarz po szkołach, to pan się na tym lepiej zna niż ja. Ja jestem budowlaniec. Zrobię panu ten strych i rozliczymy cały remont w obrazach. Dobierze mi pan coś, żeby było gustownie. Tylko ja potrzebuję duże, bo mam duże ściany.

- Ale może by pan obejrzał moje prace? Przecież nie kupuje się kota w worku.

- A gdzie je pan ma?

- No, kilka obrazów jest w galeriach, a reszta to...

- Może kiedyś, przy okazji. Na razie to nie mam czasu. Widzi pan sam. Robota czeka. Samo się nie robi. Ja pana skontaktuję z projektantem, co robi mi wnętrza, to sobie pogadacie. On się na tym zna i pan się na tym zna, a ja co? Ja

jestem od zarabiania pieniędzy. I od wydawania. Taki układ. A zresztą nie pali się. Jak już będą wisieć na ścianach, to zobaczę.

Fuksja patrzyła ze schodów i z zainteresowaniem słuchała rozmowy.

- A tę dziewczynkę to państwo stąd zabiorą. Tutaj będzie duży ruch. Taka dziewczynka to nie ma racji bytu w czasie remontu.

- Fuksja, pakuj się.

- Ale...

- Bez dyskusji. Słyszałaś, co pan powiedział.

- Ale ja nie chcę z Robertem...

- Nie będziesz z nim mieszkać. Będziesz spać ze mną, albo w salonie.

- Wolę w salonie.

- W salonie śpi teraz Maks.

- No to co? Przecież nie musi tam spać.

- Nie będziemy teraz o tym dyskutować. Pakuj się. ... Weszła Flora z Robertem.

- A w ogóle, to ja bym prosił - powiedział pan Zenek - żebyście mi państwo nie przeszkadzali. W ogóle nie musicie państwo tu zaglądać. Zrobimy, to zadzwonię. My tu sobie z Florcią sami poradzimy.

Sabina i Maks spojrzeli po sobie.

- Z Florcią?! - zapytała niepewnie Sabina.

Pan Zenek objął Florę ramieniem i przygarnął do siebie. Flora się zaczerwieniła.

- Ależ, Zeniu...-powiedziała.

- To państwo... państwo są po imieniu? - zapytał zaskoczony Maks.

- Zeniu przywiózł wino... no i wypiliśmy bruderszaft. Ale Zeniu nie prowadzi po alkoholu. Pojechał taksówką -mówiła całkiem bez sensu Flora.

- To my... to my już pojedziemy. Zadzwoń... zadzwońcie państwo, jak już będziemy mogli wrócić. Fuksja! Idziemy!

- Zaraz!

- A gdzie ona będzie spać? - zaczepnie zapytał Robert.

- Nie twoja sprawa.

- Ale...

- Spokój. Idziemy.

Fuksja zeszła ze schodów, taszcząc jedną ręką starą torbę podróżną Flory, a drugą podtrzymując kota wiszącego jej na ramieniu.

- Gdzie klatka? - zapytała Sabina.

- Pod schodami.

Wszyscy rzucili się pod schody, ale pan Zenek był najszybszy. Wyciągnął klatkę, otworzył i powiedział do Mironki;

- A teraz siup! Do klateczki!

I Mironka, o dziwo, sam bez przymusu wszedł do klatki.

- Ty to masz, Zeniu, podejście! - powiedziała z podziwem Flora.

- Spróbowałyby nie wejść!

Po chwili całe towarzystwo wyniosło się, zostawiając na placu boju Florę i pana Zenka bardzo zajętych sobą.

Sabina przeszukała pokój i zza kanapy wyciągnęła pamiętnik Fuksji. Otworzyła go i zaczęła czytać od miejsca, w którym jakiś czas temu skończyła lekturę.

No więc pojechałam i przyjechałam. Teraz jestem Flory.

Nie będę pisać o tej kobiecie, którą spotkałam. To nie może być, TO NIE JEST moja mama. Uciekłam stamtąd i wiem, że nigdy już tam nie pojedę. I nigdy

nie będę szukać moich rodziców. Wolę już wierzyć, że wylęgam się z jajka. Może jeszcze zresztą kiedyś o tym napiszę, ale na razie nie.

Więc pojechałam i przyjechałam.

I tyle.

Jechałam trochę pociągiem, trochę autobusem, trochę z biletem, trochę na gapę. I byłam strasznie głodna, bo miałam za mało pieniędzy. Pieniądze jednak są w życiu potrzebne. I wiem, dlaczego dzieci „na gigancie” kradną. Kradną, bo są głodne. Ja też ukradłam, a przecież nie jestem złodziejką. Wiedziałam, że źle robię, i że jak mnie przyłapią, to zawołają policję i mogę pójść do poprawczaka. Me ukradłam. Bo byłam głodna. Ukradłam kanapkę z wózka, którym rozwoziła po dworcu kanapki i napoje jakaś kobieta. Wzięłam i uciekłam. Zaczęła krzyczeć, ale nikt mnie nie gonił. Uciekłam i zjadłam. Jadłam tak szybko, że o mało się nie zadławiłam. A potem się rozplakałam i pomyślałam, że muszę jak najszybciej wrócić do Sabiny i Maksa. I że powinnam im jakoś wynagrodzić krzywdy i kłopoty, jakie mieli przez moją głupotę. Bo właściwie tak naprawdę to oni są moimi rodzicami. Co z tego, że nieprawdziwymi? A co to są prawdziwi rodzice? Po raz pierwszy chciałam im powiedzieć szczerze i bez przymusu „mamo”, „tato”. Tyle razy mnie o to prosili, a ja ciągle nie chciałam tego powiedzieć, bo myślałam, że te wyrazy powinnam zachować dla moich „prawdziwych” rodziców. Że gdybym ich użyła wobec obcych ludzi, to byłaby zdrada.

Więc postanowiłam wreszcie to powiedzieć. Ale jak to zrobić? Nie wiedziałam, czy mi się to uda. Przez tyle lat mówiłam im po imieniu, to jak naraz zmienić przyzwyczajenia? Gdzieś przeczytałam, że są rzeczy, które jeśli nie przychodzą w porę, nie przychodzą nigdy. I że los daje człowiekowi szansę tylko raz. Nie wiem, może już ją straciłam? Może jest za późno? Ale chciałabym, żeby los zrobił dla mnie wyjątek. Może zrobi? Właściwie dlaczego miałby tego nie zrobić? Przecież jestem wyjątkowa. Sabina zawsze tak mówiła. A ja jej wierzę.

Tak sobie myślałam.

Ale kiedy już byłam prawie pod drzwiami Sabiny i Maksa, cofnęłam się. Bałam się spojrzeć im w oczy. Bałam się, że będą pytać, gdzie byłam, co robiłam. Jak odpowiedzieć na takie pytania? Jak opowiedzieć im to wszystko?

Nie miałam odwagi wejść do domu.

Zawróciłam i pojechałam do Flory.

Poprosiłam tylko, żeby do nich zadzwoniła, żeby powiedziała, że jestem u niej i że nic mi się nie stało.

Myślałam, że zaraz po mnie przyjadą, że się ucieszą, że jestem. Ale nie przyjechali.

Przynajmniej nie od razu.

Może już im na mnie. nie. zależy? Może. obrazili się. na mnie, że uciekłam i że przyjechałam nie do nich, tylko do Flory? Nie wiedziałam, co robić.

Pierwszy raz czułam, że nikogo nie obchodzę i że naprawdę jestem niczyja.

Bardzo tęskniłam za nimi wszystkimi. Nawet za Robertem.

Ale oni mnie nie chcieli.

Flora powiedziała, że Sabina nie przyjechała, bo spałam. Co za głupie tłumaczenie. To nie mogli mnie obudzić? Gdyby im naprawdę na mnie. zależało, to by zaraz przyjechali.

Wyglądało na to, że Florze bardziej na mnie zależy niż im. Pojechała do Sabinie i Maksa i przywiozła mi trochę moich rzeczy. I kota.

Bardzo się ucieszyłam, bo bardzo go kocham. I on mnie. też.

Miałam teraz kogoś, z kim mogłam rozmawiać. Opowiedziałam mu wszystko. Wiem, że on mnie zawsze rozumie. I słucha. Naprawdę słucha, chociaż czasem zamyka oczy. To jest bardzo mądry kot.

Flora chce sprzedać dom Sabinie.

Chciałabym, żeby tak się stało.

Jak się tu przeprowadzą i będziemy wszyscy razem, to może znowu mnie pokochają?

Sabinie łzy stanęły w oczach.

Boże, co to dziecko sobie wyobraziło? Że nam na niej nie zależy? Jak w ogóle mogła tak pomyśleć?

Odwróciła kartkę i czytała dalej.

W końcu przyjechała Sabina. Była bardzo zdenerwowana, bo była u prokuratora. Chca ją zamknąć do więzienia, dlatego że nie przywiozła mnie do Polski i nie oddała do domu dziecka.

Jak można coś takiego wymyślić? Nie rozumiem. Chyba źle ją osądzałam. Sabina faktycznie ma kłopoty. I to poważne..

Powinam jej jakoś pomóc Tylko jak? Pojechałam z nią do naszego mieszkania. Nie byłam pewna, czy zostanę u nich, czy wrócę do Flory.

Ale jakoś tak się zrobiło, że wróciłam, może dlatego, że nie chciało mi się użerać z Robertem. Właściwie to jego powinni zabrać do domu dziecka i byłby spokój.

Na stole leżało stare wezwanie do prokuratury. Wzięłam je.

Jeszcze nie wiedziałam, co zrobić, ale pomyślałam, że może się przydać.

Na drugi dzień pojechałam pod gmach prokuratury.

Bałam się strasznie. Nie miałam odwagi tam wejść. Ale się przemogłam. Sabina dla mnie robiła tyle razy różne rzeczy, więc ja wreszcie mogę coś zrobić dla niej. Pomyślałam, że powinam z kimś w prokuraturze porozmawiać, wytłumaczyć, poprosić, żeby nie robili krzywdy ani mnie, ani Sabinie i Maksowi. Bo o Robercie to nie chciałam w ogóle wspominać. Pewnie byłby zadowolony, jakbym się wyprowadziła do domu dziecka. Ale on jest gówniarz i nic nie rozumie. Jak mu matkę zamkną w więzieniu, to dopiero zrozumie. Jęłop jeden.

Weszłam do tej prokuratury i od razu przestałam się bać. Pokazałam nieaktualne wezwanie i powiedziałam, że chcę rozmawiać z prokuratorem. Z którym? - zapytał pan, który pilnował wejścia. Powiedziałam, że z najważniejszym.

Bardzo był rozbawiony, więc powiedziałam, żeby się nie śmiał, bo i tak wejść, a jak mnie nie wpuści, to będę tu siedzieć aż do wieczora i w końcu z kimś po-

rozmawiam. Chwilę się zastanawiał, a potem gdzieś zadzwonił i pozwolił mi wejść i powiedział, do którego pokoju mam iść.

Nie pamiętam już, co naopowiadałam pani prokurator, bo strasznie byłam zdenerwowana jej pytaniami, wiem tylko, że w ostatniej chwili przyszło mi na myśl, że muszę wymyślić jakiś ważny powód, dla którego Sabina nie mogła wyjechać z Ameryki. Wydało mi się, że takim najważniejszym powodem, od którego nie ma odwołania, jest więzienie. Więc powiedziałam, że Sabina siedziała w więzieniu ale niewinnie i potem ją wypuścili. Ale, z tego powodu nie mogła mnie odwiedzić do Polski. I poprosiłam, żeby jej znowu nie zamykali, bo drugi raz to ona może tego nie przeżyć, a to jest najlepszy człowiek, jakiego znam i chciałybym, żeby mnie adoptowała i była moją mamą. Pani prokurator pokiwała głową i powiedziała, że nikt nie chce nas skrzywdzić i żebyśmy się nie denerwowały. Ale powiedziała, że ona chce jeszcze z Sabiną porozmawiać. Chciałam ją poprosić, żeby nie mówiła Sabinie, że byłam w prokuraturze, ale ktoś wszedł i pani prokurator powiedziała mi „do widzenia”. Więc nie wiem, czy jej powiedziała, czy nie. Chyba nie, bo Sabina nic o tym nie wspominała.

A potem zdarzyło się jeszcze parę rzeczy, które muszę opisać.

Kiedy wracałam ze szkoły, zobaczyłam Maksa z jakąś panią. Wydało mi się, że skądś ją znam. Maks tak był w nią wpatrzony, że w ogóle na nic nie zwracał uwagi. Nie pojechałam więc do Flory, tylko poszłam za nimi. Weszli do kawiarni. Zajrzałam przez szybę, ale siedzieli gdzieś dalej w środku i nic nie zobaczyłam. Usiadłam sobie na ławce i czekałam, aż wyjdą.

I wtedy ją poznałam.

To była ta modelka, z którą się spotykał parę lat temu, przed naszym wyjazdem do Ameryki.

No, nie! - pomyślałam sobie. Tego to już za dużo! Znowu ta anorektyczka wtrąca się w nasze życie. Jakie ona ma prawo do Maksa? Na pewno chce go nam odebrać i wyjść za niego za mąż. Niedoczekanie! Już raz próbowała go omotać, ale wtedy jej się nie udało. To teraz znowu próbuje. Skąd ta małpa dowiedziała się, że Maks jest w Warszawie? Jak ona go znalazła? A może to on jej szukał? Musiałam coś zrobić, żeby ratować Maksa i pomóc Sabinie. Nie dość, że chcą ją zamknąć w więzieniu, to jeszcze ten chudy paszczur podrywa jej męża!

Zastanawiałam się, co robić.

Najlepiej by było, jakbym mogła z nią porozmawiać. Tak, żeby ją zniechęcić do Maksa.

Podeszłabym do niej i powiedziała, żeby nie spotykała się z nim, bo on ma AIDS. Powiedziałabym, że widziałam kilka razy, jak wychodził z poradni dla hifowców, bo mieszkam blisko tej poradni. I że szkoda by było, żeby ją zaraził.

Albo powiedziałabym, że on zaczepia dziewczynki z naszej szkoły, że co dzień się tam kręci, podgląda je i głaska po pupach, i że mnie też zaczepiał.

Albo, że jest mordercą i że sama widziałam z okna, jak zakopywał trupa w ogródku o północy, bo mieszkam koło niego i wtedy odrabiałam Lekcje do późna.

Wszystkie te plany, niestety, do niczego się nie nadawały, bo ona mnie znała i mogła mnie rozpoznać, chociaż minęło kilka lat. I pewnie by mi nie uwierzyła, albo powiedziała o wszystkim Maksowi. Więc strasznie się denerwowałam.

W końcu wysłałam do niego e-maila, żeby wiedział, że ja wiem o wszystkim i że strasznie się martwię. I żeby od nas nie odchodził, bo wszyscy go kochamy. Tak napisałam.

Nie wiem, co teraz będzie.

Sabina przerwała lekturę. A więc jednak Flora miała rację. Maks się z kimś spotykał. Co to za kobieta? Skąd ją zna? Modelka? Fuksja pisze, że się z nią kiedyś widywał. Kiedy to mogło być? O czym jeszcze nie wiem?

Zamyśliła się i schowała pamiętnik na miejsce.

Zbliżała się pora obiadowa. Pewnie zaraz wszyscy przyjdą do domu. Dokończę czytać jutro, pomyślała. Może jeszcze się czegoś dowiem?

Rozłożyła talerze na stole i usiadła na krześle. No, tak. Maks ma kogoś.

Domyślała się tego, ale nie spodziewała się, że tak ją to zaboli. Podejrzenia i przypuszczenia to jednak nie to samo, co pewność. Teraz, kiedy już miała tę pewność, zdrada Maksa dotknęła ją do żywego. Na nikim nie można polegać. Najlepiej na nikogo nie liczyć, nikomu nie wierzyć i ufać tylko sobie. Chyba że

to wszystko nieprawda, że to tylko fantazje Fuksji. Nieraz już wyolbrzymiała sprawy, które tak naprawdę nie miały żadnego znaczenia. Może to było tylko spotkanie z klientką, albo pracownicą galerii?

Ale nie. Fuksja napisała przecież wyraźnie, że to modelka. I że ją znał wcześniej. Ale czy to coś znaczy? Może ją kiedyś malował? Może po prostu mu pozowała? Tylko do czego miała mu pozować? Do abstrakcji? Chyba że robił jej portret na zamówienie.

Sprawa była tak intrygująca, że Sabina nie wytrzymała i zaraz po obiedzie zagadnęła Maksa:

- Może byśmy gdzieś wyszli? Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Jak chcesz.

- Dzieci! Wychodzimy na godzinę. Bądźcie grzeczne.

- A nie możemy z wami iść? - zapytała Fuksja.

- Nie. Mamy ważne sprawy do omówienia.

- No, dobrze - zgodziła się z ociąganiem.

- Dawno nie wychodziliśmy razem - powiedział Maks.

- No, właśnie. Wstąpmy gdzieś na kawę.

- Może na jakieś wino? Nie miałabyś ochoty?

- Dobrze.

Przeszli na drugą stronę ulicy i skręcili do pobliskiej kawiarni. Maks zatrzymał się przed wejściem.

- A może pojechalibyśmy gdzieś dalej? Na Stare Miasto, albo chociaż do Centrum?

- Wolałabym nie zostawiać dzieci bez opieki na dłużej.

- Nic im się nie stanie.

- Ale jednak...

Weszli i usiedli przy jedynym wolnym stoliku. Walały się po nim jakieś okruchy i rozsypany cukier, popielniczka była nieuprzątnięta, a na środku widniała plama z rozlanej kawy.

- No, nie! Wychodzimy stąd - powiedział Maks. - Skoro wyszliśmy dla relaksu, to nie psujmy go sobie tym niechlujstwem tutaj.

- Nie wyszliśmy dla relaksu.

- Nie? Myślałem, że chcesz się trochę oderwać od obowiązków.

- To też. Ale chcę z tobą porozmawiać.

- O remoncie?

- Nie. Chciałam porozmawiać o nas.

- O nas?

- Tak. Ktoś mi mówił, że widział cię ostatnio z jakąś panią. W kawiarni.

Maks zaczerwienił się gwałtownie.

- Ach. To dawna znajoma. Spotkaliśmy się przypadkowo.

- No, podobno nie wyglądało to na przypadkowe spotkanie.

- Bzdura.

- Nie wiem, czy bzdura. Dlatego cię pytam.

- Mówię ci, że to czyjeś urojenia. Kto ci takich głupstw naopowiadał?

- Nieważne. Jeśli masz kogoś, to chciałabym o tym wiedzieć.

- Jesteś zazdrosna?

- Nie o to chodzi. Zazdrość nie ma tu nic do rzeczy. Chcę wiedzieć, co zamierzasz.

- Jak to - co zamierzam?

- No, czy chcesz się ze mną rozstać?

- Nie mów głupstw.

- Nie mówię głupstw, tylko wyciągam wnioski. Dawno już chciałam z tobą o tym porozmawiać, ale nie było okazji.

- Ale o czym? Naprawdę nie ma o czym rozmawiać.

- A to, że ciągle cię nie ma w domu, że wracasz późno i po alkoholu, że wyprowadziłeś się z sypialni do salonu, że spotykasz się z jakąś panią, to nic? Naprawdę uważasz, że nie ma o czym rozmawiać?

- Naprawdę.

- Ciekawe. -Podeszła kelnerka, zabrała popielniczkę i starta stolik.

- Poprosimy dwa wina - powiedział Maks.

- Jakie? Czerwone? Białe? - zapytała kelnerka.

- Jakie chcesz? - Maks zwrócił się do Sabiny.

- Nie mam ochoty na wino.

- To poprosimy kawę.

- Zwykłą, cappucino, espresso?

- Zwykłą. Kelnerka odeszła.

- Może chcesz jakieś ciastko?

- Daj spokój. W ogóle nie mam na nic ochoty. Chciałabym tylko, żebyś mi odpowiedział na moje pytanie.

Maks wziął głęboki oddech i powiedział:

- No, więc przysięgam ci, że z nikim się nie spotykam, nie zamierzam od ciebie odejść i nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie się przeprowadzimy, żeby wszystko mogło znormalnieć.

Mógł przysięgać z czystym sumieniem. Rzeczywiście, nie spotykał się z Anetą. Nie zdążyła jeszcze wrócić z Cancun. Ale co będzie, jak wróci?

Wolał o tym nie myśleć.

Piotrek jest naprawdę, fajnym chłopakiem. Niby mu na niczym nic zależy, ale jest ambitny i dobrze się uczy. Nadal chce być prezydentem.

Byłam u niego w domu. Rzeczywiście, biednie żyją. Ojciec jest bezrobotny i dorabia gdzieś na budowach na czarno, a mama sprząta u ludzi. Nie zarabia za dużo, ale może dopilnować dzieci, bo nie musi co dzień chodzić do pracy. A ma ich czwórkę. Piotrek jest najstarszy. Bardzo mili ludzie. Kiedyś jeszcze o tym napiszę.

To niesprawiedliwe, że jedni mają wszystko, a drudzy nic. Ale co można na to poradzić? Jak Piotrek zostanie prezydentem, to zabierze swoją rodzinę do pałacu prezydenckiego i jego mama nie będzie już musiała nic robić, a tata dostanie jakąś pracę, żeby się nie nudził, bo strasznie nie lubi być bez pracy. Taki jest.

Piotrek nie ma komputera i może korzystać tylko z tych, co są w szkole, ale tam czasem trudno się dopchać, tylu jest chętnych. Jak się przeprowadzimy, to zaproszę go do nas, bo będę mieć swój pokój i swój komputer. I wtedy będzie sobie mógł posiedzieć przy komputerze tyle, ile będzie chciał.

Ma razie to nie mamy wiele lepszych warunków niż Piotrek. Tyle że mamy więcej pieniędzy.

Piotrek jest bardzo zdecydowany. Jak powiedział, że będzie prezydentem, to będzie. Ja w to wierzę. Bo zawsze dotrzymuje słowa. Jak powiedział, że poprawi średnią ocen, żeby dostać stypendium, to poprawił i jest teraz najlepszy w swojej klasie. Stypendium jest nieduże, ale zawsze coś. Ja się nie muszę martwić o nic, bo Sabina i Maks zawsze mi kupują wszystko, czego potrzebuję. I to też nie jest sprawiedliwe. Ale Piotrek powiedział, że jest. Bo on ma rodziców, ale nie ma pieniędzy, a ja odwrotnie i w sumie to się wyrównuje.

Nie chodzimy do tej samej klasy. Ja chodzę do innej i musiałam mieć indywidualne nauczanie z niektórych przedmiotów, bo jak wróciłam z Ameryki, to z jednych przedmiotów byłam lepsza, a z drugich gorsza. Na przykład z polskiego byłam gorsza.

To wszystko przez Sabinę. Kazała mi czytać jakieś głupie lektury, których teraz już nikt nie czyta i jak przyjechałam i zaczęłam o tym mówić, to wszyscy pękali ze śmiechu. Sabina sprowadzała te lektury z jakiejś wysyłkowej księgarni w Chicago i musiałam je czytać, a kiedy mówiłam, że w internecie jest inny wykaz

lektur, to mówiła, że to tylko wykaz orientacyjny, a nauczyciele w Polsce sami dobierają, lektury i że nikt nie zrezygnuje z dorobku kultury polskiej i może będzie obowiązywać to, co ją obowiązywało w szkole.

No i czytałam.

Takiego choćby „Antka”. Antek żył bardzo dawno temu, pasł krowy i świnie, ale nie. chciało mu się nic robić i zamiast pilnować tych zwierząt gapił się na wiatrak i strugał z drewna jakieś rzeźbki, a krowy w tym czasie, wchodziły w szkodę. Całe życie, baki zbijał i matka nie miała z niego żadnego pożytku, dorósł i niczego się nie nauczył, aż w końcu matka kazała mu iść z domu. Co to w ogóle jest za przykład dla młodzieży? - mówiłam. - Przecież to leń i obibok, który powinien dostać w tyłek, żeby nauczyć się rozumu, a nie powinien być stawiany za wzór. Ale Sabina była innego zdania. Mówiła, że on nie ma być wzorem, tylko przykładem, jaki ciężki los miały dawniej dzieci. Przepytywała mnie i mówiła, jak to wszystko mam interpretować. I w ogóle nie chciała słuchać, jakie ja mam zdanie na ten temat.

A w Polsce wyszło na moje.

Sabina była bardzo zdziwiona, że „Antek” już nie obowiązuje.

Myślę, że Piotrek ma rację i że posada prezydenta to jest najlepsza fucha ze wszystkich. W internecie czytałam, że w niektórych krajach prezydenci mają trochę roboty, bo jak jest system prezydencki, to trzeba rządzić i zajmować się sprawami państwowymi. Na przykład w USA. Ale nawet jak jest coś do roboty, to przecież taki prezydent zatrudnia mnóstwo ludzi, którzy za niego myślą i za niego wszystko robią. Więc każdy może sobie dać radę. Nawet głupek. A Piotrek głupkiem nie jest. I jak mówi, że zostanie prezydentem, to na pewno zostanie. Szczególnie, że w Polsce prezydent nie musi nic robić. Piotrek mówi, że u nas stanowisko prezydenta jest dekoracyjne i że mu to odpowiada.

Nie wiedziałam, że Piotrek po nocach pracuje, żeby pomóc rodzicom. Kiedyś, kiedy siedzieliśmy na ławce przed szkołą i ja coś opowiadałam, Piotrek zasnął. Szturchnęłam go, bo co on sobie wyobraża, ja coś mówię, a on śpi.

Ocknął się i przeprosił, ale zobaczyłam, że ma strasznie zaczerwienione oczy. Spytałam go, czy oczy go bolą. Powiedział, że nie i że jest tylko niewyspany. No to ja zażartowałam, że pewnie balował po nocy. Ale nic nie odpowiedział,

więc zaczęłam podejrzewać, że może bierze narkotyki, bo koło szkoły kręcili się tacy podejrzani goście, i niektórzy starsi chłopcy i dziewczyny coś od nich kapowali.

Ja się tym brzydziłam.

Nie cierpię nie panować nad sobą i nie wiedzieć, co się ze mną dzieje. Człowiek czuje się jak kot w worku. Można go zabić, utopić, albo zostawić samego, żeby zginął. Wiem, jak to jest, bo kiedyś czegoś takiego użyłam. Poczęstowała mnie koleżanka i potem nie wiedziałam, gdzie jestem, ani kim jestem i rzygałam.

I więcej tego nie spróbuję. Sabina nic nie zauważyła, bo od razu poszłam spać, ale trzeba być debilem, żeby brać coś takiego i tak się potem czuć.

Więc kiedy zobaczyłam Piotrka takiego nieprzytomnego, to od razu przyszło mi na myśl, że się narkotyzuje. I że muszę go z tego wyciągnąć, bo szkoda, żeby taki mądry chłopak, który chce być prezydentem, się zmarnował.

Nie należę do tych durnych dziewczyn, które lubią się poświęcać. Uważam, że jak ktoś chce się zmarnować, to jego sprawa i inni z tego powodu nie powinni marnować swojego życia. Ale. Piotrek był moim kumplem i nie był głupi. Może wystarczy, jak przemówię mu do rozumu? Powiedziałam: Powiedz mi, co brałeś?.

Nic - odpowiedział. Przecież widzę - zirytowałam się. Co widzisz? No, widzę, że nie. kontaktujesz. Bo jestem niewyspany -ziewnął. Nie kłam - powiedziałam. Nie. kłamię.

Zastanowiłam się. Do tej pory mnie nie okłamywał, to dlaczego miałby teraz kłamać? Niektórzy to się nawet chwala, że palili trawkę albo brali coś tam. Wice dlaczego on miałby się wypierać? To co robiłeś w nocy? - zapytałam. Pracowałem -odrzekł. I powiedział, że musi trochę dorabiać, bo rodziców nie stać na wszystko. Spytałam, gdzie pracuje i dlaczego w nocy. Powiedział, że sprząta w sklepie i że może sprzątać dopiero po zamknięciu. A zamykają o dziesiątej wieczorem. Myślałam, że przynajmniej dobrze mu za to płacą. Machnął ręką i powiedział, że o wiele za mało za tę robotę. Ale tylko tam chcieli go przyjąć i nie pytali o wiek. Jest wyrośnięty, to co ich obchodzi, ile ma lat? Piotrek zarabia na wakacje. Chce pojechać nad morze i zabrać swojego brata na kilka dni, ponieważ jego brat jeszcze nigdy nie był nad morzem.

Zrobiło mi się. głupio. Ja objeździłam już pół świata, a jego brat nie był nawet nad morzem.

Teraz jeszcze bardziej szanowałam Piotrka.

I nie zdziwiłam się, kiedy po przeczytaniu w gazecie, że prezydent udał się na urlop, powiedział: Dobrze jest nic nie robić i jeszcze potem odpocząć.

- Flora, muszę z tobą koniecznie porozmawiać - powiedziała przez telefon Sabina.

- Ja też. Bo Zeniu nie wie, czy wszystkie pokoje malować na biało, czy będzie kolor. Właśnie miałam do ciebie dzwonić w tej sprawie. Ja uważam, że można dać kolor. Zeniu też tak myśli. No, ale to ty decydujesz.

- Musimy się spotkać.

- Dobrze. To przyjadę do was. Zeniu będzie jechał za godzinę, to mnie podwiezie.

- Nie, nie. Ja do ciebie przyjadę. Zobaczę, jaki jest postęp robót. Poza tym chciałabym porozmawiać bez świadków. A u nas... Sama wiesz. Albo spotkajmy się gdzieś na mieście.

- Może być tutaj. Pracownia Maksa już prawie gotowa, bo Zeniu zaczął od góry, to możemy tam pogadać. Zaraz poproszę, żeby nam ktoś wniósł fotele i stół. Mój dawny pokój już jest w remoncie, więc przeniosłam się na razie na górę. Bardzo fajny wyszedł ten strych, mówię ci. Sama zobaczysz.

- Dobrze. To jadę. Kupić coś? Jakies ciastka może?

- Nie. Zeniu kogoś wyśle do cukierni, to kupi. A co byś chciała? Może być szarlotka?

- Może.

Kiedy Sabina przyjechała, prawie nie poznała otoczenia. Trawę wokół domu pokrywała folia, a dom odarty z tynku wyglądał jak ruina. Flora wybiegła na przeciw.

- Zobacz, jak oni to profesjonalnie robią! - powiedziała. - Teraz będą kłaść świeży tynk.

- Jezu! Flora! Opamiętaj się! Ja nie mam pieniędzy na taki remont! Z czego ja to zapłacę?!!

- Nic się nie martw. Zeniu kupi od Maksa obrazy i jakoś to załatwimy.

- Załatwimy?! To znaczy kto?

- No, ja i Zeniu.

- Boże! Robotnicy jeszcze są?

- Nie. Już po fajrancie. Oni pracują od siódmej rano do siódmej wieczorem. Z przerwą na obiad. Jak wejdiesz do środka, to oczy ci wyjdą na wierzch. Zobaczysz. Za dwa tygodnie powinien być koniec.

Weszły po zakurzonych schodach na strych i Sabina rzeczywiście osłupiała z wrażenia. Podłogę pokrywała brązowa terakota, ściany były wyłożone drewnem, ukosy zlikwidowane, a w suficie zamontowano okna. Wzdłuż ścian, przy podłodze widać było zamykane schowki.

- Aż szkoda tego strychu na pracownię — powiedziała zaskoczona.

- Widzisz? Zeniu to ma głowę.

- Posłuchaj - powiedziała Sabina, kiedy usiadły - właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

- To znaczy o czym?

- Wybacz, ale czy ty się przypadkiem nie zakochałaś w tym wytatuowanym osiłku?

- Tak - przyznała Flora bez mrugnięcia okiem. - Zakochałam się.

- Flora! Bój się Boga! Czyś ty zwariowała?? Zakochujesz się co pięć minut, coraz to w kim innym. Najpierw w panu mecenasie. Teraz w panu Zenku. Czy ty masz piętnaście lat? A jeszcze w dodatku jesteś od nich starsza.

- No, to co? Czy starszym ludziom to już się nic nie należy? Uważasz, że starsze osoby powinno się usypiać u weterynarza? Jak stare psy?

- Przecież między wami jest chyba z dziesięć lat różnicy!

- Piętnaście.

- O, Boże!

- No i co z tego?

Sabina westchnęła.

- No, dobrze. Ale o czym ty z nim rozmawiasz?

- O wszystkim.

- To znaczy?

- No, o wszystkim. Zeniu ma bardzo chłonny umysł.

- Mhm. Zresztą, to nieważne. Remont się skończy, to się i wasz romans skończy.

- To nie jest żaden romans. Wychodzę za Zenia za mąż. Właśnie chciałam ci to powiedzieć.

- Zwariowałaś??!!

- A niby dlaczego tak uważasz?

- Przecież ty masz doktorat, a on? Może ma zasadniczą szkołę zawodową, a może i nie ma.

- Ma.

- Co ma?

- Zasadniczą szkołę. A czy to jego wina, że nie mógł się uczyć, tylko musiał iść do pracy?

- Przecież to mezalians!

- Jaki mezalians? Kto dzisiaj używa takich określeń? Nie bądź staroświecka.

- No, ale ty, osoba z doktoratem...

- Wiesz co? Mój doktorat to można o kant dupy potłuc. Wiesz, z czego robiłam doktorat? Z endemicznej roślinności w miejscowości Dzikie Bagno na Lubelszczyźnie, Opisywałam jakieś trawki, jakieś odmiany łąkowych storczyków czy dzwonek. Siedziałam na tym bagnie dwa lata. I wiesz, co tam dzisiaj jest? Stoją betonowe bloki i mieszkają w nich górnicy z pobliskiej kopalni i gównem ich obchodzi mój doktorat. Tyle jest wart ten mój tytuł. A Zeniu pokazywał mi domy, które budował. Przepiękne wille, które przetrwają lata. I jak to można porównać z moim doktoratem?

- Ale...

- Co ale? Weźmiemy ślub, wyprowadzę się do Zenia do Pruszkowa, ma piękny dom, właśnie go kończy, wy przeprowadzicie się tutaj i będziemy się odwiedzać.

- Do Pruszkowa?! Przecież... Przecież tam jest mafia!

- No i co z tego? Sądzisz, że cały Pruszków jest w mafii? A poza tym Zeniu się nie boi, bo budował willę szefowi mafii i jest pod ochroną.

Sabinie zjeżyły się włosy na głowie.

- Jest zaprzyjaźniony z szefem mafii??!!

- Zaraz tam zaprzyjaźniony! Po prostu jest w dobrych stosunkach, bo ma dom po sąsiedzku. Więc jak to z sąsiadem. Trzeba dobrze żyć, nie?

To było za dużo na Sabiny nerwy.

- Flora. Ja już nie chcę tego remontu. Ja już mam tego wszystkiego dość. Unieważnijmy tę transakcję. Ja wiem, co to znaczy prokuratura i ja nie chcę iść do więzienia.

- Ale za co miałabyś iść do więzienia? Nie rozumiem cię.

- Za kontakty z mafią.

- Nie wygłupiaj się. Jakie kontakty? Zeniu prowadzi legalną firmę budowlaną, płaci podatki, finansów pilnuje mu dyplomowany księgowy, ma swojego adwokata, wszystko jest w porządku i jakby nawet ktoś chciał się przyczepić, to nie ma do czego. Myślę, że weźmiemy ślub w sierpniu. Będziesz moim świadkiem.

To nawet nie było pytanie, tylko stwierdzenie, tak jakby to była oczywistość.

- A dzieci pewnie mają ci nieść welon? - powiedziała z sarkazmem Sabina.

- Dobrze by było, ale nie wiem, czy wypada w tym wieku w welonie.

- W tym wieku to już w ogóle nic nie wypada - powiedziała Sabina i podniosła się.

- Tak. Wiem. Już się na ten temat wypowiedziałas. Zawiozłabyś mnie do uśpienia. Zobaczmy, czy będziesz tak samo myśleć, jak będziesz mieć tyle lat co ja.

- Wiesz co? Ja już chyba pójdę. To za dużo na moje nerwy. Muszę się trochę uspokoić.

- A co z tymi kolorami?

- Z jakimi kolorami?

- No, przecież w ogóle tego nie omówiliśmy. A Zeniu jutro chce malować. Chodź, pokażę ci łazienki. Zeniu powymieniał kafelki, bo powiedział, że nie może patrzeć na te starocie.

- Ale ja nie mam pieniędzy! - jęknęła Sabina.

- To cię nic nie będzie kosztować. To z resztek, które zostały po budowie domu Zenia. Marmur. Widzisz? No, trochę tam trzeba było dokupić, ale naprawdę niedużo. To będzie prezent od nas. Chodź, zobaczysz, jak to teraz wygląda. Nie do poznania. Mówię ci.

Flora po kolei pokazywała Sabinie innowacje wprowadzone przez pana Zenka. Rzeczywiście, wszystko było nie do poznania. Nowe armatury, nowe kafelki, a nawet nowe drzwi.

- Nie wierzę własnym oczom! Flora, przecież nikt nikomu nie robi takich prezentów! Niby z jakiej racji?? Jak wystawi mi rachunek za ten prezent, to się pewnie nie pozbieram ze śmiechu.

- Nic się nie martw. Zeniu to robi dla mnie. Powiedziałam, że jest mi wstyd, że wam sprzedałam taką ruinę, ale nie zdawałam sobie sprawy ze stanu technicznego tego domu, bo się na tym zupełnie nie znam. Wtedy Zeniu powiedział, że

on naprawi ten mój błąd. To co z tymi kolorami? Myślę, że można dać jakieś jasne, pastelowe.

- Można. Ale bardzo jasne. A salon niech zostanie biały.

- Nie chcesz koloru?

- Nie.

- Jak uważasz.

Sabina wpisała na kartce, gdzie ma być jaki kolor, i wróciła do domu. Prawdę mówiąc, była zupełnie zdruzgotana.

- Wiesz co - powiedziała do Maksa - Flora wychodzi za mąż za tego osiłka. Wyobrażasz sobie?

- No i dobrze - odpowiedział Maks.

- Jak to? Nie dziwi cię to? Jest od niej młodszy o piętnaście lat. I ma tylko zasadniczą szkołę.

Maks wzruszył ramionami.

- I co z tego? Ona mu imponuje wiedzą, będzie się mógł chwalić taką wykształconą żoną, wiek tu nie gra roli. A on jej...

- No, no, słucham. Czym on jej imponuje, bo nie mogę zgadnąć. Tymi artystycznymi tatuażami?

- A on jej... No, nie wiem. Pewnie się zakochała. Sabina pokiwała głową.

- To chyba jedyne wytłumaczenie.

Flora jest dziwną osobą.

Nawet ją lubię, ale nie bardzo rozumiem, zadaje się z takim facetem, że aż trudno o tym pisać, facet może nie jest całkowitym idiotą, ale jednak jest przeraźliwie głupi.

Jak nieraz słucham jego rozmów z Florą, to aż mi się słabo robi. Czy on w ogóle do szkoły nie chodził? Czasami własnym uszom nie wierzę. A Flora jest zachwycona, że poszerza mu horyzonty. Tak mówi.

Ja to bym wolała faceta, mądrzejszego od siebie. Takiego jak Maks, który bardzo dużo wie i chociaż nie mówi dużo, ale jest mądry i jeśli coś mówi, to można słuchać i słuchać. Jak byłam mała, to bardzo dużo mi opowiadał o malarzach, stylach i okresach w sztuce i bardzo dużo się od niego nauczyłam i potem popisywałam się tą wiedzą w szkole. Maks wie bardzo dużo o historii sztuki. W muzeum wcale nie warto zwracać uwagi na przewodnika, jeśli się jest z Makssem, bo Maks wie dużo więcej i mówi o wiele ciekawiej i można mu zadawać pytania i zawsze zna odpowiedź, a przewodnik nie zawsze.

Chciałabym pojechać do Włoch.

Ale nie tak na parę dni, dziś zwiedzamy do południa Rzym, po południu jedziemy do Florencji, we Florencji mamy dwie godziny na zwiedzanie miasta, potem obiad i jedziemy dalej do Wenecji, w Wenecji jesteśmy trzy godziny i proszę się nie spóźnić na zbiórkę, bo nie ma czasu, musimy zdążyć jeszcze coś zjeść i wracamy do Polski. Byłam ze szkołą na wycieczce w Krakowie i Wieliczce i wiem, jak to jest. Nic z tej wycieczki nie pamiętam, bo cały czas się spieszyliśmy.

Na taką wycieczkę to bym nie chciała jechać.

I jeszcze chciałabym pojechać do Egiptu. I do południowej Afryki. Zobaczyć miejsce, gdzie spotykają się dwa oceany. W ogóle dużo jest miejsc, w których jeszcze nie byłam i gdzie chciałabym być.

A pan Zenek to w ogóle nie ma takich potrzeb. I się dziwi, że ludzie jeżdżą po świecie. A jak Flora powiedziała, że ona jednak chciałaby gdzieś pojechać, na przykład do Grecji, to zapytał po co. Zabić się można.

Ale ona się zupełnie tym nie zraża. Zaczęła, mu tłumaczyć, że tam są starożytne ruiny warte obejrzenia, a pan Zenek na to:

- No, byłoby co remontować.

Jak z takim facetem można rozmawiać? Chyba, że to miał być taki żart.

Naprawdę, współczuję Florze. Ale może nie warto jej współczuć, bo sama tego chciała i sama wybrała sobie tego pana Zenka. Kiedyś zobaczyłam taką scenę.

Pan Zenek pokazywał Florze tatuaże na rękach i tłumaczył, co który obrazek znaczy. A potem ściągnął koszulę i pokazał jej tors. Na przodzie miał wytatuowaną twarz, która się krzywiła, jak poruszał mięśniami. Flora chichotała, a pan Zenek się popisывał, coraz to inaczej napinając mięśnie. A potem się odwrócił i pokazał Florze artystyczny tatuaż na plecach. Tak mówił. Że to artystyczny tatuaż. Nie wiem, co na nim było, bo nie widziałam, ale na Florze zrobiło to wrażenie. A pan Zenek powiedział do niej: I to jest jeszcze nie wszystko! Ale resztę pokażę ci po Ślubie, bo teraz nie wypada.

Flora znowu zachichotała, pan Zenek założył koszulę i zaczęli się całować, na co już w ogóle nie mogłam patrzeć, bo chciało mi się rzygać.

Na szczęście pan Zenek kazał mi się wyprowadzić do Sabiny i Maksa. Pewnie nie chciał mieć świadka.

Jakbym dłużej tam pobyła i patrzyła na te ich czułości, to pewnie w ogóle zniechęciłabym się do facetów i została starą panną, albo dostałabym jakiegoś uczulenia z obrzydzenia. Wysypki, krost, czy łuszczenia skóry. Podobno są takie nerwowe reakcje. Całe szczęście, że tego uniknęłam.

Ta wiadomość zelektryzowała wszystkich. Postępowanie karne przeciwko Sabinie zostało umorzone.

- Boże, co za ulga! - powiedziała Sabina i odetchnęła głęboko. - Teraz tylko sprawa adopcyjna i możemy wreszcie spać spokojnie.

- To już nie pójdziesz do więzienia? - zapytała Fuksja.

- Nie, córciu.

Sabina objęła Fuksję i przytuliła.

- Chodźcie, pójdziemy gdzieś, żeby to uczcić. Na ciastka, na lody, na co chcecie.

- Ja chcę lody - zadeklarował Robert. - Waniliowe i czekoladowe. I malinowe.

- A ja tartę z owocami. I sok - natychmiast skontrowała Fuksja.

- Dobrze. Kupię wam, co tylko chcecie.

- Obiecałaś komputer – przypomniała Fuksja.

- To nie dzisiaj. Dzisiaj idziemy wyłącznie w celach. rozrywkowych.

- Komputer to też rozrywka.

- Nie marudź. Na komputer przyjdzie czas. Maks! Zbieraj się! Co tak siedzisz?

- Prawdę mówiąc, nie bardzo mam ochotę dzisiaj gdzieś wychodzić - powiedział Maks, ale widząc wpatrzone w niego z oczekiwaniem trzy pary oczu, podniósł się i zdecydował: - No, dobrze. Chodźmy. Może podjedziemy do Flory? Zobaczmy, co tam zdziałał pan Zenek.

- Nie będziemy mu się plątać po budowie. Przecież prosił, żeby mu nie przeszkadzać. Sam zadzwoni, jak skończy. Poza tym Flora wszystkiego pilnuje. Idziemy.

Wyszli na ulicę.

Fuksja, oczywiście, natychmiast zaczęła się wymądrzać. Na każde odezwanie się Roberta miała gotową odpowiedź.

Minęła ich pani z płowym psem na smyczy.

- To jest labrador - powiedział Robert.

- Labrador? Czy ty w ogóle wiesz, jak labrador wygląda?

- A co to jest?

- Mieszaniec.

- Właśnie, że labrador.

- Kundel!

- A skąd wiesz?

- Przecież widać. To jest mieszaniec. Krzyżówka. Tylko nie wiem czego z czym. Ale na pewno czegoś z czymś. Prawda, Sabina?

- Tak. Na pewno czegoś z czymś.

- Widzisz?

- Dzieci! Najlepiej pobiegnicie i zapytajcie tę panią, co to jest. Może nosorożec. Albo żyrafa? Albo skrzyżowanie słonia z krową?

Fuksja się nadała.

- Ty to zawsze obracasz wszystko w żart.

- No, bo jak można przy was zachować powagę? Zresztą mam dzisiaj naprawdę dobry humor.

Weszli do kawiarni.

- Zamówmy sobie wino - powiedziała Sabina. - Wypijemy za pomyślność. I za to, że wszystko się dobrze skończyło.

- No, jest okazja - kiwnął głową Maks.

Wypili wino, dzieci dostały obiecane słodkości i postanowili pojechać do parku. Łazienki były zatłoczone, jak zwykle, ale dzieciom to nie przeszkadzało. Hasały po alejkach i trawie, a Sabina i Maks spacerowali dostojnie jak stare, dobre małżeństwo. W końcu wszyscy się zmęczyli i przysiedli na ławce naprzeciw stawu, po którym leniwie pływały łabędzie. Kolejną sprzeczkę z Robertem przerwała nagle w pół zdania Fuksja i wlepiła wzrok w nadchodzącą powoli parę. Ona była wysoką, elegancką blondynką, a on niższym od niej prawie o głowę, łysiejącym panem z brzuszkiem. Maks zerwał się i uklonił. Pani zdawkowo kiwnęła głową, pan się odkłonił i oboje zniknęli na zakręcie.

- Kto to był? - zapytała Sabina.

- A tacy znajomi - wybełkotał Maks.

- Piękna kobieta. Trochę za wysoka dla niego. Ale piękna. Wiesz, zastanawiam się, dlaczego te młode, piękne dziewczyny wiążą się z takimi nijakimi facetami, w dodatku starszymi od siebie. Żeby choć był przystojny.

- No, ona już nie jest taka młoda - powiedział Maks.

- Nieważne. Przecież mógłby być jej ojcem. Nie rozumiem tego. Co one widzą w tych starych piernikach?

- Pieniądze - posiedział Maks i podniósł się. - Wracamy. Późno się robi.

Wyszli z parku i wrócili do domu.

Fuksja przez całą powrotną drogę nie powiedziała już ani słowa.

Chyba pójdę do piekła.

Tak powiedziała pani katechetka.

Nie wiedziałam, że w Polsce są tacy nauczyciele, którzy nazywają się katecheci.

I że mówią całkiem co innego niż pozostali nauczyciele. Uczą religii i przygotowują dzieci do różnych obrządków religijnych, ale też zajmują się biologią, geografią i życiem w rodzinie.

I to się wszystko razem kupy nie trzyma.

Ja w Ameryce na żadną religię nie chodziłam i takie lekcje to była dla mnie nowość. No i skończyło się awanturą.

Pani katechetka powiedziała, że wszystko, co żyje na ziemi, stworzył Pan Bóg, a człowieka stworzył na obraz i podobieństwo swoje.

To ja wtedy powiedziałam, że to nieprawda.

Dziecko, co ty mówisz? - przestraszyła się pani katechetka. Mówię, że to nieprawda, co pani powiedziała, bo dzisiaj żyją zupełnie inne zwierzęta niż dawniej. I to nieprawda, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Bo człowiek jest taki sam jak inne zwierzęta. Ma oczy, nos, uszy, tak samo je i wydała, i tak samo się rozmnaża, to znaczy, że nie jest taki jak Pan Bóg. Bo wtedy Pan

Bóg też musiałby być podobny do zwierząt. A przecież Pan Bóg nie może być podobny do psa, czy kota, czy do jaszczurki. Pani katecheta bardzo się zdenerwowała i powiedziała, że to jest bluźnierstwo.

A co to jest bluźnierstwo? - zapytałam, bo nie znałam tego słowa.

Pani katecheta się zaczerwieniła i wybulgotała, że za takie słowa idzie się do piekła. A gdzie jest piekło? – chciałam wiedzieć. Wtedy kazała mi wyjść z klasy. Ale dlaczego mam wyjść? - próbowałam jeszcze dyskutować, ale to już nie miało sensu. Cała klasa od jakiegoś czasu chichotała. Raz ciszej, raz głośniej, ale czułam, że większość jest po mojej stronie. Wyjdź! - krzyknęła pani katecheta i uderzyła dłonią, w stół.

Więc wyszłam. I poszłam do domu.

Od tego czasu nie miałam już wstępu na lekcje religii.

Kiedy opowiedziałam to Piotrkowi, powiedział, że w Polsce o takich sprawach się nie dyskutuje i nie zadaje się takich pytań. Zapytałam dlaczego. Bo nie i już. Nie wypada.

Nie mogłam tego zrozumieć. W Ameryce dzieci, które o nic nie pytają, są uważane za niedorozwinięte.

Dlaczego mam nie pytać, jeśli mam wątpliwości? Przecież jak nikt nie będzie o nic pytał, to Polska stanie się krajem debili. Ale chciałam wiedzieć, co Piotrek o tym myśli. Powiedział, że nic nie myśli, i że wszyscy tak robią. Nie mogłam uwierzyć, że to mówi. Przecież to głupie. Nie rozumiałam go. Był przecież mądrym facetem. Więc dlaczego się podporządkowywał? (Strasznie trudny jest ten polski język i nie wiem, czy dobrze napisałam. Muszę to sprawdzić w słowniku, albo zapytam Sabinę). Dlaczego chodził na religię? Kiedyś powiedział, że mu to wisi. I że w ogóle nie wierzy w to, co mówią księża. Więc dlaczego? Bo...bo... – wyjąkał - bo to jest potem potrzebne. Do czego? - zapytałam. No, jak będę na przykład chciał wziąć ślub kościelny. A po co ci ślub kościelny? No, bo... Wszyscy biorą. I co z tego? Musisz być taki jak wszyscy? - napadłam na niego. Albo jak umrę, to ksiądz nie będzie chciał pójść za trumną. Nie wierzyłam własnym uszom. Czy on to wszystko mówi poważnie? Przecież jak umrze, to i tak nie będzie wiedział, czy ktoś idzie, czy nie idzie za jego trumną. Wtedy on powiedział, że tak mówi jego mama. Jego mama, to jego mama. Jej sprawa. Ale on? Czy on na-

prawdę nie ma własnego zdania? Powiedział, że jak będzie dorosły i będzie zarabiał na siebie, to będzie miał własne zdanie.. To już będzie, za późno - powiedziałam. Zaczął się tłumaczyć, że nie chce rodzicom robić przykrości i coś tam jeszcze, ale już nie słuchałam.

Patrzyłam na niego i czułam, że tracę dla niego szacunek. A taki się wydawał mądry facet.

Ale z drugiej strony starałam się go zrozumieć. Miał trudną, sytuację. Nie mógł rozmawiać na takie tematy nawet w domu, bo jego mama była bardzo religijna. Więc chodził na religię od pierwszej klasy, był ochrzczony i był u pierwszej komunii, a teraz miał iść do bierzmowania. Co mógł zrobić? Został wkręcony w takie tryby i trudno mu się było z tego wyrwać.

Ja nie wiem, czy byłam ochrzczona. Chyba nie. Wiem tylko, że u pierwszej komunii nie byłam i właściwie wcale mi na tym nie zależało. Wiesz - powiedziałam do Piotrka. - Powinny w Polsce wyjść takie przepisy, że dzieci mają obowiązek zadawać pytania. A dorośli na nie odpowiadać.

Piotrek nic nie odpowiedział, ale chyba pomyślał to samo, co ja. Że najpierw trzeba by w Polsce zmienić system na prezydencki, potem Piotrek powinien zostać prezydentem i dopiero potem mógłby wydać takie przepisy.

Ale chyba Piotrek nie pali się do takich zmian. Podoba mu się tak jak jest.

Dobrze jest nic nie robić i jeszcze potem odpocząć.

Sabina znowu cichcem czytała pamiętnik Fuksji. No, proszę, czego to się człowiek nie dowiaduje! - myślała. Nawet nie wiedziałam, że próbowała chodzić na religię. Może coś zaniedbałam w jej wychowaniu? Może należało ją jakoś przygotować do życia w Polsce? No, ale przecież próbowałam. Starałam się jak mogłam. A przecież ona nie ułatwiała życia. Ale może to dobrze, że za bardzo nie ingerowałam w jej rozwój? Jest indywidualnością. Niech idzie własną drogą i dokonuje własnych wyborów.

Remont się przeciągał. Już wydawało się, że jest na ukończeniu, ale pan Zenek i Flora zajęci byli zbliżającym się ślubem i roboty zwolniły tempo. W najgorszym stanie była zewnętrzna część budynku. Elewację pokrywały metalowe

rusztowania, ale robotnicy pojawiali się na nich sporadycznie i w końcu Sabina postanowiła interweniować. Zadzwoiła do Flory.

- Słuchaj, przepraszam, że zawracam ci głowę, bo pewnie przed ślubem masz mnóstwo zajęć, ale może pan Zenek mówił ci coś na temat tego remontu? Nie wiesz, kiedy go skończą?

- Wiesz, musiał zabrać ludzi, żeby dokończyć swój, to znaczy nasz dom przed ślubem, więc wszystko się trochę opóźni. Ale zaraz po weselu zabierają się pełną parą za robotę. I w ciągu dwu tygodni skończą. Tak mówił Zeniu.

- Bo już zaczynam się niepokoić, czy zdążą przed zimą.

- No, coś ty? Przed zimą?! Przecież dopiero sierpień!

- Tydzień po tygodniu mija, a my się tu gniciemy jak sardynki w puszcze.

- Nie przesadzaj, że jak sardynki. Obiecuję ci, że zaraz po weselu wszystko zrobią. To jest priorytet. Tak powiedział Zeniu. Więc się nie obawiaj.

- Gdyby pan Zenek ograniczył roboty do tego, co początkowo planowaliśmy, to już dawno byłoby po remoncie.

- Nie narzekaj. Zobaczysz, że będziesz zadowolona.

- Nie wątpię. Tylko kiedy?

- No, przecież ci mówię. Zaraz po weselu.

Tak więc wszyscy z niecierpliwością oczekiwali dnia ślubu.

Przed Urzędem Stanu Cywilnego na Starym Mieście zebrał się tłum weselników, których sale urzędu nie zdołały pomieścić. Wszystko odbywało się z wielką pompą, wystawnie i hucznie. Przygrywała wynajęta na tę okazję orkiestra, a kelnerzy częstowali wszystkich szampanem. Flora wyglądała wyjątkowo ładnie i młodo, ożywiona i zaróżowiona od emocji. Ubrana w długą, kremową suknię z gipiury wywoływała podziw i komplementy. Włosy miała upięte wysoko i udekorowane kwiatami pomarańczy. Po ślubie cała kawalkada samochodów udała się na wesele do Pruszkowa. Pan Zenek w białym smokingu zadawał szyku

i wszystkim przedstawiał swoją świeżo poślubioną żonę, podkreślając z namaszczaniem jej tytuły:

- Moja żona. Magister, doktor - mówił.

Sabina rozglądała się ciekawie, choć dyskretnie. Jak też mogą wyglądać polscy mafiosi? - myślała. Bo nie ulegało wątpliwości, że pan Zenek musiał ich zaprosić, przynajmniej niektórych. Który to może być ich szef? - zastanawiała się.

Nie wiedziała, biedaczka, że właśnie z nim, jako świadkiem, podpisywała dokument ślubu Flory i pana Zenka.

Przed ślubem pan Zenek zaprosił Maksa do pustej jeszcze willi i skontaktował go z projektantem wnętrz, aby razem ustalili ostateczny wygląd domu. Designer obejrzał portfolio Maksa, wybrał kilka obrazów i wyglądał na bardzo zainteresowanego jego twórczością.

Maks wrócił ze spotkania bardzo podniesiony na duchu.

- Wiesz - mówił do Sabiny - to może zaowocować stałą współpracą z tą firmą designerską. Mają bogatą klientelę, więc na cenach nie oszczędzają. A teraz, za to, co pan Zenek zapłaci mi za obrazy, mogę rozliczyć cały remont. Pewnie tego się nie spodziewał. Może myślał, że sprzedaje obrazy po tysiąc złotych?

- Może się i nie spodziewał. Albo może miał nadzieję na zniżkę?

- Mogę mu jakąś zniżkę dać. W końcu to nie jest pazerny facet, to i ja nie będę pazerny. Najważniejsze, że kupił te obrazy.

Teraz mogli oboje podziwiać efekty pracy Maksa.

Obrazy były dobrze oświetlone, a projektant umiejętnie wkomponował je w bardzo nowoczesne wnętrze i prezentowały się naprawdę pięknie, wywołując zainteresowanie gości.

W pewnym momencie podeszła do Sabiny Flora.

- Wiesz - powiedziała z ożywieniem - ten szef mafii ma takie samo nazwisko jak Fuksja. Powiedziałam mu o tym. Bardzo był zaskoczony. Chciałby ją poznać. I wiesz, co jeszcze powiedział? Że też ma córkę w tym wieku, ale nie wie, gdzie

ona teraz jest, bo wyjechał i z jej matką nie utrzymuje kontaktów. Może Fuksja to jego córka?

Sabina zbladła.

- Flora, czy ty w ogóle czasem myślisz?? Bo wygląda na to, że nie. Co ty najlepszego zrobiłaś? Po co mieszasz w sprawę Fuksji szefa mafii?!

- Domniemanego szefa mafii.

- Niech będzie domniemanego. Czy ty wiesz, czym to się może skończyć? Dopiero co przeżyła jeden szok, a teraz fundujesz jej drugi. Jeśli okaże się, że ten typ ma coś wspólnego z Fuksją i ona się o tym dowie, to ja cię zabiję. Obiecuję ci to pod przysięgą.

- Ale dlaczego się denerwujesz? Nic się przecież nie stało!

- Jeszcze się nie stało. A jeśli się stanie? Po szefie mafii na pewno niczego dobrego nie można się spodziewać.

- Dlaczego? Taki sam człowiek jak inni.

- Flora, to, co mówisz, jest naprawdę obezwładniające. Taki sam człowiek jak inni?!! Tylko, że uczciwi ludzie nie siedzą po więzieniach, a mafia tak.

- A Maks? Był niewinny, a siedział. A ty? Też jesteś niewinna, a chcieli cię wsadzić. Nie można osądzać ludzi według tego, co inni o nich mówią. To naprawdę sympatyczny człowiek.

- Tacy sympatyczni ludzie porywają dla okupu, obcinają ofiarom palce, mordują i kradną. I handlują narkotykami.

- Mówię ci, nie oceniaj nikogo według tego, co inni mówią.

- Zabieram dzieci i wracamy do domu. Lepiej będzie, jak zabiorę stąd Fuksję. Nie będę czekać, aż stanie się jakieś nieszczęście.

- Jakie nieszczęście może jej się tu przytrafić? Zobacz, jak się świetnie bawi.

- Który to jest ten szef?

- Jak to? Nie wiesz? Przecież był świadkiem na naszym ślubie. Razem z tobą.

- To ten?!

- Ten. Czy nie sympatyczny? Mówią na niego Korniszon.

- Flora, ja chyba zaraz dostanę zawału. W co ja się wplątałam?!

- Nie przesadzaj - ucięła Flora i odeszła, bowiem zbliżał się pan Zenek, a nie chciała przy nim kontynuować niewygodnego tematu.

Wesele się rozkręcało.

Sabina chciała jak najszybciej wracać do domu, ale Maks upojony sukcesem i wyrazami podziwu, nie spieszył się. Coraz to ktoś podchodził do niego i gratulował, więc Maks przyjmował hołdy i pławił się w uznaniu jak żaba w błocie. Wprost promieniał. Sabina widziała go w takiej euforii po raz pierwszy. Każda próba wyrwania go z towarzystwa kończyła się niepowodzeniem.

W pewnym momencie zobaczyła, że Korniszon rozmawia z Fuksją.

Z biciem serca pospieszyła w stronę rozmawiających. Kiedy znalazła się przy nich, usłyszała urywek dialogu.

- A jak twoja mamusia ma na imię?

- Sabina.

- Na pewno?

- Na pewno.

- A nie jakoś inaczej? Może Maria, albo Zofia, na przykład?

- Nie. Sabina.

- Fuksja! - zawołała Sabina. - Wracamy do domu! Dziewczynka powiedziała grzecznie: „Przepraszam pana”, podeszła do Sabiny i wzięła ją za rękę.

- Idziemy? - zapytała.

- Tak. Musimy już wracać. Robert jest zmęczony. Kątem oka zobaczyła, że Korniszon bardzo uważnie przygląda się dziewczynce.

- Fuksja - zapytała - o czym ten pan z tobą rozmawiał?
 - O niczym właściwie.
 - Ale o czymś rozmawiał.
 - No, pytał mnie o was. O ciebie i o Maksa.
 - A konkretnie? O co mu chodziło?
 - Czy jesteście moimi rodzicami.
 - I co mu odpowiedziałas?
 - Jak to co? Że tak!
 - No i co?
 - I nic.
 - Pamiętaj, gdyby jeszcze kiedykolwiek chciał z tobą rozmawiać, to nic mu nie mów.
 - Przecież nie mówię.
 - W ogóle z nim nie rozmawiaj. To niebezpieczny człowiek. Nie rozmawiaj z nim. I nigdy nie wsiadaj z nim do samochodu, gdyby na przykład chciał cię podwieźć.
 - Przecież ja mieszkam w Warszawie, a on w Pruszkowie. To gdzie miałyby mnie spotkać?
 - Nigdy nie wiadomo. Obiecuj, że nie będziesz z nim rozmawiać.
 - Obiecuję.
- Sabina podeszła do Maksa.
- Chodź. Wracamy.
- Spojrzał ze zdziwieniem.
- Co, już chcesz jechać do domu?
 - Muszę.

- Dlaczego? Nawiązałem doskonale kontakty i może z tego wyjść dobry interes.

- Jak chcesz, to zostań. Ja z dziećmi wracam.

- A co się stało?

- Nie mogę teraz o tym mówić. Porozmawiamy w domu. To co? Idziesz z nami?

- Jeszcze zostanę.

- To zostań.

Sabina zirytowana odeszła od Maksa i wyjęła z torebki komórkę, żeby zadzwonić po taksówkę. Ale zanim zdążyła wykręcić numer, podszedł do niej Korniszon i powiedział:

- Chce pani już wracać? Podwiozę.

- Nie, nie. Dziękuję.

- Właśnie jadę do Warszawy, więc to żaden kłopot. Mogę podwieźć. Niech się pani nie boi, że piłem. Mam kierowcę. Czeka w samochodzie. Proszę za mną.

Przerażona Sabina rozejrzała się za dziećmi. Korniszon pochylił się do Roberta i Fuksji i powiedział:

- No, co? Pojedziecie z wujkiem?

Z jakim wujkiem??!! - pomyślała Sabina. Chroń nas Boże od takiego wujka!

- Mama mi nie pozwala wsiadać do samochodu z obcymi panami - powiedziała Fuksja i spojrzała niepewnie na Sabinę.

- Bardzo dobrze cię mamusia uczy, aleja nie jestem obcy. Byłem razem z twoją mamusią świadkiem na ślubie. Przecież pamiętasz?

Fuksja pokręciła głową.

- Nie pamiętam. Nie patrzyłam.

- No, ale tak było. I teraz jestem waszym wujkiem.

- Wujku, a jaki masz samochód? - zapytał Robert.

- A jakim byś chciał jechać?

- Jaguarem.

- Może być jaguar. Zaraz zadzwonię, to podstawią. Przepraszam, nie zapytałem pani o zdanie. Czy może być jaguar? Synek wybrał.

- Wolę taksówkę.

- Ależ nie ma mowy. I tak mam jechać do Warszawy, to będzie mi przyjemniej jechać w takim miłym towarzystwie. A małżonek nie jedzie?

- Nie. Jeszcze zostaje. Korniszon pokiwał głową.

- Dobrze się bawi. Piękne wesele, prawda?

- Nie o to chodzi. Nawiązał jakieś kontakty biznesowe i musi jeszcze zostać. A dzieci są śpiące.

- No, cóż. Biznes to biznes.

- Ja wcale nie jestem śpiący - zaprotestował Robert.

- Jesteś - szturchnęła go Fuksja.

- Nie jestem.

- Jak mówię, że jesteś, to jesteś.

- Mamo, ona mnie szczypie!

- To żebyś nie zasnął - powiedziała Fuksja.

- No to idziemy - zadysponował Korniszon. - Jaguarem cię przewiozę kiedy indziej - zwrócił się do Roberta. - Teraz pojedziemy mercedesem. Może być?

- Może - zgodził się niechętnie Robert.

Wyszli przed dom. Bezszelestnie podjechał samochód i zatrzymał się przed wejściem.

-No, to wsiadamy.

Kierowca wysiadł i otworzył drzwi. Widać było, że czuje respekt przed szefem. Był wielki, ogolony na łyso i dobrze zbudowany.

Z drżeniem serca Sabina wsiadła do samochodu.

- Może chce pani usiąść koło kierowcy?

- Nie, nie, dziękuję. Wolę z dziećmi.

- Ja ich przypilnuję. Niech się pani nie boi.

- Dziękuję panu bardzo, ale wolę siedzieć koło nich.

- No, trudno - powiedział Korniszon i usiadł z przodu.

- To gdzie jedziemy? - zapytał kierowca.

Ku zaskoczeniu Sabiny Korniszon podał adres.

- Skąd pan wie, gdzie mieszkamy? - zapytała.

- A tak jakoś mi wpadło w ucho. Ktoś mi powiedział.

Boże, Boże, co ta Flora narobiła? - myślała Sabina. Miałam nadzieję, że wszystko się już wreszcie szczęśliwie ułożyło, a tymczasem szykują się nowe kłopoty. I wygląda na to, że jeszcze większe niż przedtem.

W czasie jazdy Korniszon co chwilę się odwracał i usiłował nawiązać rozmowę, ale Sabina udawała, że drzemie.

Dojechali do domu. Kierowca znowu wysiadł i usłużnie otworzył drzwi. Robert w międzyczasie zasnął i trzeba go było obudzić, a Fuksja patrzyła czujnie na Sabinę i trzymała się jej, jakby w obawie, że nowo poznany wujek może ją porwać dla okupu.

- Dziękuję panu. I dobranoc - powiedziała Sabina. Korniszon ucałował Sabinę w dłoń.

- Nie ma za co. Jakby pani coś potrzebowała, transportu, albo coś, to do usług.

Sięgnął do portfela i podał jej wizytówkę.

- Wracamy - powiedział do kierowcy.

- Przecież... - zająknęła się Sabina - przecież mówił pan, że ma pan sprawy w Warszawie.

- Rozmyśliłem się - powiedział Korniszon. - Mam jedno pytanie. Jak ta dziewczynka właściwie ma na imię?

- Fuksja - powiedziała Sabina.

- A pani Flora mówiła, że Adrianna.

- Pomyliła się.

- Ciekawe - powiedział Korniszon. - Ale wyjaśnimy to. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała Sabina.

Ze ściśniętym sercem zabrała dzieci do domu. Kazała im się umyć i iść spać. Sama usiadła w kuchni i zaczęła czekać na Maksa. Chciała z nim na gorąco omówić wszystko, co się zdarzyło, korzystając z tego, że dzieci śpią.

Ale zaczęło świtać, a Maks nie wracał.

W końcu zmęczona postanowiła się położyć. Nie mogła zasnąć. Dręczyły ją koszmarne wizje. Co teraz będzie? Jeśli Fuksja rzeczywiście jest córką Korniszona, to kto wie, może będzie chciał ją im odebrać, a już na pewno będzie się starał nawiązać z nią kontakt. Jak ona to przyjmie? Co zrobić? Chyba trzeba będzie z nią poważnie porozmawiać i jakoś uprzedzić. A przede wszystkim trzeba porozmawiać z Florą. Nawarzyła piwa, to musi je teraz wypić. Zmęczona tymi myślami w końcu zasnęła. Nie słyszała, jak wrócił Maks.

I nie widziała.

Bo gdyby widziała, to pewnie rzeczywiście dostałaby zawału.

Bowiem Maksa odwiózł do domu ten sam łysy kierowca, tym samym mercedesem, tyle że tym razem bez szefa.

Kiedy Sabina spotkała się z Florą, zamiast zapytać ją o wrażenia z nocy poślubnej, od razu wyskoczyła z pretensjami.

- Wiesz, co się stało?

- Nie wiem - powiedziała cokolwiek wystraszona Flora.

- Ten typ, ten Korniszon odwiózł nas do domu!

- No, czy nie mówiłam, że to miły człowiek?

- Znał nasz adres!

- No, to co? Zapytał mnie, gdzie mieszkacie, to mu powiedziałam.

- Flora, nie obraż się, ale ja naprawdę zaczynam wątpić w twoją inteligencję. Chyba rzeczywiście doktorat o niczym nie świadczy.

- Ja się na ciebie nie obrażam, ale uważam, że nie masz racji. Jeśli to jest ojciec Fuksji, to ona powinna o tym wiedzieć.

- Nie powinna! To jest gangster!

- Nikt mu niczego nie udowodnił. A poza tym - ojca się nie wybiera. Czy ty wiesz, że on nie ma dzieci i nie ma komu zostawić majątku po śmierci?

- A co? Zamierza umrzeć? To niech umiera! Nikt mu nie zabrania.

- Jesteś cyniczna. Ty wiesz, ilu on ma wrogów? W każdej chwili może przenieść się na tamten świat. Mogą mu podłożyć bombę albo przeciąć hamulce w samochodzie, albo go zastrzelić. I wtedy Fuksja odziedziczyłaby cały majątek.

- Majątek mu skonfiskują.

- Nieboszczykowi?! Jeśli zostałby aresztowany i skazany, to owszem, tak. Ale gdyby został zastrzelony? Jak można coś skonfiskować trupowi? Wszystko odziedziczyłaby Fuksja. I chcesz jej tę szansę odebrać?

- Flora, czyja dobrze słyszę?

- Dobrze.

- Wiesz, chyba sam pobyt w tym Pruszkowie ci zaszkodził. Nie mówię już o towarzystwie, w jakim przebywasz.

- A co ty chcesz od mojego towarzystwa? Zupełnie cię nie rozumiem. A jak tam remont? Mam nadzieję, że zaczęli już coś robić?

- Zaczęli. Nawet szybko im to idzie, ale to nie jest w tej chwili najważniejsze. Boję się o Fuksję.

- Nie bój się. Korniszon jej nie skrzywdzi. Jak mógłby skrzywdzić swoje jedyne dziecko? Jeśli ona jest jego dzieckiem. Bo tego przecież nie wiemy.

- Mam nadzieję, że nie jest. Ale za dużo rzeczy się tu zgadza. Ja chyba skończę w Tworkach.

- Tworki też dla ludzi. Nie przejmuj się.

- Jak się mogę nie przejmować? Pomyślałaś o Fuksji? Jak ona to przyjmie? Przecież to zburzy całe jej dotychczasowe życie!

- No, ale za to zyska ojca.

- Flora, posłuchaj. Błagam cię. Błagam cię na wszystkie świętości. Nie wtrącaj się więcej w tę sprawę. Dobrze? Ja sama spróbuję jakoś to wszystko odkręcić. Tylko nie rozmawiaj już z tym Korniszonem. Trzymaj się od niego jak najdalej. Gdyby cię o coś pytał, mów, że nie wiesz. Może jakoś uda mi się wybrnąć z tej sytuacji.

- Jak chcesz. Mogę mówić, że nie wiem. Ale zastanów się jeszcze. Bo to może być dla Fuksji szansa. Zastanów się jeszcze.

- Nie mam się nad czym zastanawiać.

- A jak robi badania DNA?

- Musiałby mieć materiał porównawczy od Fuksji. A niech się tylko spróbuje do niej zbliżyć.

- To co mu zrobisz? Z Korniszonem nie masz szans. On nie takich ludzi łątviał.

- Widzisz? Sama mówisz, że to gangster.

- Ja tak powiedziałam? Powiedziałam tylko, że ma duże możliwości. Bo ma.

- Ma możliwości, dopóki go nie zamkną.

- No, jak zamkną, to trudno.

- I chcesz, żeby Fuksja przeżywała jego aresztowanie i proces, i żeby się go wstydziła? Czy nie powinniśmy jej tego oszczędzić?

- Może pod tym względem masz rację. Ale z drugiej strony... On podobno prowadzi teraz wyłącznie legalne interesy. Przynajmniej tak mówił. Myślę, że go nie aresztują.

- A jeśli? Poza tym nie wierz w te legalne interesy. Jak ktoś całe życie był gangsterem, to nie stanie się nagle aniołkiem. Na pewno nadal robi to samo, co robił. Nie bez powodu się go boją. I nie bez powodu nienawidzą. Sama mówiłaś, że ma wrogów. Sądzę, że wcześniej czy później pójdzie siedzieć.

- No, rzeczywiście, takie niebezpieczeństwo zawsze istnieje.

Flora zamyśliła się, a potem powiedziała:

- Dobrze. Nie będę się więcej w to wtrącać. Ale chciałam dla Fuksji jak najlepiej.

- Nie wątpię. To jak? Umowa stoi?

- Stoi.

- Pamiętaj. Nic na ten temat nie wiesz i nic nie pamiętasz.

- Jak mogę nie pamiętać, skoro Fuksja mieszkała u nas?

- No, to co? Przecież możesz mieć zaniki pamięci albo sklerozę?

- Mogę.

- No, właśnie.

- Tylko nie mów, że to z powodu wieku.

- Nie, nie, skądże. Aż taka stara to jeszcze nie jesteś.

Sabina wróciła do domu i powiedziała do Maksa zmęczonym głosem:

- Wiesz co? Zaczynam wierzyć w przeznaczenie. Pamiętasz, jak w Ameryce Fuksja wymyśliła sobie ojca gangstera? A dziś okazuje się, że wcale nie była tak daleko od prawdy. Intuicja jakaś, czy co?

- Może to wcale nieprawda.

- Może. Ale powiem ci, że jestem załamana tym wszystkim. Sama już nie wiem, co robić.

- Najlepiej nic.

- Mam się poddać?

- Poczekajmy. Może niepotrzebnie się denerwujesz.

- Może.

Ale wkrótce okazało się, że obawy Sabiny nie były bezpodstawne.

W Polsce, to się w ogóle nie dba o dzieci.

Niby wszyscy się rozczulają nad losem biednych dzieci gdzieś w Bieszczadach, w zabitych dechami wsiach, gdzie mają daleko do szkoły i nie jedzą obiadów, bo w domu bieda, ale tak naprawdę to oprócz tego uzalania się nikt nic nie robi, żeby tym dzieciom pomóc. Nie ma szkolnych autobusów i nawet mole dzieci muszą sobie same radzić i dojeżdżać do szkoły na własną rękę, albo chodzić na piechotę. Chyba że mają zamożnych rodziców, którzy odwożą ich swoimi samochodami. Ale takich dzieci nie ma dużo.

W miastach jest tak samo. Trzeba jeździć komunikacją miejską i to nie jest bezpieczne. A kierowcy w ogóle nie zwalniają przed pasami dla pieszych i łatwo wpaść pod samochód.

W Ameryce to kierowca musi zwolnić i stanąć, jak widzi pieszego, bo wiadomo, że pieszy nie ma żadnych szans w zderzeniu z samochodem. Tak się kierowców uczy na kursach i policja bardzo tego pilnuje. Tak mówiła Sabina, która robiła kurs prawa jazdy w Ameryce.

A w Polsce to jeżdżą tak, jakby polowali na pieszych. I jest mnóstwo wypadków. Nie wiem, z czego to wynika. Maks kiedyś powiedział, że w Polsce kierowcy niedawno przesiedli się z furmanek do samochodów i dlatego jest taka niska kultura jazdy. I że za pięćdziesiąt lat będzie tak samo jak w Ameryce. I co mi z tego?

Za pięćdziesiąt lat to ja już nie będę żyć. A jeśli mnie samochód przejedzie, to nawet wcześniej. Tak czy inaczej na pewno tego nie dożyję.

Poza tym nie ma w szkole śniadań. A jak są jakieś sklepiki szkolne to z coca-colą, czipsami i batonami, a nie z kanapkami i mlekiem czy kakaZem [nie wiem, czy tak się to pisze, muszę sprawdzić]. Klasy są przepelnione, a nauczyciele to nawet nie znają swoich uczniów. Naprawdę najwyższa pora, żeby ktoś z tym zrobił porządek.

Początkowo myślałam, że może Piotrek coś w tej sprawie zrobi, jak będzie prezydentem. Jakaś akcję, czy coś, żeby władze się tym zajęły. Ale teraz już nie wiem, bo coś zaczyna kręcić z tą prezydenturą. Nie mówiąc o tym, że dzisiejsze dzieci to do tego czasu będą staruszkami i nie wiadomo, co wtedy w Polsce będzie. Może już ktoś ten problem rozwiąże?

Poza tym naprawdę, nie wiem, co myśleć o Piotрку. Najpierw chciał, żebym była jego doradcą i ja się na to zgodziłam. Ale co to za zajęcie? Jeździć z prezydentem i pilnować, żeby się nie wygłupił? Więc powiedziałam mu, że będzie sobie musiał znaleźć Innego doradcę, bo ja mam Inne plany. To wtedy on powiedział, że jak chcę, to on może się ze mną ożenić. Pewnie myślał, że to dla mnie wielki zaszczyt.

A może ja też chcę zostać prezydentem? I to nie Polski tylko Stanów Zjednoczonych? I może chcę być jeszcze ważniejsza niż on? Przecież mogę.

A prezydenci się ze sobą nie żenią. Bo to jest niemożliwe.

A zresztą, on mi się w ogóle nie podoba.

Fuksja szła ulicą do domu, kiedy przy chodniku zatrzymał się samochód. Drzwi się otworzyły i wysiadł z niego mężczyzna, który na weselu Flory kazał się Fuksji nazywać wujkiem i ich wszystkich odwiózł potem z Pruszkowa do Warszawy.

- O! - powiedział. - Co za spotkanie! A co ty robisz sama na ulicy?

- Idę do domu.

- Podwieźć cię?

- Nie, dziękuję. To blisko. A poza tym mama nie pozwala mi wsiadać do samochodów z obcymi panami.

- Przecież ja nie jestem obcy.

- Mama i tak mi nie pozwala.

- Mam coś dla ciebie - powiedział. - Prezent. Za dobre stopnie.

- Za jakie stopnie? - zdziwiła się Fuksja. - Teraz są wakacje. Szkoła już dawno się skończyła.

- Ale na świadectwie miałaś dobre stopnie, prawda?

- Prawda.

- No, a ja nie miałem okazji ci pogratulować.

- Dziękuję.

- Dlatego kupiłem ci taki drobny prezencik.

I podał jej dużą bombonierkę z przyklejonym do niej pudełeczkiem, obwiązany wstążeczką. Ale jej nie wzięła.

Pomyślała, że facet pewnie jest pedofilem. Pedofile zawsze najpierw dają prezenty, żeby dzieci nabrały do nich zaufania, a potem porywają i nawet czasem mordują.

- Weź. Otwórz i zobacz.

- Mama nie pozwala mi przyjmować od nikogo prezentów.

- Ach ta twoja mama! A po ulicy pozwala ci chodzić samej?

- Czasem pozwala. Poza tym mam komórkę i mama zawsze wie, gdzie jestem.

- Chodzenie po ulicy jest bardziej niebezpieczne niż przyjmowanie prezentów.

- Nie wiem. Ale mama mi nie pozwala.

- Mama nie musi o tym wiedzieć.

- Ale ja mamie wszystko mówię.

- Nie chcesz prezentu od wujka?

- Pan nie jest moim wujkiem.

- Jestem. Przez to, że byłem z twoją mamą świadkiem na ślubie.

Fuksja nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- A chciałabyś mieć takiego tatę jak ja?

Zwariował, czy co? - pomyślała. Najpierw wujek, teraz tata?!

- Muszę już iść - powiedziała.

- Chciałabyś? Mógłbym ci kupować wszystko, co byś chciała.

No, pedofil. Na pewno pedofil. Nie na darmo Sabina ją przed nim ostrzegła. Na pewno coś o nim wie, tylko nie chciała mówić.

- Ja nic nie potrzebuję. Wszystko mam. I mam już tatę.

- Ale nieprawdziwego. Przecież nie mówisz do niego „tato”, tylko po imieniu. A ja mógłbym być twoim prawdziwym tatą, jakbyś chciała.

- Mój tata jest prawdziwy. A mówię po imieniu bo tak się przyzwyczaiałam.

- A ty jak masz naprawdę na imię?

- Fuksja.

Przypomniała sobie, że w Ameryce miała fałszywą metrykę i miała na niej nazwisko Maksa, a na imię Dalia. Więc powiedziała:

- Ale właściwie to mam na imię Dalia. A nazwisko mam takie jak mój tata. Tak jest napisane w mojej metryce.

- To dlaczego mówią na ciebie Fuksja?

- Bo to kwiatek i to kwiatek. Różnie na mnie mówią. Czasem mówią na mnie po angielsku Daisy, czyli Stokrotka - wymyślała na poczekaniu.

- Pani Flora mówiła, że masz na imię Adrianna.

Nie miała zaufania do tego faceta. Coś jej się w tym wszystkim nie podobało. Dlaczego tak ją wypytuje? Co go obchodzą jej imiona? Lepiej nie mówić mu prawdy. Więc powiedziała stanowczo:

- Pani Flora się pomyliła.

Przez cały czas szła w stronę domu i to coraz szybciej, a ten podejrzany typ szedł koło niej, a samochód z kierowcą jechał wolniutko wzdłuż krawężnika za nimi i Fuksja zaczęła się bać. Czego on chce ode mnie? O co mu chodzi? - myślała.

W pewnym momencie zobaczyła Sabinę, która wracała do domu z zakupami, i podbiegła do niej.

- Co się stało? - zapytała Sabina, widząc zdenerwowanie dziewczynki.

- Ten pan, ten niby-wujek z Pruszkowa mnie zaczepiał i chciał mi dać prezent. Za dobre stopnie - powiedziała zdyszana.

Sabina rzuciła zakupy na chodnik i powiedziała:

- Popilnuj tego.

I popędziła w kierunku samochodu. Ale samochód ją minął i odjechał.

W domu zrobiła się nerwowa atmosfera.

Sabina z Makssem ciągle się naradzali, a kiedy Fuksja wchodziła, to przestawali rozmawiać, co przedtem nigdy się nie zdarzało.

Fuksja doszła do wniosku, że pewnie znowu mają jakieś kłopoty.

Nie tak wyobrażała sobie Sabina ten dzień.

Myślała, że przeprowadzka będzie się odbywać spokojnie i bez pośpiechu, że stopniowo będą urządzać pokój po pokoju w świeżo odnowionym i wysprzątanym domu, i to wszystko będzie się dziać w atmosferze radosnego podniecenia i emocji. Tymczasem któregoś dnia rano zadzwoniła Flora i powiedziała, żeby się pakowali, bo o trzeciej Zeniu podstawia ciężarówkę do przewiezienia mebli i

żeby wszystko było gotowe, bo nie ma za dużo czasu. Spanikowana Sabina wysłała Maksa po kartony do pobliskiego śmietnika za domem towarowym, gdzie personel składał do kontenera paczki po towarze. Przyszedł wściekły, bo wszedł w konflikt ze zbieraczami makulatury, ale przyniósł trochę kartonów. Sabina powiedziała, że to nie wystarczy i że ma pójść jeszcze raz. Odwrócił się na pięcie i poszedł. Sabina z dziećmi wzięła się za pakowanie. Zupełnie jej to nie szło. W dodatku dzieci bez przerwy zadawały pytania. A to gdzie dać? A to do tej paczki czy do tamtej? Mamo, ale to się może potłuc! A gdzie dać ubrania? A książki? A płyty? A komputer?

- Kładźcie, gdzie chcecie. Tylko na wierzchu napiszcie, co jest w paczce. I niech któreś pójdzie do sąsiadów po stare gazety. Będą potrzebne do uszczelnienia paczek. I do przedzielania talerzy i filiżanek z kuchni. Pospieszcie się. Musimy zdążyć przed trzecią.

Kiedy wrócił Maks z resztą kartonów, zobaczył obraz destrukcji i spustoszenia. Nie było gdzie nogi postawić. Przyniósł z sobą kilka rolek taśmy i zabrał się do oklejania paczek. Już spakowane zaczął ustawiać pod ścianą.

- Segregujcie to jakoś, na litość boską! - powiedział. - Przecież potem nikt niczego nie znajdzie! Książki osobno, ubrania Fuksji osobno, Roberta osobno, rzeczy z kuchni osobno. Jakiś porządek musi być.

Pod jego kierunkiem od razu wszystko zaczęło nabierać sensu.

Sabina się uspokoiła, dzieci dostały polecenia, co mają robić i powoli chaos został opanowany, tak, że kiedy przyjechała ciężarówka z dwoma ludźmi do pomocy, można już było wszystko wynosić.

Najpierw zostały załadowane meble, potem pudła i drobne rzeczy, a na koniec Maks zabrał z piwnicy swoje prace i upchał bez ładu i składu na ciężarówkę, bo zaczęło się robić ciemno i trzeba było się spieszyć. Wszystko to zostało zwalone na pryzmę w salonie, robotnicy odjechali, a właściciele tego bałaganu zostali sami w odnowionym, ale wymagającym generalnego sprzątnięcia domu.

- Ja już nie mam na nic siły. Nawet herbaty nie zrobię - powiedziała Sabina. - Prześpijmy się jakoś, a jutro weźmiemy się do sprzątnięcia i układania tego wszystkiego.

Przygotowała prowizoryczne posłania i wszyscy padli ze zmęczenia, nie bacząc gdzie i jak.

Rano Sabina zaprzęгла wszystkich do roboty. Ale widać było, że zadanie przerasta ich siły. I kiedy zadzwoniła Flora, żeby zapytać, jak przebiegła przeprowadzka, Sabina powiedziała zgnębionym głosem, że będzie musiała znaleźć kogoś do pomocy, bo sama nie da rady takiemu dużemu sprzątaniu.

- Jak chcesz, to przyjadę i wam pomogę - powiedziała Flora.

Ale nie okazało się to proste. Kiedy pan Zenek dowiedział się, że Flora chce pomóc Sabinie w sprzątaniu, powiedział stanowczo:

- O, nie. Moja żona nie będzie sprzątać u obcych ludzi.

- Ależ Zeniu, to nie są żadni obcy ludzie, to są moi przyjaciele. I chcę im po prostu pomóc.

- W żadnym wypadku. Żeby doktor, magister i w dodatku moja żona myła podłogi? Nie ma takiej możliwości.

- Ale ja im muszę jakoś pomóc. Sabina nie da sobie sama rady. To jest duży dom. A sam wiesz, ile jest sprzątania po remoncie.

Pan Zenek się zamyślił.

- To ja poproszę tę panią co u mnie, to znaczy u nas będzie sprzątać, żeby im pomogła. Tylko nie wiem, czy się zgodzi. Bo po remoncie, to może nie chcieć. Ciężka robota.

- Jaki ty, Zeniu, jesteś kochany.

- No, widzisz? Ja bym dla ciebie wszystko zrobił.

- Ja dla ciebie też.

Tym sposobem Sabina po dwu dniach życia w totalnym bałaganie i hysterii członków rodziny dostała wreszcie wsparcie. Pan Zenek przywiózł Florę i energiczną panią Józję, która od razu fachowo wzięła się za porządki.

- To ja jadę teraz na budowę - powiedział pan Zenek do Flory. - Jakby coś, to dzwoń. A potem pomogę wam ustawić meble.

Mocno przytulił Florę i cmoknął ją w policzek, a potem puścił do niej oko i odjechał.

- No i jak ci się układa w tym małżeństwie? - zapytała Sabina.

- Przecież widzisz.

- Jesteś szczęśliwa?

- Nie widać?

- No, tak. Ale...

- Wiesz co? To była najlepsza decyzja w moim życiu!

- No, to się cieszę.

- A jak twoje sprawy?

- Ach, różnie. Najgorsze, że ten Korniszon zaczepia Fuksję.

- Co ty powiesz!?

- Już nie wiem, co robić. Sprawa adopcyjna się przeciąga. Jak byśmy wreszcie ją zaadoptowali, to taki Korniszon nic by już nie mógł zrobić, bo byłaby naszym dzieckiem. A tak to jeszcze ciągle jest niczyja i on może się o nią upomnieć. Jeśli naprawdę jest jej ojcem.

Flora nie odpowiedziała.

- Pytałam o to tego twojego pana mecenasa.

- Nie mów mi o nim. Poza tym to nie jest żaden „mój” pan mecenas. Jakby Zeniu usłyszał, to byłby zazdrosny, a nie ma o co.

- Więc on powiedział, że teoretycznie to jest możliwe. Że biologiczny ojciec może wystąpić o przywrócenie praw rodzicielskich. A Korniszon miałby podstawy, bo dziecko zostało wywiezione z Polski i może argumentować, że nie mógł wcześniej się o to starać, bo nie wiedział, gdzie dziecko jest. Ja już nie mam do tego wszystkiego nerwów.

- A czy on... ten adwokat, zrobił coś w tej sprawie?

- Wyobraź sobie, że wbrew pozorom to bardzo myślący i energiczny facet. Sam, bez żadnej inicjatywy z mojej strony, złożył wniosek do sądu o przyspieszenie adopcji. I wiesz, jak to umotywował? Że dziecko idzie do nowej szkoły i dobrze by było, żeby przedtem miało uregulowany stan prawny i nowe nazwisko. Może to coś da.

- Może.

- Nie chcę ci wypominać, bo chciałaś dobrze, ale gdybyś wtedy nie powiedziała o Fuksji temu Korniszonowi...

Flora zmieniła temat.

- A jak tam w pracy?

- Jak zwykle. Dużo roboty, mało pieniędzy.

- I czego ty się trzymasz tego szpitala? Mogłabyś otworzyć jakiś własny biznes. Fitness, albo rehabilitację. Masz teraz duży dom, jest miejsce.

- O, nie. W domu chcę mieć spokój. Nie po to się przeprowadzałam, żeby mi się teraz plątali tutaj obcy ludzie.

- Pogadam z Zeniem. Może zrobilibyśmy coś wspólnie? Zeniu by znalazł lokal. Wiesz, jak sobie pomyślę, ile ja lat zmarnowałam w tym instytucie! Kompletnie bezproduktywnie! Teraz dopiero to widzę. Robienie biznesu to zupełnie inna sprawa. Czasem wygrasz, czasem przegrasz, ale jesteś panem siebie. Żaden dureń nie mówi ci, co masz robić, nikt tobą nie dyryguje i nie robi łaski, że da ci premię, albo nie da. Mówię ci, rzuć ten szpital.

- Może to jest jakiś pomysł. W końcu na rehabilitacji trochę się znam. Zrobiłam w Ameryce kursy.

- A masz dyplom?

- Mam.

- No widzisz. Można by to wykorzystać w reklamie. „Wybitna rehabilitantka, po szkoleniu i praktyce w Stanach Zjednoczonych”. Co ty na to? Pomyśl o tym. I ja też pomyślę.

Pani Józia skończyła sprzątanie na górze i zaczęła zmywać schody.

- Chodź, może zaczniemy w końcu rozpakowywać te paczki - powiedziała Sabina.

Minęło kilka dni.

Wszystko powoli zaczynało znajdować swoje miejsce. Robert był usatysfakcjonowany, bo dostał nieco większy pokój niż Fuksja, co skrupulatnie wymierzył i co podkreślał na każdym kroku. Fuksja ignorowała jego uwagi.

- Ten pokój, który mam, to sama chciałam mieć, bo to jest mój dawny pokój i jestem do niego przywiązana. Poza tym mam widok na brzozę, a ty na płot sąsiada. W ogóle nie ma co porównywać. Te parę centymetrów to w ogóle nie ma znaczenia.

- Fuksja, córeczko! Chodź tu do nas! Szybciotko! - zawołała Sabina po przejrzeniu poczty.

- Co się stało?

- Jesteś już wreszcie nasza! Rozumiesz? Mamy wyrok! Już nikt nam nic nie zrobi! Jesteś naszą córką! Zobacz.

- I mogę mówić do was „mamo” i „tato”?

- Przecież zawsze mogłaś.

- Ale to by było nielegalnie. A teraz to już będzie legalnie.

- Nie filozofuj, tylko chodź tu do nas i pocałuj mamę i tatę.

Fuksja, trzymając kota na ręku, podeszła do Sabiny i Maksa i kolejno cmoknęła ich w policzki.

- No, a teraz dla uczczenia tego wielkiego wydarzenia pojedziemy kupić ci komputer.

- Naprawdę? - Tak.

- Taki, jaki chcę?

- Tak.

- A ja? A mnie też kupicie? - wtrącił się Robert.

- Tobie na razie musi wystarczyć ten, który masz.

- Ale on jest stary...

- Stary, nie stary, ale na twoje potrzeby wystarczy.

- Ona to jest zawsze na pierwszym miejscu - nadąsał się Robert.

- Nie jest na pierwszym, ale dziś jest dla niej i dla nas wszystkich wielki dzień. I trzeba to uczcić. Nie rób takiej miny! Ty będziesz w następnej kolejności.

- A ja? - upomniał się żartem Maks. - Oni to są zawsze na pierwszym miejscu. Ja też mam stary komputer.

- A ja w ogóle nie mam i żyję - zakończyła dyskusję Sabina.

Fuksja usiadła przy swoim nowym laptopie i przeciągnęła dłonią po gładkiej obudowie. Otworzyła go i znów wykonała ten sam gest głaskania po klawiaturze.

Komputer był najnowszym modelem, wyposażonym w maleńką, prawie niewidoczną kamerkę. Nie był to najdroższy laptop, ale i tak Fuksja była zachwycona jego możliwościami.

Kiedy go dostała, wycalowała Sabinę i Maksa i prawie tańcząc z radości, natychmiast zaniósła nowy nabytek do swojego pokoju. Teraz, po podłączeniu, mogła go wreszcie wypróbować. Weszła w wyszukiwarkę i znalazła to, o co jej chodziło. Swoje imię.

Adrianna.

„Adrianna. Żeński odpowiednik łacińskiego imienia Adrian lub Hadrian. Należący do miasta Hadrii w Picenum”.

Co to jest Picenum? Gdzie to jest? „Picenum. Kraina historyczna w antycznej Italii, leżąca wzdłuż wybrzeży Adriatyku, pomiędzy Ankoną a rzeką San-gro. Główne miasta to Firmum (dziś Fermo), Asculum (dziś Ascoli Piceno) i Hadria, ulubione miejsce cesarza Hadriana (dziś Atri)”.

A więc moje imię jest związane ze starożytną Italią, pomyślała. To nie jest wcale takie głupie imię. Ada. I nawet nieźle brzmi. Teraz w gimnazjum wszyscy będą mnie tak nazywać. Ale może to znaczy jeszcze coś innego? Przecież w Warszawie jest taka restauracja „Adria”. To chyba też coś znaczy? Wystukała nazwę w komputerze i przeczytała:

„Adria - miasto we Włoszech w Wenecji Eugenejskiej, ze stolicą w Wenecji (wł. Veneto), między dolnym Padem a Adygą. Starożytny, ważny port Etrusków nad Padem. Obecnie 25 km od Adriatyku”.

Tak czy inaczej moje imię prowadzi do Włoch. Może mój tata był Włochem? Fajnie by było mieć tatę Włocha. Mogłabym jeździć do niego na wakacje i zobaczyć oba miasta związane z moim imieniem. Ale przecież mam już mamę i tatę. No, tak. Lecz przecież czasem zdarzają się niespodzianki i gdyby mój tata nagle się odnalazł, to nic by się nie zmieniło poza tym, że mogłabym jeździć do niego na wakacje. Tak sobie myślała Fuksja, nie wiedząc, że los, owszem, czasem szykuje niespodzianki, ale nie zawsze zgodne z naszymi życzeniami.

Miłą atmosferę popsuł telefon od pana mecenasa.

- Nie mam dobrych wiadomości - powiedział do Sabiny.

- Jak to? Przecież mamy orzeczenie o adopcji!

- Ale nieprawomocne.

- Co to znaczy? - struchlała Sabina.

- Nie będę wchodził w szczegóły, ale niestety, nasze najgorsze przypuszczenia się sprawdziły. Biologiczny ojciec wystąpił o przywrócenie praw rodzicielskich.

- I co teraz będzie?

- Myślę, że sąd tego wniosku nie uwzględni, mam przynajmniej taką nadzieję. Ale sprawa ulegnie dalszemu przedłużeniu.

- Dlaczego?

- Ponieważ pojawiły się nowe okoliczności. I sąd musi je rozpatrzyć. Proszę się nie denerwować i być dobrej myśli.

- Jak ja mam być dobrej myśli, kiedy wszystko idzie jak po grudzie? Panie mecenasie, błagam, niech pan coś zrobi, przecież ja nie mogę temu dziecku co tydzień przekazywać innych wiadomości!

- Ja to rozumiem. Ale w tej chwili nic na to nie możemy poradzić. Naprawdę strasznie mi przykro, że muszę zmartwić taką piękną panią. Myślę, że następne wiadomości będą lepsze.

Sabina odłożyła słuchawkę. Była załamana. Ale nie powiedziała nic Fuksji.

Byłam dziś pierwszy raz w nowej szkole. To jest prywatna szkoła, więc nie ma w niej tłoku jak w tamtej. Do mojej klasy chodzi siedmiu chłopaków i tylko cztery dziewczyny, dziewczyny jak dziewczyny. Takie sobie. Ale chłopcy fajni. Hit wszyscy, bo to byłoby za dobrze, ale w całym gimnazjum nie. ma takich chłopaków jak w mojej klasie. Szczególnie jeden. Wszystkie dziewczyny tylko na niego patrzą.

Piotrek poszedł do innej szkoły.

Coś ostatnio zaczął mówić, że zostanie biznesmenem. Powiedział, że stanowisko prezydenta to jest praca sezonowa, tak jak przy zbiorze truskawek czy kartofli. Tyle że sezon dłuższy. Ale skończy się sezon i do widzenia. Nawet nie powiedzą „szerokiej drogi”, tylko dadzą kopa w tyłek i już. I co potem robić? Kto się liczy z byłymi prezydentami?

Ale. to chyba nie jest całkiem prawda, bo prezydenci po odejściu z urzędu zachowują jakieś przywileje - zdaje się, że płacą im pensję do końca życia, więc jak ktoś nie lubi pracować, to to jest dobre, zajęcie. Ale to już sprawa Piotrka. Niech robi, co chce.

Nasze drogi się rozeszły i myślę, że definitywnie.

On jest za bardzo konformistyczny. Poznałam to nowe określenie i myślę, że ono do Piotrka bardzo pasuje. Ja nie jestem konformistyczna. I nigdy nie będę. Żeby nie wiem co. Zresztą w mojej klasie tyłu jest chłopaków, że na pewno któryś okaże się niekonformistyczny. I się z nim zaprzyjaźnię. Ale najpierw muszę dokładnie poznać jego poglądy, żeby się nie rozczarować, tak jak Piotrkim.

Więc Piotrek powiedział, że zostanie biznesmenem.

Co to za mania jakaś - wszyscy chcą być biznesmenami. Nawet Sabina zaczęła coś mówić ostatnio, że razem z Florą otworzy zakład rehabilitacyjny czy fitness i że wreszcie będzie zarabiać przyzwoite pieniądze. Ale po co jej pieniądze? Maks zarabia teraz dobrze, bo zrobiła się moda na jego obrazy, więc nie rozumiem, o co jej chodzi. Pazerna się zrobiła, czy jak? Czasem w ogóle mówi jakieś takie dziwne rzeczy, że nie wiem, co o niej myśleć. Ostatnio powiedziała, że mogłaby zabić mojego biologicznego ojca. Sama słyszałam, jak mówiła to do Maksa. Jakiego ojca? Przecież w końcu mnie adoptowali. I co jej zawinił jakiś mój biologiczny ojciec? Ani go nie zna, ani go nie widziała na oczy, więc kompletnie jej nie rozumiem.

To wszystko przez to, że spotyka się z Florą, której już się wszystko całkiem pomieszało przez to, że przebywa z tym prymitywem Zeniem.

I to jest takt łańcuszek. Z jakim przestajesz, takim się stajesz. Pan Zenek ogłupił florę, flora ogłupiła Sabinę, Sabina pewnie ogłupi Makia, a Maki jeszcze kogoś, być może tę niedożywioną żyrafę, jeśli, jeszcze się z nią spotyka, ona iwo jego męża i tak dalej i dalej głupota będzie się rozprzestrzeniać bez końca, chyba że ludzi zabraknie na świecie. Ale nie zabraknie, bo iię ciągle rozmnażają. Niestety.

Całe szczęście, że ja jestem uodporniona na takie wpływy, więc mnie to nie dotyczy.

A co do tej szkieletowatej modelki, to spotkaliśmy ją, jak byliśmy w parku. Szła z jakimś prawie łysym dziadkiem, od razu ją poznałam, ale ona udawała, że nas nie widzi. Maks się zaczerwienił i zaczął się jąkać, jak Sabina zapytała, kto to jest. Ale to tylko ja wiedziałam i on. Sabina niczego się nie domyśliła. Na całe szczęście, bo pewnie by się zdenerwowała, a już i tak ma dość zmartwień.

Któregoś dnia. na ulicy zaczął mnie zaczepiać ten niby wujek z Pruszkowa. Chciał mi dać jakiś prezent i zapytał, czy chciałabym mieć takiego tatę jak on. Pomyślałam, że na pewno jest nienormalny, albo pedofil. W szkole mówili, żeby uważać na takich, co dają prezenty i zaczepiają dzieci na ulicy, nawet jeżeli wyglądają na przyzwoitych ludzi. Bo mogą mieć złe zamiary. Wtedy w Pruszkowie, Sabina też mnie ostrzegła. Mówiła, żebym z nim nie rozmawiała i nie wsiadała z

nim do samochodu. Więc uciekłam. Sabina strasznie się zdenerwowała, jak jej o tym powiedziałam. Pobiegła za nim, ale odjechał. A teraz znowu się pojawił. Już parę razy go widziałam, jak się pęta w pobliżu tym swoim samochodem. Nie powiedziałam nic Sabinie, bo na razie mnie nie zaczepia. Więc nic jej nie mówię, żeby jej nie denerwować, tylko bardzo się pilnuję, żeby nie być samej na ulicy.

I chodzę nie z brzegu chodnika, ani nawet środkiem, tylko po przeciwnej stronie, jak najdalej od jezdni, żeby mnie nie wciągnął do auta i nie porwał.

Po takim to się wszystkiego można spodziewać.

Jeden z chłopaków w mojej klasie, jest naprawdę bardzo fajny. Nie ten, w którego wgapiają się wszystkie dziewczyny, tylko inny. Od razu pierwszego dnia podszedł do mnie i przedstawił się: Mateusz jestem. A potem powiedział: Ty jesteś Ada? Tak - mruknęłam, bo nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle. Bardzo ładne masz imię - powiedział.

I od razu wiedziałam, że teraz tak się będę nazywać.

I sprawdziłam w Internecie, co to imię znaczy i dowiedziałam się, że jest to włoskie imię. Więc może mój tata jest Włochem? Ale dlaczego Sabina chciałaby go zabić? Może on jest w mafii i dlatego? Nie będę tym sobie zaprzętała głowy. To są sprawy dorosłych. Powiedziałam, że nie będę już szukać moich rodziców, to nie będę.

Mateusz jest bardzo oczytany, gra na gitarze i wydaje mi się, że ma dobrze poukładane w głowie. W każdym razie nie jest konformistą. I mieszka niedaleko od nas. Rano czeka na mnie na przystanku, a potem razem wracamy ze szkoły.

Bardzo dużo rozmawiamy. O różnych sprawach.

Dziś, kiedy szliśmy do domu, odprowadził mnie kawałek dalej i powiedział, że mu się bardzo podobam. I że chciałby się kiedyś ze mną ożenić. Aż mi serce zaczęło bić z wrażenia.

Chyba się zakochałam.

I dlatego nie będę już nic opisywać, bo ciągle myślę o Mateuszu. W dodatku piersi mi rosną. Więc pewnie nie potrafiłabym już o niczym innym pisać tylko o

nim i o tych piersiach. I wtedy to już nie byłby lapis Wydarzeń, ani Refleksje Życiowe, tylko zwykły pamiętnik, a to nie miałoby sensu.

Bo pamiętniki piszą tylko głupie dziewczyny.

A ja przecież głupia nie jestem.

Sabina ledwo zdążyła zamknąć dzienniczek, kiedy do pokoju zajrzał Maks.

- Znowu czytasz pamiętnik Fuksji?! - powiedział z oburzeniem w głosie. - Naprawdę, mogłabyś się powstrzymać. Wtedy, kiedy uciekła z domu, mogłem to jeszcze jakoś zrozumieć, ale teraz?! To już nie jest nieetyczne, to po prostu karygodne! Jak możesz? Naprawdę miałem o tobie lepsze zdanie.

- Fuksja nam dorasta - uśmiechnęła się Sabina. - Chyba się zakochała.

- Jak możesz czytać jej osobiste zapiski?? Gdyby o tym wiedziała, to by cię znienawidziła.

- Już nie będę - powiedziała Sabina. - To był naprawdę ostatni raz. Wierz mi.

- Mam nadzieję.

- Naprawdę. Mogę ci przysiąc.

- Wyjdźmy z jej pokoju, zanim wróci.

Sabina wcisnęła zeszyt za materac, tam, skąd go wzięła i razem z Maksym wyszli z pokoju Fuksji.

Była na to najwyższa pora, bo dziewczynka właśnie wróciła ze szkoły.

Po obiedzie Sabina usiadła zmęczona w salonie, żeby chwilę odpocząć. Fuksja usiadła obok.

- No i jak było w szkole? - zapytała Sabina.

- Fajnie.

- Lepiej niż w tamtej?

- Bez porównania. Tam była kupa debili, a tutaj są ludzie na poziomie.

- Nie podoba mi się, że tak mówisz o swoich kolegach i koleżankach. Debi-
le. Co to za słownictwo? Jesteś już duża i powinnaś bardziej uważać na to, jak się
wyrażasz.

- Przecież oni tego nie słyszą.

- Nie o to chodzi, czy słyszą. To jest przejaw pogardy dla innych. A to bar-
dzo brzydka cecha.

- E, tam. Debil to debil. Czy to coś zmieni, jak nazwę ich inaczej? Czy staną
się przez to mądrzejsi?

- Fuksja, chodzi o to, że generalizujesz. I na tym właśnie polega pogarda.

Dziewczynka zamilkła. Po chwili powiedziała:

- Ja już nie jestem Fuksja.

- Dlaczego? Przestało ci się to imię podobać?

- To dobre dla dzieci. Mam na imię Ada.

- Dawno ci to mówiłam.

- Ale wtedy...

- Tak, tak, wiem. WTEDY to był dobry pomysł - powiedziała Sabina.

Roześmiały się obie.